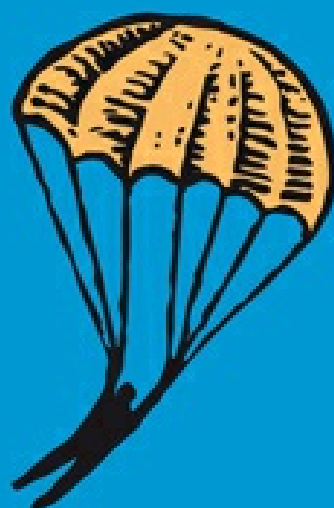


R E G I N A B R E T T



BÓG
NIGDY
NIE MRUGA

50 LEKCJI
NA TRUDNIEJSZE
CHWILE W ŻYCIU

REGINA BRETT

**BÓG
NIGDY
NIE MRUGA**



**50 LEKCJI
NA TRUDNIEJSZE
CHWILE W ŻYCIU**

przetłóżyła

OLGA SIARA

 **Insignis**

Tytuł oryginału
God Never Blinks. 50 Lessons for Life's Little Detours

Copyright © 2010 Regina Brett. All rights reserved.

Grand Central Publishing, Hachette Book Group, 237 Park Avenue, New York, NY 10017
www.HachetteBookGroup.com

Podziękowania:

Felietony, które pierwotnie ukazały się w „Plain Dealer” są przedrukowane za zgodą Plain Dealer Publishing Co. „Plain Dealer” posiada prawa autorskie do felietonów Reginy Brett napisanych w latach 2000–2009. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Felietony, które pierwotnie ukazały się w „Beacon Journal” są przedrukowane za zgodą Beacon Journal Publishing Co. Inc. „Beacon Journal” posiada prawa autorskie do felietonów Reginy Brett napisanych w latach 1994–2000. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Fragment opowiadania *A Father's Story* ze zbioru Andre Dubusa *The Times Are Never So Bad* © 1983 (Boston, David R. Godine, Publisher, Inc. 1983) jest przedrukowany za zgodą wydawcy.

Fragment *Anonimowych Alkoholików* jest przedrukowany za zgodą organizacji Alcoholics Anonymous World Services, Inc. (AAWS). Zgoda na przedruk tego fragmentu, który w oryginale rozpoczyna się na 552 stronie trzeciego wydania, nie oznacza, że AAWS zapoznała się bądź zatwierdziła treść niniejszej publikacji, ani że AAWS siłą rzeczy zgadza się z prezentowanymi w niej poglądami. A.A. jest wyłącznie programem leczenia się z alkoholizmu – z wykorzystania tego fragmentu w ramach programów i zajęć opartych na metodach A.A., ale wspomagających rozwiązywanie innych problemów, lub w dowolnym innym niż A.A. kontekście, nie wynika nic poza powyższym.

David Chilton *The Wealthy Barber: The Common Sense Guide to Successful Financial Planning* (New York, Three Rivers Press 1998). Fragment wykorzystany za zgodą wydawcy.

Dziękuję pastorowi Rickowi Warrenowi za zgodę na wykorzystanie jego cytatu w Lekcji 31.

Przekład

Olga Siara

Redakcja i korekta

Piotr Mocniak, Dominika Pycińska, Maria Brzozowska

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2012. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN-13: 978-83-61428-96-1

 **Insignis**

Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229

31-153 Kraków, telefon/fax +48 12 636 01 90

www.insignis.pl

biuro@insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

Spis lekcji

Lekcja 1

Życie jest niesprawiedliwe, ale i tak jest dobre

Lekcja 2

Jeśli nie wiesz, co dalej, po prostu zrób następny właściwy krok

Lekcja 3

Życie jest za krótkie, żeby tracić czas na nienawiść

Lekcja 4

Nie traktuj siebie tak poważnie. Nikt poza tobą tego nie robi

Lekcja 5

Co miesiąc spłacaj zadłużenie na kartach kredytowych

Lekcja 6

Nie musisz wygrać każdego sporu. Pozwól innym zostać przy swoim zdaniu

Lekcja 7

Płacz w towarzystwie przynosi większą ulgę niż płacz w samotności

Lekcja 8

Możesz się rozgniewać na Boga. On to wytrzyma

Lekcja 9

Najważniejszym organem płciowym jest mózg

Lekcja 10

Bóg nigdy nie daje nam więcej, niż potrafimy udźwignąć

Lekcja 11

Pogódź się z przeszłością, by nie psuła ci teraźniejszości

Lekcja 12

Twoje dzieci mogą zobaczyć, że płaczesz

Lekcja 13

Nie porównuj swojego życia z życiem innych. Nie masz pojęcia, co przyniósł im los

Lekcja 14

Jeśli musisz utrzymywać związek w tajemnicy, nie powinieneś w nim być

Lekcja 15

Wszystko może się zmienić, zanim zdążysz mrugnąć. Ale nie martw się, Bóg nigdy nie mruga

Lekcja 16

Życie jest za krótkie, żeby się nad sobą uzalać. Zajmij się życiem albo zajmij się umieraniem.

Lekcja 17

Poradzisz sobie ze wszystkim, co cię spotyka, jeśli skupisz się na chwili obecnej, zamiast

wybiegać myślą naprzód

Lekcja 18

Pisarzem jest ten, kto pisze. Jeśli chcesz być pisarzem, pisz

Lekcja 19

Nigdy nie jest za późno na szczęśliwe dzieciństwo

Lekcja 20

Kiedy walczysz o to, co w życiu kochasz, nie przyjmuj odmowy do wiadomości

Lekcja 21

Zapal świece, śpij w lepszej pościeli, włóż elegancką bieliznę. Nie czekaj na specjalną okazję – wystarczającą okazją jest dzisiejszy dzień

Lekcja 22

Przygotuj się ponad miarę, a potem daj się ponieść

Lekcja 23

Bądź ekscentryczny już dziś. Nie czekaj na starość, by ubierać się na fioletowo

Lekcja 24

Zacznij odkładać dziesięć procent na emeryturę już od pierwszej wypłaty

Lekcja 25

Nikt prócz ciebie nie odpowiada za twoje szczęście. Jesteś menedżerem własnej radości

Lekcja 26

Każdą tak zwaną katastrofę kwituj słowami: „Czy za pięć lat to będzie miało jakieś znaczenie?”

Lekcja 27

Zawsze wybieraj życie

Lekcja 28

Wszystkim wszystko wybaczej

Lekcja 29

To nie twoja sprawa, co myślą o tobie inni

Lekcja 30

Czas leczy niemal wszystkie rany – daj mu tylko trochę czasu

Lekcja 31

Niezależnie od tego, jak dobrze lub źle wygląda sytuacja, ona i tak się zmieni

Lekcja 32

Gdy zachorujesz, nie zaopiekuje się tobą twoja praca, tylko twoi przyjaciele. Dbaj o nich

Lekcja 33

Uwierz w cuda

Lekcja 34

Bóg cię kocha, bo jest Bogiem, a nie dlatego, że coś zrobiłeś albo czegoś nie zrobiłeś

Lekcja 35

To, co cię nie zabije, naprawdę cię wzmocni

Lekcja 36

Umrzeć młodo – to wygląda dobrze tylko w filmach. Starość jest zdecydowanie lepsza

Lekcja 37

Twoje dzieci mają tylko jedno dzieciństwo. Niech będzie niezapomniane

Lekcja 38

Niezależnie od wyznania, czytaj Księgę Psalmów. Znajdziesz w niej wszystkie ludzkie emocje

Lekcja 39

Wychodź z domu każdego dnia. Cuda tylko czekają, aż je odkryjesz

Lekcja 40

Gdyby wszyscy porównali swoje problemy z innymi, nie zamieniliby się z nikim za żadne skarby

Lekcja 41

Nie bądź wolnym słuchaczem życia. Uczestnicz w nim aktywnie i wykorzystuj w pełni każdy moment

Lekcja 42

Pozbądź się wszystkiego, co nie jest pożyteczne, piękne lub radosne

Lekcja 43

Ostatecznie liczy się tylko to, że kochałeś

Lekcja 44

Zazdrość to strata czasu. Masz już wszystko, czego naprawdę potrzebujesz

Lekcja 45

Najlepsze jeszcze przed nami

Lekcja 46

Nieważne, jak się czujesz: wstań, ubierz się i przyjdź, gdzie trzeba

Lekcja 47

Oddychaj. To koi umysł

Lekcja 48

Kto o nic nie prosi, niczego nie dostaje

Lekcja 49

Ustępuj

Lekcja 50

Życie nie jest przewiązane kokardą, ale i tak jest wspaniałym prezentem

Dla Ashera i Julii

od nich wszystko się zaczyna
i na nich wszystko się kończy

Wstęp

Moja przyjaciółka Kathy przysłała mi kiedyś cytat z książki *Słoneczne wino*. W opowieści Raya Bradbury’ego, która rozgrywa się wiele lat temu podczas wakacji, pewien chłopiec nagle zaczyna chorować. Nikt nie wie, co mu dolega. Czuje się po prostu przytłoczony życiem. Nikt nie potrafi mu pomóc, dopóki nie pojawia się handlarz starzyzną, pan Jonas.

Pochyla się nad chłopcem, który śpi na składanym łóżku na podwórzu, i szepcze mu do ucha. Każe mu leżeć spokojnie i słuchać. Potem zrywa z drzewa jabłko. Wreszcie wyznaje chłopcu sekret, który nosi w sobie, sekret, który, nie wiedząc o tym, nosiłam w sobie i ja. Niektórzy ludzie rodzą się wrażliwsi niż inni. Są niczym delikatne owoce – łatwiej ich zranić, częściej płaczą, a smutek towarzyszy im od najmłodszych lat. Pan Jonas wie o tym, bo sam do nich należy.

Poruszony tymi słowami chłopiec wraca do sił.

Mnie również poruszyły te słowa. Niektórych ludzi łatwiej zranić. Między innymi mnie.

Potrzebowałam czterdziestu lat, żeby odnaleźć i zatrzymać przy sobie szczęście.

Zawsze miałam wrażenie, że w chwili moich narodzin Bóg akurat mrugnął. Przegapił je i nigdy się nie dowiedział, że przyszłam na świat. Moi rodzice mieli jedenaścioro dzieci i chociaż bardzo kocham zarówno ich, jak i moich pięć siostr i pięciu braci, czasem miałam wrażenie, że ginę w tłumie. Jak często podkreślała Kathy, ja wydawałam się najslabsza ze stada. W rezultacie z oszołomionej naukami zakonnic sześcioletki wyrosłam na zagubioną szesnastolatkę ze skłonnością do alkoholu, z której z kolei przeobraziłam się w dwudziestojednoletnią pannę z dzieckiem.

W wieku trzydziestu lat skończyłam studia, a po osiemnastu latach bycia samotną matką, z czterdziestką na karku zostałam żoną mężczyzny, który nosił mnie na rękach.

A potem, mając czterdzieści jeden lat, zachorowałam na raka. Walczyłam z nim rok, a przez kolejny dochodziłam do siebie.

W dniu czterdziestych piątych urodzin leżałam w łóżku, myśląc o tym wszystkim, czego nauczyło mnie życie. Przepełniona refleksjami, nie mogłam już dłużej pomieścić ich w sobie. Długopis sam przelał moje myśli na papier. Przepisałam wszystko na komputerze i zamieniłam w cykl felietonów o 45 lekcjach, które dostałam od życia.

Mój szef nie był zachwycony. Jego szef też nie. Poprosiłam, żeby mimo wszystko wydrukowali te felietony. Czytelnicy magazynu „Plain Reader” w Cleveland pokochali je.

Rak dał mi odwagę, żeby postawić się szefom. Ktoś, kto miał raka, a po chemioterapii i naświetlaniach stracił włosy, siły i apetyt, wie, że niewiele gorszego może go w życiu spotkać. Czterdzieste piąte urodziny to było moje zwycięstwo. Przez chorobę zwątpiłam, czy zobaczę ten wynik na liczniku. Trzy z moich ciotek umarły na raka piersi w wieku 42, 44 i 56 lat, więc nie wyglądało to najlepiej.

Ale ja wciąż żyłam. Kiedy skończyłam pięćdziesiąt lat, dopisałam pięć nowych lekcji, a magazyn wznowił publikację moich felietonów. I wtedy stało się coś niezwykłego. Ludzie w całym kraju zaczęli przysyłać je sobie nawzajem. Pastorzy, pielęgniarki i pracownicy socjalni prosili o odbitki tekstów, żeby zamieścić je w newsletterach, biuletynach kościelnych i gazetach lokalnych. Poruszyły

wyznawców wszystkich religii, a także ludzi niewierzących. Mimo że w niektórych lekcjach piszę o Bogu, czytelnicy odnaleźli w nich prawdy uniwersalne. Pisali do mnie agnostycy i ateści, którzy listę lekcji noszą w portfelu, zawiesili w swoim boksie w pracy albo przymocowali magnesem do lodówki. Moje felietony trafiają na blogi i strony internetowe w różnych krajach. Odkąd zaczęły się ukazywać, co tydzień dostaję e-maile i telefony z prośbą o egzemplarze od ludzi z całego świata, począwszy od Australii, a na Zanesville w stanie Ohio skończywszy. To najpopularniejszy cykl felietonów w mojej dwudziestoczteroletniej karierze dziennikarskiej.

Większość tych tekstów ukazała się pierwotnie w magazynach „Plain Dealer” lub „Beacon Journal”. Niektóre powstały na potrzeby tej książki.

Te lekcje to dar, jaki dostałam od życia. Teraz przekazuję go Tobie.

Lekcja 1

Życie jest niesprawiedliwe, ale i tak jest dobre

Czapka zawsze wracała, coraz bardziej wypłowiała, lecz potężniejsza niż kiedykolwiek. Wszystko zaczęło się od Franka.

Przeszłam właśnie pierwszą chemioterapię i nie mogłam się pogodzić z tym, że mam być łysa. I wtedy zobaczyłam mężczyznę w czapce baseballowej z napisem: *Życie jest dobre*.

Mnie się akurat takie nie wydawało, a wkrótce miało się stać jeszcze gorsze, więc zapytałam go, skąd wzięł tę baseballówkę. Dwa dni później Frank przejechał przez całe miasto, zapukał do moich drzwi i wręczył mi taką samą. Frank to wyjątkowy człowiek. Z zawodu jest malarzem pokojowym, a w życiu kieruje się jednym prostym hasłem: mogę.

Przypomina mu ono, żeby czuł wdzięczność za wszystko, co go spotyka.

Zamiast powiedzieć: „Muszę dziś iść do pracy”, Frank mówi sobie: „Mogę pójść do pracy”. Zamiast myśleć: „Muszę iść po zakupy”, on może po nie pójść. Zamiast narzekać: „Muszę zawieźć dzieci na trening baseballu”, on może je tam zawieźć. Ta zasada działa w każdej sytuacji.

Być może na kimś innym niż Frank ta czapka, granatowa baseballówka z owalną naszywką i przesłaniem wyszytym białymi literami, nie miałaby tak wielkiej mocy.

Ale moje życie naprawdę stało się dobre. Mimo że wypadły mi włosy, że czułam się osłabiona i straciłam brwi. Zamiast peruki wkładałam tę czapkę – to była moja odpowiedź na raka, mój prywatny billboard dla całego świata. Ludzie wprost uwielbiają gapić się na łysą kobietę. Dzięki czapce poznawali moją odpowiedź.

Z czasem wydobrzałam, włosy mi odrosły i schowałam prezent od Franka do szafy. Leżał tam, dopóki moja przyjaciółka nie zachorowała na raka i nie zapytała o tę baseballówkę, którą kiedyś nosiłam. Chciała mieć taką samą. Na początku nie chciałam rozstawać się z moją czapką. Była dla mnie jak amulet, dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Ale musiałam przekazać ją dalej, bo inaczej mogłaby przestać przynosić szczęście. Przyjaciółka obiecała, że wyzdrowieje i przekaże ją kolejnej kobiecie. Zamiast tego oddała czapkę mnie, żebym dała ją kolejnej walczącej z rakiem.

Nazywamy ją Baseballówką na Chemię.

Trudno zliczyć, ile kobiet nosiło ją przez ostatnich jedenaście lat. Straciłam rachubę. Tak wiele przyjaciółek zachorowało na raka piersi. Arlene. Joy. Cheryl. Kaye. Sheila. Joan. Sandy. Przekazywały ją sobie nawzajem, jedna po drugiej.

Czapka wracała do mnie coraz bardziej znoszona i spracowana, za to oczy każdej z kobiet lśniły nową nadzieją. Wszystkie, które nosiły przynoszącą szczęście Baseballówkę na Chemię, wciąż żyją i mają się dobrze.

W zeszłym roku dałam ją Patrickowi, mojemu przyjacielowi i koledze z pracy. Miał 37 lat, kiedy zdiagnozowano u niego raka okrężnicy. Pożyczyłam mu czapkę, chociaż nie byłam pewna, czy poradzi sobie z każdym rodzajem raka. Patrick powiedział swojej mamie, że został ogniwem w naszym łańcuchu przetrwania, a ona odnalazła firmę *Life is good*, producenta czapek i innych produktów z tym mottem. Zadzwoiła tam, opowiedziała o naszej baseballówce i zamówiła całe

puddło czapek.

Rozesłała je najbliższym przyjaciołom i krewnym Patricka, a oni robili sobie w nich zdjęcia. Patrick obwiesił całą lodówkę fotografiami przyjaciół ze studiów, ich dzieci, psów, a nawet figurek w przydomowych ogródkach w baseballówkach z napisem „Życie jest dobre”.

Tymczasem kierownictwo firmy *Life is good* poruszyła historia, którą opowiedziała im mama Patricka. Zwołali zebranie załogi i postavili przed pracownikami zadanie, żeby „w duchu wędrowniej, przynoszącej szczęście Baseballówki na Chemię” przekazali swoją komuś, kto potrzebuje otuchy. Przesłali Patrickowi zdjęcie wszystkich 175 pracowników w szczęśliwych czapkach.

Patrick zakończył chemioterapię i czuje się dobrze. Miał mnóstwo szczęścia: włosy mu nie wypadły, a tylko się przerzedziły. Nie nosił czapki, lecz i tak dodała mu sił. Trzymał ją na stoliku przy schodach, tak żeby codziennie widzieć hasło.

Pomogła mu przetrwać naprawdę trudne dni, kiedy chciał przerwać chemioterapię i się poddać. Każdy chory na raka miewa takie chwile. Zresztą ci, którzy nie chorują na raka, też.

Okazuje się, że to nie czapka, a jej przesłanie dodawało i wciąż dodaje nam wszystkim sił.

Życie naprawdę jest dobre.

Podaj dalej.

Lekcja 2

Jeśli nie wiesz, co dalej, po prostu zrób następny właściwy krok

Moje życie przypominało kiedyś grę w zaklęte posągi, w którą bawiliśmy się jako dzieci. Złapany musiał zastygnąć w pozycji, w jakiej dał się schwytać. Zawsze, gdy coś się stało, zamierałam w bezruchu jak posąg, przerażona, że pójdę w złym kierunku albo podejmę niewłaściwą decyzję. Problem polega na tym, że gdy zbyt długo stoisz w miejscu, to właśnie jest twoja decyzja.

W bożonarodzeniowej kreskówce *A Charlie Brown Christmas* („Boże Narodzenie Charliego Browna”) jest scena, kiedy tytułowy bohater przychodzi na konsultację do Lucy, która za pięć centów udziela porad psychiatrycznych. Dziewczynka robi, co w jej mocy, żeby postawić mu diagnozę.

Pyta pacjenta, czy boi się odpowiedzialności, bo jeśli tak, to cierpi na hypengiofobię. Ale Charlie Brown nie jest przekonany, czy właśnie tego obawia się najbardziej.

Lucy szuka dalej, starając się dotrzeć do sedna sprawy. Jeżeli Charlie boi się schodów, może cierpieć na klimakofobię. Jeżeli czuje lęk przed oceanem, ma talassofobię. Być może chodzi o gefyrofobię, czyli lęk przed przekraczaniem mostów.

W końcu Lucy stawia właściwą diagnozę: pantofobia.

Kiedy pyta pacjenta, czy właśnie to stanowi jego problem, Charlie chce wiedzieć, na czym polega ta choroba. Odpowiedź Lucy zdumiewa go, a zarazem uspokaja.

Pantofobia to lęk przed wszystkim.

Bingo! Właśnie na to cierpi Charlie Brown.

I ja też.

W szkole średniej za przewodnika służył mi alkohol. Wybrałam studia tuż obok domu, bo przerażało mnie, ile musiałabym włożyć wysiłku, żeby złożyć papiery i dostać się na uniwersytet gdzieś z dala od Ravenny w stanie Ohio, a potem wyprowadzić się z domu i zamieszkać w akademiku.

Codziennie w autobusie pokonywałam sześć mil z Ravenny do Kent, nie dlatego, że Kent State University to dobra, porządna stanowa uczelnia, na którą było nas stać, chociaż to wszystko prawda. Robiłam to, bo nie mieściło mi się w głowie, że mogłabym studiować w innym mieście, jak moje trzy starsze siostry i brat, którzy kształcili się na Ohio State University, jednej z największych uczelni w kraju. W Kent mój świat pozostał mały i bezpieczny. Na stołówce jadłam lunch ze znajomymi ze szkoły średniej.

Na pierwszym czy drugim roku oblałam chemię. Zajęcia zrobiły się za trudne, więc przestałam na nie przychodzić. Trzy razy zmieniałam kierunek. A potem w wieku dwudziestu jeden lat zaszłam w ciążę i rzuciłam studia, a wraz z nimi alkohol. Pracowałam potem w wielu miejscach, które mi nie odpowiadały. Byłam urzędnikiem sądowym. Sekretarką w kancelarii prawnej. Kierownikiem biura. Przewoziłam nawet ciała zmarłych do domu pogrzebowego.

Co miałam zrobić ze swoim życiem? Przyszłość mnie przytłaczała. Aż pewnego dnia przyjaciółka z terapii poradziła mi: Po prostu zrób następny, właściwy krok.

To wszystko?

Z tym sobie poradzę.

Zwykle wiemy, jaki powinien być nasz następny krok, ale jest on tak błahy, że umyka nam z pola widzenia. Skupieni na dalekiej przyszłości, widzimy jedynie poważny i przerażający przełom zamiast prostego zadania. Dlatego czekamy. I czekamy. Czekamy, jakby plan na życie miał rozwinąć się u naszych stóp niczym czerwony dywan.

A przecież i tak nie mielibyśmy odwagi na niego wejść.

Chciałam skończyć studia i robić coś, co kocham, zamiast harować w pracy, którą z trudem znosiłam, ale nie wiedziałam tylu rzeczy: Jaki wybrać kierunek? Z czego opłacić chesne? I gdzie miałabym później pracować? Tak wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi.

Pewnego dnia moja mama powiedziała mi, jaki może być następny, właściwy krok.

– Po prostu przejrzyj katalog zajęć uniwersyteckich – zaproponowała.

To wszystko?

Z tym sobie poradzę.

Zdobyłam więc katalog. Potem go otworzyłam. Następnie przejrzałam go od deski do deski z flamastrem w dłoni, zaznaczając te zajęcia, na które chciałam chodzić tylko dlatego, że wydawały mi się ciekawe, a nie po to, żeby zdobyć dyplom.

Siedziałam na podłodze w salonie, przewracając kolejne strony. Początkowo, jak przystało na dziecko, które w szkole najbardziej lubiło przerwy, zaznaczyłam zajęcia gimnastyczne, jazdę konną, piesze wycieczki i górskie wędrówki. Później kilka kursów psychologii i zajęć plastycznych. A potem całe mnóstwo kursów pisarskich. Czytałam opisy wszystkich zajęć na każdej stronie, aż natrafiłam na prawdziwą kopalnię skarbów. Kurs pisania tekstów informacyjnych. Kurs pisania tekstów publicystycznych. Kurs pisania do czasopism. Kurs reportażu. Wow! Przejrzałam wszystko, od antropologii aż po zoologię. Kiedy skończyłam, przekartkowałam katalog z powrotem, żeby sprawdzić, jakie zajęcia wybierałam najczęściej.

Kursy pisarskie.

Więc zapisałam się na jeden kurs pisania. Potem na kolejny. I na jeszcze jeden.

Jeśli nie wiesz, co dalej, po prostu zrób następny, właściwy krok. Zwykle to nic wielkiego. Jak powiedział E.L. Doctorow, pisanie książki przypomina jazdę samochodem nocą. „Widzisz tylko ten fragment drogi, który oświetlają twoje światła, a mimo to dojeżdżasz w ten sposób do celu”.

Ta zasada sprawdza się również w życiu. Światła mojego samochodu oświetlają jedynie 100 metrów drogi, ale to wystarczy, żeby dojechać aż do Kalifornii. Dotrę do celu, jeśli tylko mam dość światła, by ruszyć z miejsca.

Dyplom dziennikarstwa Kent State University uzyskałam jako trzydziestolatka. Dziesięć lat później otrzymałam tytuł magistra religioznawstwa na John Carroll University. Nie miałam zamiaru kończyć studiów magisterskich. Gdybym wcześniej podliczyła wydane pieniądze (tysiące dolarów), lata (pięć) i godziny spędzone w salach wykładowych, na przygotowaniach do zajęć i zbieraniu materiałów (późnymi wieczorami, w czasie lunchu, w weekendy), na pewno nie wysłałabym pierwszego czeku z chesnym.

Zapisałam się po prostu na jeden kurs, potem na kolejny i jeszcze jeden, aż pewnego dnia okazało się, że skończyłam studia.

Podobnie było z wychowywaniem mojej córki. Nawet mi się nie śniło, że będę samotną matką przez wszystkie osiemnaście lat jej dzieciństwa. Moja córka skończyła szkołę średnią w tym samym

miesiącu, w którym ja zdobyłam dyplom magistra. Cieszę się, że gdy ją urodziłam w wieku dwudziestu jeden lat, nie zdawałam sobie sprawy, ile czasu, pieniędzy i poświęceń będzie mnie kosztowało doprowadzenie jej do dnia rozdania świadectw. Byłabym przerażona.

Od czasu do czasu jakiś ekspert wylicza, ile kosztuje wychowanie dziecka. Wynik sięga sześciocyfrowej kwoty. Te wydatki nie odstraszą potencjalnych rodziców, ale gdyby ktoś obliczył, ile czasu i energii pochłania wychowanie dziecka, ludzkość by wymarła.

Sekret sukcesu – rodzicielskiego i życiowego – polega na tym, żeby nie liczyć kosztów. Nie myśl o tym, jak długą drogę masz przed sobą. Nie mierz odległości między startem a metą. Takie rachuby powstrzymają cię przed zrobieniem następnego małego kroczku.

Jeśli chcesz zrzucić 20 kilogramów, zamawiasz sałatkę zamiast frytek. Jeśli chcesz być lepszym przyjacielem, odbierasz telefon, zamiast go wyciszać. Jeśli chcesz napisać powieść, siadasz i zaczynasz od jednego akapitu.

Boimy się poważnych zmian, ale zazwyczaj mamy dość odwagi, żeby zrobić następny, właściwy krok. Jeden niewielki krok, a potem kolejny. To wystarczy, żeby wychować dziecko, zdobyć dyplom, napisać książkę, spełnić swoje najśmielsze marzenia.

Jaki powinien być Twój następny, właściwy krok? Nieważne, o co chodzi – po prostu zrób to.

Lekcja 3

Życie jest za krótkie, żeby tracić czas na nienawiść

Dzieci nie widziały się z ojcem od dziesięciu lat.

Trudno im się dziwić.

Nie rozmawiały z nim od czterech lat.

Nie miały mu już nic do powiedzenia.

Ich ojciec nigdy nie przestał pić. Jak wielu alkoholików, wielokrotnie rzucał nałóg, ale zawsze do niego wracał. Potrafił wytrzeźwieć. Nie potrafił tylko wytrwać w trzeźwości.

Moja przyjaciółka Jane próbowała ratować swoje małżeństwo, mimo niedotrzymywanych obietnic i pustego konta w banku. Ona zajmowała się dziećmi; jej mąż zajmował się piciem.

Trwała przy nim przez dwadzieścia lat. Kiedy nie pił, był wspaniałym człowiekiem. Miał dobre serce i wszystkich rozśmieszał. Nie znęcał się nad rodziną, tylko ją zaniedbywał. Nie potrafił utrzymać żadnej pracy. Nie płacił rachunków. Nie można było na nim polegać w żadnej sprawie.

W końcu stracili dom.

Pewnego dnia Jane zakończyła wreszcie ich małżeństwo, a właściwie to, co z niego zostało. W 1979 roku, kiedy się rozwiedli, dzieci były już nastolatkami. Starsza córka miała 17 lat, syn – 15, a najmłodsza córka – 13. Mijały lata. Ojciec z rzadka pojawiał się w ich życiu. Dzwonił do dzieci co kilka lat. Próbował odwyku. Za każdym razem wracał do nałogu.

W końcu niemal zniknął z ich życia: minęło dziesięć lat od ostatnich odwiedzin, a cztery od ostatniej rozmowy telefonicznej. Któregoś wiosennego dnia zadzwonił telefon. Ktoś ze szpitala w Parmie skontaktował się z synem, szukając najbliższej rodziny jego ojca.

Syn zadzwonił do mamy. Jane powiedziała mi, że kiedy usłyszała: „Tata umiera na raka”, poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w brzuch.

Ale stało się z nią coś dziwnego. Wszystkie lata cierpień i gniewu nagle przestały się liczyć.

Jej były mąż nie miał pieniędzy ani rodziny. Nie ożenił się powtórnie. Nigdy nie widział sześciorga swoich wnucząt. Był w ciężkim stanie. Od tygodnia leżał w szpitalu. Wcześniej przeszedł operację raka jelita grubego, o czym nic nie wiedzieli. Zostało mu niewiele czasu.

Jane zawiozła dzieci do szpitala, żeby odwiedziły ojca. Sama nie weszła do pokoju. Po rozwodzie wyszła ponownie za mąż i zaczęła nowe życie. Nie widziała pierwszego męża od dwudziestu lat. Nie chciała go stresować swoją obecnością, sama też nie chciała się denerwować. Musiała być silna dla dzieci.

Siedząc przed pokojem szpitalnym, przemyślała, co musi zrobić. W drodze powrotnej powiedziała dzieciom, że pokryje wszystkie koszty leczenia. Potem pomogła umieścić ich ojca w hospicjum. Codziennie jeździła do niego z dziećmi, żeby je wspierać, ale nigdy nie weszła do jego pokoju. To byłoby nie na miejscu.

W tych ostatnich dniach ojciec i dzieci znów stali się rodziną. Dawne urazy zbledły. Kiedy rozmawiali o przeszłości, przywoływali same dobre wspomnienia. Dzieci mówiły ojcu, że go kochają – i uświadomiły sobie, że to prawda.

Jane razem z dziećmi zajęła się zorganizowaniem pogrzebu, wyborem trumny, zamówieniem kwiatów. Postanowili nie organizować czuwania. Nie chcieli, żeby pamięć o zmarłym splamiły godziny bez odwiedzających albo goście, którzy zadawaliby zbyt wiele pytań o te stracone lata.

Chcieli, żeby umarł tak, jak nie potrafił żyć – z godnością. Kiedy odszedł w czerwcu, wszyscy odnaleźli nowy spokój. Odzyskali wolność – i on również. Nie cierpiał już z powodu raka czy alkoholizmu.

Na pogrzebie jedna z córek odczytała swój wiersz. Inni wspominali szczęśliwe chwile. Moja przyjaciółka podziękowała gościom za przybycie. Zapłaciła za wszystko: za szpital, opiekę w hospicjum, pogrzeb, kwiaty.

Kiedy zapytałam, czemu robiła tak wiele, żeby pomóc człowiekowi, który zadał jej tyle bólu, Jane odpowiedziała, że to proste: – Był ich ojcem.

Jak znaleźć w sobie tyle miłości i przebaczenia?

Niektórym dana jest ta łaska, innym przychodzi to z trudem.

Ci, którzy owej łaski nie otrzymali, mogą nauczyć się sztuki przebaczenia z Wielkiej Księgi Anonimowych Alkoholików. Przedstawione tam rozwiązanie działa na każdego, kto je zastosuje. Księga głosi, że gdy żywimy do kogoś głęboką urazę, nasze życie staje się puste i nieszczęśliwe. Gorycz przesłania nam światłość Ducha.

W rozdziale „Odzyskiwanie wolności” jedna z osób wspomina artykuł pewnego pastora, na który natknęła się w jakimś magazynie. Pastor o urazach mówił tak:

Jeśli chcesz uwolnić się od jakiejś urazy, pomódl się za osobę lub rzecz, do której ją czujesz, a będziesz wolny. Pomódl się o to, żeby otrzymali wszystko, czego pragniesz dla siebie, a będziesz wolny. Pomódl się o ich zdrowie, powodzenie i szczęście, a będziesz wolny. Nawet jeśli w rzeczywistości im tego nie życzysz, a twoje modlitwy to tylko puste słowa, bo wcale tak nie myślisz, nie przestawaj się modlić. Rób to codziennie przez dwa tygodnie, a zorientujesz się, że zacząłeś w to wierzyć, że naprawdę im tego życzysz. Wtedy zrozumiesz, że dawną gorycz, niechęć i nienawiść zastąpiło w tobie pełne współczucie zrozumienie i miłość.

Wypróbowałam tę metodę. Przynosi zdumiewające efekty. Czasami, kiedy jest mi naprawdę ciężko, muszę się modlić nawet o chęć modlitwy za daną osobę. Zawsze przychodzi.

Chcesz się uwolnić od gniewu, nienawiści, goryczy? Zacznij od przebaczenia. Przebacząc byłemu mężowi, Jane zamknęła za sobą pełną goryczy przeszłość. Przebacząc ojcu, jej dzieci otworzyły się na wolną od goryczy przyszłość.

Lekcja 4

Nie traktuj siebie tak poważnie. Nikt poza tobą tego nie robi

„Rozchmurz się”. „Za bardzo się spinasz”. „Nie traktuj siebie tak poważnie”.

Kiedyś stale słyszałam to od rodziny, przyjaciół, kolegów z pracy oraz każdego, kto posłuchał mnie dłużej niż pięć minut.

O co im chodziło?

Długo nie mogłam tego zrozumieć, aż w końcu życie mnie złamało i musiałam się poddać. Minęło kilkadziesiąt lat, nim wywiesiłam białą flagę i zaakceptowałam swoją niedoskonałość.

Od urodzenia żywiłam przeświadczenie, że muszę być idealna pod każdym względem, ponieważ w głębi duszy w każdej dziedzinie czułam się jak kompletne zero. Przez całe życie mój mózg wysyłał mi fałszywe sygnały ostrzegawcze. Powtarza do znudzenia, że jeśli nie jestem doskonała, to poniosłam klęskę. Mój mózg cierpi na ślepotę barw. Operuje tylko skrajnościami: czerń albo biel, tak albo nie, dobrze albo źle, wszystko albo nic. Szare komórki wypełniające moją czaszkę nie pojmują, że w życiu jest wiele odcieni szarości, a świat to nie zajęcia, które można tylko zaliczyć albo oblać.

Pewnego dnia uświadomiłam sobie wreszcie, że jestem chodzącym kłębkim nerwów. Przez wiele tygodni pracowałam nad reportażem. Przeprowadziłam dziesiątki wywiadów i wielokrotnie przerabiałam tekst, żeby uzyskać idealny efekt. Tego dnia artykuł ukazał się w niedzielnym wydaniu gazety. Nagle zadzwonił telefon. Jeden z bohaterów podziękował mi za reportaż, wspominając przy okazji, że pomyliłam się w pisowni jego nazwiska. Co takiego?! Przecież wielokrotnie sprawdzałam każdy fakt i każdy wyraz... Mimo to przeoczyłam ten błąd.

Ukryłam twarz w dłoniach i rozplakałam się przy biurku. Artykuł miał ponad trzy tysiące słów. Pomyliłam się w pisowni jednego, jedyne wyrazu, ale uznałam to za porażkę na całej linii. Kiedy koleżanka z redakcji zobaczyła, że płaczę, podbiegła do mnie.

– Wszystko dobrze? Co się stało? – zawołała zaniepokojona, sądząc, że ktoś umarł.

– Źle... napisałam... jedno... nazwisko – wykrztusiłam.

Popatrzyła na mnie zdumiona. – I to wszystko? – spytała. Pokręciła głową i odeszła. Poraził mnie wyraz jej twarzy. Wyluzuj się, usłyszałam. Tylko że tym razem nikt nie musiał mi tego mówić. Głos dobiegał z mojego wnętrza.

Traktując siebie zbyt poważnie, stałam się również fanatyczną wyznawczynią wielozadaniowości. Nie potrafiłam przekazać innym żadnego, choćby najmniejszego zadania. Wszystko trzeba było zrobić perfekcyjnie, a ja najlepiej wiedziałam, jak tego dokonać. Spisywałam niekończące się listy spraw do załatwienia, zaniedbując własne podstawowe potrzeby, bo przecież beze mnie ziemia przestałaby się kręcić. Taka byłam ważna.

Rośliny w moim domu wskazywały bezbłędnie, kiedy traciłam kontrolę nad swoim życiem – i swoim ego. Pełniły podobną rolę jak kanarki w klatkach, które górnicy zabierali dawniej do kopalni, żeby sprawdzić, kiedy powietrze staje się zbyt zanieczyszczone. Gdy ptak zaczynał chrypieć, trzeba było uciekać. Na tej samej zasadzie, kiedy moje kwiaty niemal usychały z pragnienia, było to

dla mnie ostrzeżenie, żeby zaczerpnąć powietrza, przyjrzeć się swojemu życiu i zwolnić. Jeśli rośliny zdradzały oznaki zaniedbania, znaczyło to również, że prawdopodobnie powinnam poświęcić więcej czasu córce. Dzięki Bogu, nigdy nie miałam żadnego zwierzątka.

Dostawałam wiele sygnałów, że powinnam się wyluzować, przestać tak gonić i skupić się na tym, co naprawdę ważne. Na przykład zdarzało się, że nie mogłam podnieść brudnej szklanki z kuchennego blatu, bo się do niego przylepiła. Albo musiałam robić awaryjne zakupy w delikatesach na rogu, bo zabrakło nam chleba, mleka, papieru toaletowego i napoju instant Tang, który był produktem pierwszej potrzeby w naszym domu. (Moja córka niemal każdego dnia zabierała do szkoły taką samą kanapkę – chleb pełnoziarnisty z masłem orzechowym posypyany proszkiem Tang – przejęła moje upodobania z dzieciństwa).

Byłam samotną matką, a to oznaczało, że nikt nie wyręczy mnie w zakupach. Jeśli nawaliłam, przychodził taki wieczór, poranek albo weekend, kiedy zamiast papieru toaletowego musiałyśmy używać chusteczek – a bywało i gorzej.

W niektórych dziedzinach zaczęłam już nad sobą pracować. Jadłam śniadanie przed wyjściem z domu. Dawniej zmieniałam biegi, łykając w tym czasie płatki Cheerios. Musiałam kupić pokrowce na siedzenia, żeby zasłonić wszystkie plamy. Zmieniłam więc samochód i wprowadziłam nowe zasady: żadnego jedzenia ani picia za kierownicą. Jak dotąd złamałam się w kwestii jedzenia (rozkładałam sobie na kolanach gazetę na okruchy), ale z piciem się pilnuję.

I zaczęłam przestrzegać ograniczeń prędkości. Wiele lat temu ani sędzia, ani dwa mandaty po 50 dolarów w ciągu sześciu tygodni nie zdołały mnie przekonać, że więcej zaoszczędzę wychodząc z domu 15 minut wcześniej niż przekraczając dozwoloną prędkość o 15 kilometrów na godzinę. Dopiero kiedy podnieśli mi ubezpieczenie, postanowiłam zacząć przestrzegać prawa. Teraz, kiedy moi pasażerowie narzekają, że jadę za wolno, traktuję to jako komplement.

Od czasu do czasu wciąż jeszcze nabijam sobie siniaki, goniąc za tym ulotnym, idealnym życiem, które zaplanowałam w swoim terminarzu. Ciało nie zawsze nadąża za umysłem. Za szybko przechodzę przez drzwi i obijam sobie biodra. Ścinając róg, zapominam, że tylna część ciała nie wyszła jeszcze na prostą. Najgorsze są szafki na akta. Od ich kantów mam siniaki, które później mienią się wszystkimi kolorami tęczy.

Ale to nic w porównaniu z tym, jak posiniaczone było moje ego po publicznym upokorzeniu, jakie sama sobie zafundowałam, bo szkoda mi było czasu na to, żeby rozebrać się jak należy. Dawniej szybko zrzucałam z siebie ubranie, bo spieszyłam się do ważnych zajęć. Nie zdejmowałam po kolei skarpetek, spodni i bielizny. Robiłam to jednym błyskawicznym ruchem. Majtki i skarpetki zostawały zagrzebane gdzieś w spodniach.

Tego dnia wciągnęłam w pośpiechu spodnie i wybiegłam z domu. Pędziłam przez dzień z prędkością światła. Musiałam załatwić różne ważne sprawy, żeby móc zająć się innymi, jeszcze ważniejszymi. Jedną z nich były zakupy. Wysiadając z samochodu na parkingu przed supermarketem Sparkle, wdepnęłam obcasem w coś miękkiego. Najpierw jęknęłam, sądząc, że to psia kupa. Spojrzałam w dół i zobaczyłam brązową plamę. Był to kłębek damskich rajstop. Schyliłam się i odkryłam, że jest przyczepiony do czegoś, co zwisa z nogawki moich spodni.

Zdezorientowana, ciągnęłam, ciągnęłam i ciągnęłam, czując jak coś pełźnie mi w dół po nodze, aż w końcu trzymałam w dłoniach parę rajstop. Ku mojemu przerażeniu, jakiś mężczyzna obserwował

całą sytuację z chodnika. Ten obraz wyrył się w mej pamięci niczym fotografia i zawsze przypomina mi, żebym się wyluzowała i zwolniła tempo.

Wciąż jeszcze od czasu do czasu wpadam na szafki z aktami, ale incydent z rajstopami jak dotąd się nie powtórzył. Chociaż kiedyś odkryłam na udzie jakąś dziwną narośl, a gdy wsunęłam dłoń w jeansy, wyciągnęłam z nich brudną skarpetkę, która tkwiła w spodniach, odkąd ostatni raz miałam je na sobie.

Może powinnam była ją tam zostawić jako ochraniacz przed siniakami.

Lekcja 5

Co miesiąc spłacaj zadłużenie na kartach kredytowych

Mój tata płacił za wszystko gotówką.

Jeśli nie starczało mu na coś gotówki, to znaczyło, że tego nie potrzebuje.

Pracował jako blacharz, dekarz albo zdun, zależnie od pory roku. Latem zawieszał rynny i naprawiał dachy; zimą prowadził przewody ciepłownicze i naprawiał piece.

Nigdy się nie dowiedziałam, ile zarabia. Wszystko, co miał, rozdzielał między jedenaścioro dzieci. Dość powiedzieć, że gdy dorastaliśmy, w domu się nie przelewało, ale mieliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy.

Tata nigdy nie mówił: „Nie stać nas na to”. Patrzył tylko na obiekt naszych pragnień i wyrokował:

– Nie potrzebujesz tego.

I miał rację. Nie potrzebowaliśmy tych rzeczy. Po prostu chcieliśmy je mieć.

Nauczył nas panować nad swoimi zachciankami.

Odkładałam moment wyrobienia pierwszej karty kredytowej, dopóki nie była mi potrzebna, żeby zarezerwować pokój w hotelu. Karta była dla mnie zagadką. Nikt mnie nie nauczył, jak kupować na kredyt. Kiedyś spłaciłam zadłużenie z tygodniowym opóźnieniem. Uznałam, że lepiej będzie uregulować całą kwotę naraz niż pokryć miesięczne minimum. Na kolejnym rachunku figurowała kara za spóźnienie – 25 dolarów. Gdybym spłaciła część należności na czas, zaoszczędziłabym 25 dolarów. Dostałam nauczkę.

Trudniej mi było zrozumieć, o co chodzi z odsetkami. Musiało minąć trochę czasu, zanim się zorientowałam, że płaszcz, który kupiłam na wyprzedaży, wcale nie był przeceniony, skoro sześć miesięcy później wciąż płacę za niego 14-procentowe odsetki.

Zaczęłam przyglądać się wszystkim pozycjom na miesięcznym wykazie. Gdybym płaciła za te rzeczy gotówką, podjęłabym inne decyzje. Po posiłku za 30 dolarów łatwiej wyciągnąć kartę, niż wysupłać trzy dychy. Kiedy trzeba zapłacić gotówką, w głowie pojawia się myśl, żeby pominąć przystawki i deser. Jeżeli muszę wyjąć z portfela 60 dolarów, żeby zapłacić za jeansy, które nie są mi potrzebne, natychmiast uświadamiam sobie, jak dużą mogę ponieść stratę, i czasem postanawiam odłożyć je na półkę. Kiedy używam karty kredytowej, czuję się doskonale – dopóki nie przyjdzie rachunek. Wtedy ból jest dotkliwy, ale nic już się nie da zrobić.

Większości z nas pieniądze przeciekają przez palce. Tu dolar, tam pięć. W sumie co roku z tych niewielkich kwot robią się setki czy tysiące. Wielu marzy o wyższych zarobkach. Gdybym tylko dostał podwyżkę. Gdybym wżenił się w bogatą rodzinę. Gdybym wyszła za bogacza. Ale widziałam wystarczająco dużo programów Doktora Phila i Suze Orman, żeby wiedzieć, że problemy finansowe nigdy nie biorą się z braku pieniędzy. Chodzi raczej o to, jak myślisz o pieniądzach, jak się z nimi obchodzisz. A to możesz zmienić.

Dziś większość ludzi słyszała już o „czynniku latte”. David Bach w książce *The Finish Rich Workbook* („Zeszyt ćwiczeń dla przyszłego bogacza”) zauważa, że jeśli codziennie wydajesz 3 dolary i 50 centów na kawę latte, tygodniowo daje to 24 dolary i 50 centów. Gdybyś zainwestował

tę sumę z 10-procentową roczną stopą zwrotu, trzydzieści lat później miałbyś 242 916 dolarów. Nie pijam kawy *latte*, ale tę samą zasadę można zastosować do każdej innej rzeczy. Ja nazywam ten wskaźnik czynnikiem Oreo.

Odkładając 50 centów dziennie, w sumie gromadzisz aż 15 dolarów miesięcznie. Pij o jeden litr napojów gazowanych mniej tygodniowo, a co miesiąc zaoszczędzisz 6 dolarów. Zabieraj lunch do pracy, a po miesiącu zostanie ci w kieszeni 60 dolarów. Dwa razy w miesiącu zjedz w domu zamiast iść do restauracji – oszczędzisz 30 dolarów. Wystaw jeden mniej czek bez pokrycia – to oszczędność rzędu 20 dolarów. Spłacaj karty kredytowe na czas, żeby nie dostać 25 dolarów kary za spóźnienie. Wszystko razem daje 1872 dolary rocznie.

Zaczęłam notować, ile pieniędzy zostawiam w automatach, delikatesach, restauracjach, kawiarniach i sklepach spożywczych, kupując niezdrowe przekąski. Chipsy, napoje gazowane, batoniki i ciasteczka nie wydawały mi się drogie, dopóki nie podliczyłam, ile mnie kosztują: łącznie 30 dolarów tygodniowo. Nie mogłam w to uwierzyć. Po tej analizie postanowiłam jeść mniej śmieci i oszczędzać pieniądze, które marnowałam na słodycze.

Zainspirowana *The Finish Rich Workbook*, przylepiłam sobie w portfelu karteczkę z napisem: „Płać gotówką. Odczekaj 48 godzin”. Teraz zanim wydam sto dolarów na coś, co nie jest mi niezbędne, czekam dwa dni, żeby sprawdzić, czy naprawdę tego potrzebuję albo chcę.

Nie robię już debetu na karcie kredytowej. Nigdy. Jeśli płacę kartą za coś drogiego, zaraz po powrocie do domu wypisuję czek na tę kwotę firmie, która ją wydała. Zdarza się, że wysyłam cztery чеки miesięcznie, ale końcowe rozliczenie przestało być niemiłą niespodzianką. Psychicznie i fizycznie już za wszystko zapłaciłam.

Wygrana na loterii nie pomoże nikomu wyjść z długów. Zapytajcie szczęśliwców, którzy wygrali, a potem wszystko roztrwonili. Wychodzenie z długów wymaga zmiany sposobu myślenia, a potem zmiany zachowania. Trzeba zacząć od małych kroków. Na początek – oddzielić zachcianki od potrzeb.

Kiedyś napisała do mnie kobieta, która odkładała każdą dwudziestopięciocentówkę, jaką kiedykolwiek dostała, żeby uzbierać 10 000 dolarów na chesne dla syna. Inna oszczędzała 10 procent każdej zarobionej kwoty, wliczając w to pieniądze otrzymane na Boże Narodzenie i urodziny. Z roczną pensją w wysokości zaledwie 5800 dolarów, oszczędziła 400 dolarów na meble do sypialni.

Pewna czytelniczka rzuciła palenie. Po dziewięciu latach bez papierosa mogła kupić klimatyzację, nowy piec i wykładzinę, bo co miesiąc zostawało jej w portfelu sto dolarów. Kiedyś całą tę forę puszczała z dymem. Inne kobiety opowiadały mi, że odkładają 10 dolarów tygodniowo na święta Bożego Narodzenia, albo liczą, ile oszczędzają dzięki kuponom zniżkowym w sklepach spożywczych. Pewna przedsiębiorcza mama ustawiła w salonie duży szklany słój z napisem: WAKACJE W CIEPŁYCH KRAJACH. Kiedy dzieci prosiły ją o pieniądze na lody albo cukierki, przypominała im, że mają do wyboru słodycze albo wyjazd. Do wakacji uzbierali połowę kwoty. Dzięki temu dzieci nauczyły się podejmować właściwe decyzje. Muszę powiedzieć, że te dzieciaki były bardziej zdyscyplinowane niż mój mąż i ja. My wrzucaliśmy drobne do dwudziestolitrowej butli po wodzie w naszej sypialni. Napełnienie jej zajęło nam sześć lat, ale kiedy skończyliśmy, mieliśmy do wydania 1300 dolarów.

Żeby żyć w dostatku, nie trzeba wygrać na loterii, bogato wyjść za mąż ani dostać podwyżki. Najważniejsza jest zmiana sposobu myślenia, bez tego ani rusz. Najważniejsze to uświadomić sobie, że nasze zachcianki nie zawsze odzwierciedlają nasze potrzeby – a często nie odzwierciedlają nawet naszych prawdziwych pragnień. Najważniejsze są mądre wybory, które przyniosą nam długotrwałą satysfakcję.

Lekcja 6

Nie musisz wygrać każdego sporu. Pozwól innym zostać przy swoim zdaniu

Zanim wyszłam za mąż, zdrowo się uśmiełam, czytając o parze, która przygotowała szesnastostronicową intercyzę, szczegółowo regulującą najdrobniejsze elementy ich życia, poczynając od tego, że w samochodzie nie może być mniej niż pół baku benzyny, aż po zakaz zostawiania skarpetek na podłodze. Szesnaście stron? Co za absurd!

Po ślubie nie wydawało mi się to już takie zabawne. Kiedy kupiliśmy z mężem dom, atrament na umowie nie zdążył jeszcze wyschnąć, a my już zaczęliśmy kruszyć kopie o różne detale.

Zawsze uważałam swojego męża za dyplomatę. Pobraliśmy się późno, przed moimi czterdziestymi urodzinami. We wczesnej fazie naszego związku Bruce powiedział, że są dwa typy kobiet: te, które malują paznokcie i te, które tego nie robią.

– A który wolisz? – zapytałam, chowając dłonie.

– Jeden i drugi – odpowiedział, bo nie pamiętał, do którego typu się zaliczam.

Zaimponowało mi, że nawet gdy nie wie, co powiedzieć, potrafi powiedzieć to, co trzeba. Na jednym z naszych pierwszych spotkań mieliśmy w kawiarni małą scysję, która pokazała mi, jakim typem mężczyzny jest Bruce. Siedzieliśmy na zewnątrz z jego przyjacielem, gdy obok naszego stolika przeszła rozkołysanym krokiem atrakcyjna kobieta z obfitym biustem nieskrępowanym stanikiem. Przyjaciel szturchnął mojego męża i obaj spojrzeli na nią, szczerząc się jak nastoletni chłopcy. Byłam wściekła. Po wyjściu z kawiarni wsiedliśmy do samochodu i tam oświadczyłam Bruce'owi, że zachował się niegrzecznie wobec tej kobiety i wobec mnie. Spodziewałam się, że przewróci oczami, powie, że jestem przewrażliwiona i każe mi się uspokoić. Nastawiłam się na kłótnię i powtórzyłam w myślach argumenty. Tymczasem Bruce wysłuchał, co miałam do powiedzenia, spojrział mi w oczy i od razu przeprosił.

– Masz rację – przyznał. – Zachowałem się jak nastolatek. Nigdy więcej tego nie zrobię.

Co?! Na to nie byłam przygotowana. Chciałam się kłócić, przekonywać go do swoich racji, chciałam wygrać. Tymczasem on poddał się od razu.

Bruce należy do tych nielicznych ludzi, którzy, kiedy nie mają racji, natychmiast to przyznają z podniesionym czołem.

Mój mąż nie musi wygrać każdego sporu i pierwszy uznaje swoją porażkę. Kiedy widzi, że kłótnia utknęła w martwym punkcie, oznajmia ze spokojem godnym laureata pokojowej Nagrody Nobla:

– Nie przekonasz mnie, a ja nie przekonam ciebie, więc pozostajmy przy swoich zdaniach.

Trudno z tym dyskutować.

Zanim go poznałam, nigdy nie spotkałam się z takim podejściem. Początkowo nie znosiłam, kiedy zamieniał się w Pana Mediatora i wygłaszał tę kwestię. Dla mnie każdy spór był starciem dwóch stron, z których jedna okazywała się zwycięska. A tą zwycięską stroną musiałam być ja. Remis nie wchodził w grę. Pozostać przy własnych zdaniach? To by znaczyło, że nikt nie musi mieć racji i nikt nie musi się mylić.

Nie jest to łatwe, zwłaszcza w małżeństwie. Kiedy dowiedzieliśmy się, że nasza oferta na dom

została przyjęta, oboje zaczęliśmy planować, jak go urządzimy. Od samego początku miałam wrażenie, że kupiliśmy dwa różne domy. Ja sądziłam, że pozbędziemy się większości mebli skompletowanych podczas wyprzedaży garażowych i zaczniemy od nowa. Mój mąż chciał zatrzymać wszystkie rozpadające się krzesła, kanapy i lampy, jakie zgromadził od czasów studiów.

Bruce uznał, że mój gabinet urządzimy na drugim piętrze w pokoju z balkonem – ja chciałam zająć pokój z wbudowanymi półkami na książki. On zamierzał ustawić w kącie śniadaniowym swoje komputery – ja chciałam tam w spokoju czytać poranną prasę. On planował kupić małą pralkę i suszarkę i wstawić je do kuchni. Dla mnie było nie do przyjęcia, że miałabym wdychać zapach proszku do prania, przyrządzając spaghetti. On rzucił tylko okiem na boczną werandę i wyobraził sobie przeszkłony, słoneczny pokój. Ja od razu wiedziałam, że chciałabym tam wstawić huśtawkę i rośliny.

Dyplomatycznie zaproponowałam, żeby przed rozpoczęciem remontu ustalić, co faktycznie będziemy robić w każdym pokoju. Hm. Zastanówmy się: Kuchnia i jedzenie. Kuchnia i pranie. Co lepiej do siebie pasuje? Moim zdaniem kącik śniadaniowy i komputery do siebie nie pasują. Bruce zarezerwował jadalnię na swój księgozbiór. Kiedy się rozpakował, pokój przypominał księgarnię.

Chciał zbudować w łazience półki na radio i telewizor (ogląda CNN, jak twierdzi, przy goleniu, mimo że nosi brodę). Wedle jego wizji, nad toaletą miała biec półka z książkami i gazetami. Książki w łazience? To ile czasu planował tam spędzać?

Jeśli mężczyźni naprawdę są z Marsa, a kobiety z Wenus, to mój mąż pochodzi z Plutona. Dla mnie sypialnia to mój azyl. Dla niego – składzik rupieci. Właściwie wszystkie pomieszczenia planował wykorzystać w ten sposób. Ponieważ w domu nie przewidziano miejsca na kanciapę, usiłował urządzić ją w każdym pokoju. Kiedy mój mąż mówił o kanciapie, oczyma wyobraźni widziałam pokój wyłożony ciemną boazerią, z tapetą w kaczki, wieszakiem na broń i różnymi zwierzęcymi szczątkami na ścianach (takimi jak głowa jelenia, wypchany rekin czy skóra niedźwiedzia). Wprawdzie Bruce nie kolekcjonuje trofeów myśliwskich, ale potrzebował miejsca na swoje rozliczne gadżety, w tym także wartą tysiąc dolarów bieżnię, której użył dwa razy, jeśli nie liczyć wieszania na niej ubrań, żeby się przewietrzyły. Nazywam ją najdroższym wieszakiem świata.

Ale nie myślcie, że jestem taka nieugięta. Ustąpiłam w najważniejszej sprawie: uzgodniliśmy, że weźmiemy jego łóżko, a nie moje. Od razu zajął swoją stronę materaca. Nawet gdy mieszkał sam, zawsze sypiał po tej samej stronie, a druga przez całą noc pozostawała nietknięta. Jest spod znaku Panny, więc nawet przez sen zachowuje porządek.

Łatwiej było dojść do porozumienia w dużych sprawach niż przy drobiazgach. W końcu zaczęliśmy się wyklócać o szczegóły. Bruce chciał rozwiesić na ścianach wszystkie dwieście grafik ze swojej kolekcji. Byłby zadowolony, gdyby każdy pokój wyglądał jak restauracja Fridays. Zgodziłam się na zbiór pamiątek z czasów zimnej wojny w jadalni. Przynajmniej patrząc na znaki schronów przeciwatomowych, żółtą syrenę przeciwlotniczą, gigantyczną puszkę sucharów i plakat z dziewczynką, która pyta: „Mamusiu, co się z nami stanie, jeśli spadnie bomba?”, czuliśmy się wdzięczni za każdy posiłek.

Ostatecznie doszliśmy do porozumienia odnośnie wszystkiego poza resztą grafik, które przez rok podpierały ściany. Ja chciałam, żeby na jedną ścianę przypadała jedna grafika; on wolał użyć ich w charakterze tapety. W końcu, pokój po pokoju, postanowiliśmy pozostać przy swoich zdaniach.

Niektóre ściany zagospodarował Bruce, inne ja. Impas nastąpił, gdy przyszła kolej na czerwone wyścigówki na czarnym tle. Wyglądały jak coś, co piętnastolatek powiesiłby nad łóżkiem – a rok później wyrzucił do śmieci. Marzyłam, żeby się ich pozbyć. Bruce natomiast chciał je powiesić na honorowym miejscu.

– Czy możemy pozostać przy swoich zdaniach? – zapytałam, wypróbując jego strategię w stylu Jimmy’ego Cartera. W końcu zgodził się na to, żebyśmy schowali te grafiki do piwnicy, dopóki nie uzgodnimy, gdzie je powiesić. Natknął się na nie trzy lata później.

– Czyje to? – zapytał.

Twierdził, że nigdy wcześniej ich nie widział. Uśmieliśmy się, a potem wyrzuciliśmy grafiki z piwnicy i uzgodniliśmy wspólne stanowisko: samochody wyścigowe prezentują się świetnie – ale przed domem, skąd zabierze je śmieciarz.

Lekcja 7

Płacz w towarzystwie przynosi większą ulgę niż płacz w samotności

Uwielbiam chodzić do kina. Można siedzieć w ciemnościach i po kryjomu zalewać się łzami. Czasami wzrusza mnie film, kiedy indziej daję upust emocjom, które nagromadziły się we mnie przez kilka poprzednich tygodni. Dobry smutny film pozwala mi nadrobić zaległości w płaczu, który zbyt długo tłumiłam i dusiłam w sobie.

Każdy, kto mnie dobrze zna, widział, jak płaczę. Moja córka śmieje się ze mnie, bo ronię łzy na reklamach Kodaka i oglądając kiepskie telewizyjne melodramaty, których koniec można przewidzieć, jeszcze zanim rozlegnie się ckliwa muzyczka.

Przez całe życie byłam beksą. W szkole podstawowej każdego dnia znajdowałam powód do płaczu. Płakałam, jeśli mnie lub kogoś innego spotkała niesprawiedliwość. Rodzeństwo dokuczało mi, że jestem dziecinna; koledzy z klasy i niektórzy nauczyciele również. Ale nie mogłam nic na to poradzić. Wyrażałam emocje łzami. Przez lata usiłowałam powstrzymywać się od płaczu. W podstawówce moim celem było wytrzymać cały dzień w szkole bez łez. Udało mi się to w końcu w ósmej klasie.

Kiedy umarł prezydent John F. Kennedy, chodziłam do drugiej klasy szkoły podstawowej. Zakonnice w szkole imienia Niepokalanego Poczęcia chwaliły Pierwszą Damę za jej siłę, bo nie uroniła publicznie ani jednej łzy. Jackie była ideałem wdowy, ideałem kobiety, ideałem katoliczki. Świat przyglądał się jej skrytej za czarną woalką twarzy i widział dystygowaną, opanowaną wdowę, która nie wybuchła rozpaczliwym płaczem nad trumną męża, nawet kiedy mały John John zasalutował, gdy go mijała.

Zakonnice porównywały ją do Maryi, matki Jezusa. Powiedziały nam, że Maryja nigdy nie płakała. Nawet stojąc u stóp krzyża. Nawet trzymając ciało zmarłego syna. Nawet przy jego grobie. Nigdy. Przez długi czas im wierzyłam.

Kilkadziesiąt lat później przeczytałam, że Jackie Kennedy wypływała samotnie łodzią przyjaciela na morze, żeby opłakiwać śmierć męża. Czekala, aż znajdzie się daleko od brzegu, patrzyła na bezkresny ocean i szlochała z tęsknoty. Kiedy skończyłam czytać ten artykuł, płakałam i ja. Jakie to smutne, mieć ukrywać swoje łzy, zwłaszcza łzy tak głębokiej rozpacz.

Zastanawiam się, co dziś powiedziałyby o niej tamte zakonnice. Właściwie to nie pamiętam, żeby podczas ośmiu lat, które spędziłam w szkole katolickiej, kiedykolwiek płakały. Jeśli nawet, to nigdy nie pozwoliły, żeby uczniowie to zobaczyli. Może łzy były grzeszne według dawnych zasad Kościoła.

Wiele lat po tym, jak skończyłam szkołę podstawową, na ekrany kin wszedł film *Jezus z Nazaretu*. Bardzo podoba mi się scena, w której Maryja stoi u stóp krzyża w strugach deszczu, opłakując śmierć syna. To więcej niż płacz: ona szlocha i zawodzi. Ta Maryja płakała jak matka, która straciła syna, nie jak święta, która poddaje się Bożej woli.

Płakała tak, jak chcielibyśmy płakać wszyscy, ale nie mamy na to odwagi.

Większość z nas uczono, że łzy są oznaką słabości. Jeśli zdenerwujesz się w pracy, idziesz się wypłakać do łazienki. Chowasz się w kabinie i tłumisz szloch papierem toaletowym. Przeczytaj pierwszy z brzegu artykuł o tym, jak kobiety mogą się przebić w świecie biznesu, a znajdziesz tam

przestrozę: Żadnych łez. Nie pozwól, żeby ktoś zobaczył, jak płaczesz.

Kiedy płaczesz publicznie, ludzie próbują cię powstrzymać. Czują się tym skrępowani. To towarzyski nietakt, gorszy niż przeklinanie. Właściwie większość ludzi lepiej się czuje w towarzystwie kogoś, kto przeklina, niż kogoś, kto płacze. Płacz w miejscu publicznym świadczy o braku kontroli, o utracie władzy nad emocjami. W kulturze, która ceni siłę, nawet zaszkłone oczy są niedopuszczalne.

Przez całe życie próbowałam być silna i mniej płakać. Ale kiedy powstrzymywałam płacz, robiłam się czerwona na twarzy, policzki zaczynały mnie piec, a łzy i tak wymykały mi się spod powiek, choć ze wszystkich sił starałam się je tam zatrzymać.

Aż w końcu na którejś sesji terapeutka wyjaśniła mi, że te łzy to mój atut. Carol powiedziała, że płacz jest częścią mnie, tak jak moje niebieskie oczy i brązowe włosy. – Jaki to cudowny dar, doświadczać życia tak intensywnie – rzekła.

Najlepsza rada na temat płaczu, jaką kiedykolwiek usłyszałam, to żeby płakać w towarzystwie. Carol powiedziała, że płacz w samotności nie ma takiej mocy, jak płacz w obecności drugiej osoby.

Gdy płaczesz sam, wylewasz bez końca te same łzy. Gdy płaczesz z kimś, twoje łzy mogą uzdrowić cię raz na zawsze.

Podczas studiów religioznawczych przeczytałam książkę o świętym, który niemal stracił wzrok, bo tak dużo i tak często płakał. Święty Ignacy, założyciel zakonu jezuitów, uważał swoje łzy za wielki dar od Boga. Zainspirował mnie do napisania dwudziestodwustronicowej pracy o darze łez.

Ignacy był żołnierzem i prawdziwym macho: dzielił swój czas między wojnę i pogoń za szczęściem w postaci kobiet i władzy, dopóki kula armatnia nie roztrzaskała mu nogi. Wtedy odnalazł Boga. W pierwszej części *Dziennika duchowego* pisze o łzach 175 razy, a w drugiej wspomina o nich w każdym wpisie. A jego płacz to nie było kilka kropli uronionych tu czy tam, lecz potężne strumienie łez, tak intensywne, że odbierały mu mowę. Te łzy przyniosły z sobą wspaniałe dary – pokorę, bliski kontakt z Bogiem, większą pobożność, spokój i siłę. Ignacy uważał, że łzy są mistyczną łaską.

Niestety, bardzo wiele kobiet i mężczyzn nie pozwala sobie na łzy i wręcz chwali się tym, że nie płacze. Pamiętam, jak ktoś mi powiedział, że prawie się rozpłakał na *Liście Schindlera*. Prawie? Po co się powstrzymywał?

Czemu robiła to Jackie? Albo zakonnice? Czemu ktokolwiek to robi? Ja już nie potrafiłabym, nawet gdybym chciała. Pozwalam moim łzom płynąć i dbam o to, żeby zawsze mieć wodoodporny tusz do rzęs.

Jednym z moich ulubionych wersetów biblijnych jest ten najkrótszy: „Jezus zapłakał”^{*}. W ten sposób okazał swoje człowieczeństwo. Uronił kłopotliwe, niemęskie łzy. Nie zrobił tego na osobności. Zapłakał wśród przyjaciół i wyznawców. Przed tłumem ludzi.

Musimy przestać ukrywać łzy i zacząć się nimi naprawdę dzielić. Trzeba być silnym, żeby płakać. A jeszcze silniejszym, żeby dać innym zobaczyć te łzy. Musimy być na tyle silni, żeby móc pozwolić sobie na słabość, niezależnie od tego, kto nas zobaczy.

^{*} Jeżeli nie zaznaczono inaczej, przekłady pochodzą z piątego wydania Biblii Tysiąclecia.

Lekcja 8

Możesz się rozgniewać na Boga. On to wytrzyma

Kiedy ostatni raz rozgniewałeś się na Boga?

Nie powinniśmy czuć do niego złości, prawda?

Inaczej ześle na nas deszcz siarki i ognie piekielne.

Potrafię sobie wyobrazić ognie piekielne, ale o co chodzi z tym deszczem siarki?

Zostałam wychowana w katolicyzmie i nie pamiętam, żeby którykolwiek ksiądz pozwolił wiernym gniewać się na Boga.

Naszym zadaniem było lękać się Stwórcy, Jego zadaniem było nas straszyć.

W pewnej starej opowieści, na dzień przed Jom Kippur rabin posyła swoich uczniów do krawca, by dowiedzieli się od niego, na czym polega Dzień Pojednania. W ciągu dziesięciu dni między żydowskim Nowym Rokiem (Rosh ha-Szana) a Jom Kippur pobożni Żydzi podejmują trud duchowego oczyszczenia. Jom Kippur to najświętszy dzień modlitwy, czas postu i refleksji. Żydzi wspominają miniony rok, przepraszają za błędy i obiecują poprawę.

Podglądający krawca uczniowie widzą, jak mężczyzna zdejmuje z półki grubą księgę. W środku zostały spisane wszystkie grzechy, jakich dopuścił się w ciągu minionego roku. Krawiec oświadcza Bogu, że nadszedł czas rozliczenia. Unosi tom do góry i pokazuje listę swoich grzechów.

Potem krawiec wyjmuje drugą księgę. W niej spisane są wszystkie grzechy, jakich dopuścił się Bóg, cały ból, rozpacz i cierpienie, jakie zesłał na krawca i jego rodzinę. Na koniec krawiec oznajmia Bogu: – Wszchemogący Boże, gdyby policzyć wszystko co do joty, okazałoby się, że zawiniłeś mi znacznie bardziej niż ja Tobie.

Dość obcesowe zachowanie, nie sądzicie?

Zamiast targować się z Bogiem o zapisy z księgi, krawiec chce zawrzeć pokój. Umawia się z Bogiem, że wybaczy Mu Jego grzechy, jeśli On wybaczy grzechy jemu. Potem krawiec nalewa sobie kieliszek wina, błogosławi go i mówi:

– Niech zapanuje między nami pokój i radość. Wybaczyliśmy sobie nawzajem. Teraz nasze grzechy są niebyłe.

Czyste konto u Boga. Czyste konto dla Boga.

Każdy z nas powinien udzielić Bogu amnestii. Jak wielu ludzi odwraca się od Boga albo ma do Niego żal za cierpienia, ból i rozpacz, jakich doświadczyli?

Jak wielu pyta, gdzie był Bóg, kiedy samoloty roztrzaskały się o bliźniacze wieże World Trade Center? Gdzie był, kiedy ich syn zmarł na białaczkę, kiedy ich córka popełniła samobójstwo, kiedy czuli rozpacz i samotność nie do zniesienia?

Nikt tak naprawdę nie zna odpowiedzi. Wszyscy snujemy domysły. Standardowa odpowiedź księży brzmi: „Bóg dał nam wolną wolę i nie ingeruje w codzienne sprawy człowieka”. Nawet jeśli go o to błagamy? Ci sami duchowni mówią przecież, że Bóg zsyła nam łaski w postaci dzieci, pracy, talentów i tak dalej. Skoro Bóg może zsyłać dary, czy nie mógłby oszczędzić nam tego wszystkiego, czego nie chcemy? Dlaczego Bóg nie chroni nas przed chorobą, śmiercią i ruiną?

Nie zawsze rozumiem, o co chodzi Bogu, ale i tak się modłę. Jak w tym starym powiedzeniu: nie mam pojęcia, jak działa elektryczność, ale nie będę z tego powodu siedzieć po ciemku. Nie muszę rozumieć Boga, żeby w Niego wierzyć. Nadzieję czerpię z tych słów anonimowego autora: „Wierzę w słońce, nawet gdy nie świeci. Wierzę w miłość, nawet gdy jej nie czuję. Wierzę w Boga, nawet gdy milczy”.

Nieraz czułam się opuszczona przez Boga. Potrzebowałam wielu lat terapii, żeby zmyć z siebie urazy z dzieciństwa, z którego wyszłam rozbita i obolała. Pod koniec terapii, po wielu miesiącach rozmów o wszystkich, którzy się do tego przyczynili, moja terapeutka zasugerowała, że pozostała nam do omówienia jeszcze jedna ważna postać.

Powiedziała mi, że mam prawo być zła na Boga za to, że mi nie pomógł, że nie było go przy mnie, gdy potrzebowałam ochrony.

– Nic podobnego. Nie jestem zła na Boga – odpowiedziałam.

Ale mimo wiary, moją duszę przepełniało głębokie zwątpienie i pytania, które wciąż nie dawały mi spokoju:

„Gdzie był wtedy Bóg? Ja nie pozwoliłabym, żeby jakieś dziecko cierpiało. Więc jak Bóg mógł na to pozwolić?”. Sza! – uciszałam ów głos.

– Bóg zawsze był przy mnie – skłamałam. Nie miałam zamiaru ryzykować, że rozgniewam się na Boga. Przecież bywały dni, kiedy był mi jedynym oparciem. Jak mogłabym być zła na Boga? Jakim prawem?

Nigdy nie zapomnę ilustracji, które pokazano nam w pierwszej klasie podstawówki w szkole imienia Niepokalanego Poczęcia.

W starym katechizmie zobaczyłam, jak czarna staje się dusza grzesznika. Czy gniew na Boga nie byłby najczarniejszym z grzechów? Znalazłby się w kategorii grzechów śmiertelnych i przeważałby szalę w rejestrze, w którym Bóg opisuje mnie i moją duszę.

Niebo nie zaszłoby ciemnością, nie zabiłby mnie grom z jasnego nieba, żaden głos nie zagrzmiąłby słowami potępienia. Nie byłam aż tak naiwna. Nie obawiałam się gromów. Bałam się raczej, że stracę pracę, zdrowie albo córkę. Nie zamierzałam oblać próby Hioba. Dlatego modliłam się i udawałam, że wszystko gra. Tak, między Bogiem a mną wszystko było w porządku. To tylko reszta świata i zamieszkujący ją ludzie niemiłosiernie działali mi na nerwy.

Któregoś dnia robiłam szefowi awanturę z tak błahego powodu, że dziś nawet nie pamiętam, co to było. Wybiegłam jak burza z newsroomu, wskoczyłam do samochodu i z piskiem opon wyjechałam z garażu. Dzięki Bogu, mój szef nie przechodził akurat przez parking, bo mogłabym nie wcisnąć hamulca. Dojechałam do domu i usiadłam do maszyny do szycia, żeby w spokoju zaszyć dziurę w sukience. W połowie pracy igła maszyny złamała się na pół.

Wtedy coś we mnie pękło.

Walnęłam pięściami w stół. Zaklęłam. Potem wsiadłam do samochodu, żeby się przejechać. Wykrzyczałam wtedy całą nienawiść i wściekłość na wszystkich ludzi, którzy mnie kiedykolwiek porzucili i zranili. Kiedy skończyłam, zrozumiałam, że nie chodziło mi o szefa, tatę, mamę, zakonnicę ani żaden inny dawny autorytet. Tak naprawdę wkurzył mnie największy z największych. Resztę złości wykrzyczałam Bogu. Przeklinałam Go na czym świat stoi, rzuciłam nawet słowo na „k”. Nagle poczułam, jak ogarnia mnie dziwne uczucie.

Ułga.

Pod całą tą złością odnalazłam głęboki spokój.

Pod morzem goryczy odnalazłam miłość Boga.

Poczułam, jak rozgrzewa mnie wewnętrzny blask, jakby Bóg powiedział do mnie z uśmiechem:

– Od razu lepiej, prawda?

Zaczęłam się śmiać. Bóg chciał, żebym zrzuciła z siebie ten ciężar, który przygniatał mnie od lat, żebyśmy mogli stać się sobie jeszcze bliżsi.

Pewien jezuita nadał tej modlitwie nazwę. Ojca Jima Lewisa poznałam w Jezuickim Domu Rekolekcyjnym w Parmie. Jego prostota emanowała głębią. Powiedział mi, że Bóg pragnie wejść z nami w prawdziwy, autentyczny związek, w którym panuje taka sama szczerłość i otwartość, jak w dobrym małżeństwie.

Odkrył to, gdy męczył się po przenosinach do nowej parafii. Próbował okazać posłuszeństwo i zaakceptować tę sytuację, ale był nieszczęśliwy. Starał się modlić z wdzięcznością, ale nie miał jej w sobie. Usiłował odgrywać rolę szczęśliwego sługi Pana, ale mu nie wychodziło.

Pewnego dnia w końcu się załamał. Poszedł sam do kaplicy, pozdrowił Boga, a potem zaczął cicho przeklinać na czym świat stoi.

– Niech to szlag. Niech to szlag. Niech to szlag. Niech to szlag. Niech to szlag.

To wszystko. Powtarzał tę modlitwę każdego dnia, dopóki nie wyrzucił z siebie całego gniewu. Kiedy pozbył się złości, mogło ją zastąpić nowe uczucie. Spokój. Bóg znów miał u niego czyste konto. Teraz mogli zacząć wszystko od nowa.

Ojciec Lewis nazywa to modlitwą „Niech to szlag”.

Jest świetna na chwile, gdy cały się gotujesz w środku.

Bóg nie chce, żebyśmy byli tak święci, że aż nieludscy. Nie oczekuje wymuszonych modlitw i obłudnych pochwał. Bóg pragnie szczerego, autentycznego, prawdziwego związku.

Dziś Bóg i ja jesteśmy najlepszymi kumplami. Codziennie wieczorem chodzimy na spacer. Codziennie rano siedzimy razem w milczeniu. Przez cały dzień gawędzimy. No dobrze, mówieniem zajmuję się głównie ja. Niezależnie od tego, co się wydarzy w ciągu dnia, idziemy spać z czystym kontem. Jak w dobrym małżeństwie, nikt nie kładzie się spać zły.

Lekcja 9

Najważniejszym organem płciowym jest mózg

Moja przyjaciółka Sheryl chciała mnie poznać ze swoim przyjacielem.

– Nie chodzę na randki w ciemno – oświadczyłam.

– To tylko przyjęcie – odpowiedziała.

Nie powiedziała mi zbyt wiele o tym facecie. Nosi brodę, jest rozwiedziony, pracuje w public relations. To wszystko, co usłyszałam.

Gdyby dodała, że to palący agnostyk spod znaku Panny, wielbiciel jazzu, sushi i wielkomiejskiego stylu życia, który rzadko bywa w domu, nie miałby u mnie najmniejszych szans. W końcu ja jestem niepalącą katoliczką, wegetarianką spod znaku Bliźniąt, która uwielbia muzykę country i małe miasteczka, a większość wieczorów spędza na kanapie. W teorii zupełnie do siebie nie pasowaliśmy.

Był rok 1992. Zdecydowałam się przyjść na to przyjęcie w ostatniej chwili. Sheryl przedstawiła mnie Bruce'owi... i od tego momentu nie mogliśmy przestać rozmawiać. Przesiedzieliśmy na kanapie wiele godzin. Bruce kochał swoją pracę i gorąco pragnął zmieniać świat na lepsze. Miał piękne, ciepłe brązowe oczy, które budziły we mnie poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie lśniły podekscytowaniem. W tych oczach coś się kryło.

Zadzwoił następnego dnia i przegadaliśmy trzy godziny. Dowiedziałam się, że śpiewa pod prysznicem i płacze na filmach. Ale byłam ostrożna. Na jakiś czas odpuściłam sobie związki, od niemal dwóch lat żyłam w celibacie. Kilka lat chodziłam na terapię, żeby uwolnić się od traumy z dzieciństwa. Chciałam zerwać ze swoim schematem i przestać przyciągać niedostępnych mężczyzn, którym trudno przychodzi bliskość i zaangażowanie. Pragnęłam, żeby pokochał mnie ktoś, kto zostanie ze mną na dłużej. Jak każda zraniona kobieta, marzyłam o kimś, kto nigdy mnie nie skrzywdzi, nigdy nie zawiedzie, nie odtrąci ani nie porzuci. To były nierealistyczne oczekiwania.

Nie wiedziałam, co myśleć o Brusie, więc na naszej pierwszej prawdziwej randce dałam mu trzy propozycje do wyboru: mogliśmy pójść do kina lub na kolację albo pojechać do miasta, w którym dorastał, i obejrzeć jego domy, szkołę i inne ważne dla niego miejsca, żebym mogła się o nim więcej dowiedzieć. On odwrócił kota ogonem i zaproponował, żebyśmy zwiedzili moje rodzinne miasto.

Jeździliśmy więc po dwunastotysięcznej Ravninie. Przejechaliśmy obok mojego domu, kościoła, szkoły podstawowej, gimnazjum, ogólniaka i wszystkich miejsc, w których kiedyś pracowałam. Ostatnim punktem wyprawy był cmentarz, gdzie leżą pochowani moi dziadkowie. Siedzieliśmy w samochodzie, patrząc, jak sierp księżyca wschodzi na tle szkarłatnego nieba i nagich drzew. Bruce powiedział, że ta chwila ze mną jest równie dobra jak seks. Zrozumiałam, że ten mężczyzna z całą pewnością różni się od wszystkich, z którymi dotąd się spotykałam.

Tej samej nocy wylądowaliśmy w restauracji, rozmawiając o tym, czego szukamy. Czy on planuje ponownie się ożenić? Czy ja w ogóle mam zamiar wyjść za mąż? Zgadzałam się co do jednego: jeśli tak, to nie będziemy szukać męża ani żony, tylko partnera życiowego, najlepszego przyjaciela.

Tej nocy zaczęłam wierzyć, że miłość do mężczyzny ma sens. Bruce był błyskotliwy, zabawny i szczery. Dowiedziałam się, że jest żydem, ale w grudniu uwielbia śpiewać chrześcijańskie kolędy

przed kawiarniami. Że pokazuje dzieciom sekretny znak z *Klanu urwisów*, ma w salonie stosy książek, a dla właściwej osoby rzuciłby palenie.

Podobały mu się moje potargane, falujące włosy, chudy nos, dłonie i piegi. Pokazał mi zdjęcia swojej mamy, babci, synów i rodzeństwa. Wyjął nawet telefon komórkowy, wyłączył go i powiedział:

– Nigdy tego nie robię.

Przysłał mi kasetę z balladami miłosnymi i jazzem na jednej stronie i swoimi ulubionymi piosenkami świątecznymi na drugiej. Powiedział, że nagrał ją, żeby mnie uwieść. Podziało.

Wszystkie te miłe słowa i gesty sprawiały, że czułam się bezpiecznie. Cieszył się jak dziecko z naszych spotkań. Trzymał mnie za rękę i godzinami rozmawialiśmy, siedząc na kanapie. Było tak, jakby nocował u mnie najlepszy przyjaciel. Bruce został moim kumplem.

Do łóżka poszliśmy dopiero po Wielkiej Rozmowie. To był jego pomysł, nie mój. Kiedyś przegadaliśmy na kanapie całą noc. Pytał o moje poprzednie związki. Chciał poznać wszystkie okrzęne i podziurawione drogi, które doprowadziły mnie do niego. On był żonaty przez piętnaście lat, a rozwiedziony od dwóch. Ja nigdy nie wytrzymałam dłużej niż rok z tym samym facetem. Miałam na koncie trudną relację z ojcem i mnóstwo związków z mężczyznami przypominającymi mojego ojca, którzy mieli w dodatku trudne relacje z matką. Nienajlepsze połączenie. Bruce zażartował, że lubi kobiety z przeszłością. Roześmialiśmy się, a potem oboje płakaliśmy, kiedy ja opowiadałam, a on słuchał, jakim wyzwaniem będzie mnie pokochać. Tyle ran musiało się jeszcze we mnie zagoić. Przez całe życie nigdy nie poczułam się całkowicie bezpieczna emocjonalnie i fizycznie przy żadnym mężczyźnie. Ledwie uświadamiałam sobie własne potrzeby intymne. Dorastałam w przekonaniu, że kobieta ma służyć mężczyźnie i jeśli czerpie z tego jakąś przyjemność, to dobrze, a jeśli nie, to bez znaczenia.

Bruce zachęcał mnie, żebym była z nim absolutnie szczerą, żebym powiedziała mu otwarcie, co lubię, a czego nie. Ale ja nie wiedziałam, co lubię, ani czego oczekuję od związku, bo nigdy nie miałam okazji się nad tym zastanowić. Większość ludzi dorasta do swojej seksualności. Ale osobie takiej jak ja, molestowanej seksualnie w dzieciństwie i zgwałconej jako nastolatka, tożsamość seksualna zostaje skradziona. Wtedy nie ma się szansy stopniowo dorosnąć. Kiedy ktoś narzuca ci własną seksualność, to hamuje twój rozwój. Dorosłe życie spędziłam, usiłując zadowolić mężczyzn, robiąc wszystko, czego – jak sądziłam – chcieli, ale nie miałam pojęcia, co sprawia przyjemność mnie samej.

Bruce nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że najważniejsze w naszym związku to zbudować i utrzymać przyjaźń, a seks nie ma decydującego znaczenia. Nauczył mnie tej wspaniałej, odwiecznej prawdy: Przyjaźń jest na pierwszym miejscu. To dusza związku, wyjaśnił.

Zanim spotkałam Bruce'a, przyjaciółka z terapii zdradziła mi, że w Wielkiej Księdze Anonimowych Alkoholików znalazła również wskazówki odnośnie relacji damsko-męskich. Jej autorzy musieli mieć poczucie humoru, bo porady seksualne znajdują się na stronie 69. Księga radzi, żeby zacząć od obrachunku osobistego: przyjrzeć się swoim urazom i lękom, ale także swojemu życiu seksualnemu, i zastanowić się, co się w nim sprawdzało, a co nie. A potem w porozumieniu z Bogiem wypracować rozsądne rozwiązanie, które będzie odpowiednie właśnie dla ciebie.

Musiałam zawierzyć moją seksualność Bogu. Musiałam ujrzeć w seksie dar od Boga, który stworzył

mnie wraz z moimi pragnieniami i namiętnościami. Musiałam zrozumieć i uwierzyć, że Bóg miał dość wyobraźni, żeby stworzyć mężczyzn, którzy mnie nie wykorzystają ani nie porzucą.

Seks musiał stanowić część czegoś większego, część związku. Tym razem tak właśnie było. Zanim przyszło co do czego, przegadaliśmy wiele godzin. W pewnym momencie Bruce wskazał na swoją głowę i powiedział:

– Seks jest tutaj. Nie trzeba niczego udawać. Nie trzeba nikogo zadowolić. W seksie nie chodzi tylko o to, żeby osiągnąć orgazm – mówił. – To tylko wisienka na torcie. Na ciasto składają się inne składniki. Zróbmy więc ciasto.

I zrobiliśmy. Minęło dziesięć lat, a my nadal świetnie się bawimy przy pieczeniu. Nasze życie seksualne nigdy nie opierało się wyłącznie na naszych ciałach. I dobrze, bo one zmieniają się z czasem. Moje ciało zmienił rak. Po tym, jak usunięto mi piersi, potrzebowałam trochę czasu, żeby znów poczuć się seksowna. Bruce powtarzał mi, że mój mózg musi po prostu przystosować się do nowej sytuacji. Miał rację.

Jeśli chodzi o seks, najważniejsza strefa erogenna znajduje się między twoim prawym i lewym uchem.

Lekcja 10

Bóg nigdy nie daje nam więcej, niż potrafimy udźwignąć

W książce *Oddech, oczy, pamięć* jest pewien piękny fragment, który sprawia, że zaczynamy inaczej patrzeć na to, co musimy znosić w życiu, na problemy, których chcielibyśmy się pozbyć, i na wszystko, czego zazdrościmy innym.

Autorka Edwidge Danticat opisuje grupę ludzi w Gwinei, którzy dźwigają niebo na głowach. W swojej lirycznej powieści o tragedii i traumie, z którą musi się zmierzyć rodzina kobiet, opowiada historię ludzi na tyle silnych, że są w stanie znieść wszystko. Stwórca zaprojektował ich tak, żeby potrafili udźwignąć więcej niż inni. Nie wiedzą, że zostali do tego powołani. Ale jeśli spotyka cię w życiu wiele trudności, to znaczy, że jesteś stworzony do tego, żeby im podołać.

Niektórzy z nas muszą znosić więcej niż inni. Mój wujek Paul został powołany, żeby dźwigać na swoich barkach część nieba.

On i ciocia Veronica byli moimi rodzicami chrzestnymi. Mieli już pięcioro dzieci, gdy na świat przyszło najmłodsze. Kiedy usłyszeliśmy o dziecku, zaczęliśmy płakać. Dobra wiadomość była taka, że urodził im się chłopiec. Zła, że coś było z nim nie w porządku.

Brett Francis Kelly przyszedł na świat w 1972 roku, kiedy ludzie używali jeszcze takich słów jak „mongoł” i „opóźniony w rozwoju”. W tamtych czasach w rodzinie mówiło się o tym szeptem i przez zęby, a lekarze sugerowali, żeby oddać dziecko do domu opieki. Nie istniały jeszcze programy pomocowe dla dzieci specjalnej troski.

Brett nie był idealnie zdrowym dzieckiem, o które modli się każdy rodzic. Miał po dziesięć palców u rąk i u nóg, ale to nie wszystko. Mój kuzyn przyszedł na świat z dodatkowym, dwudziestym pierwszym chromosomem.

Miał zespół Downa. W tamtych czasach dzieci z zespołem Downa nie uważano za wyjątkowe. Uważano je za katastrofę. Ale ciocia i wujek kochali Brettą tak samo jak pozostałą piątkę.

Potem ciocia zachorowała na raka. Rak piersi przerzucił się na kości. Umarła, kiedy Brett miał dopiero trzy lata. Jej mąż został wdowcem z szóstką dzieci. Jak wujek Paul miał poradzić sobie z wychowywaniem sześciorga dzieci? Najstarsze skończyło dopiero czternaście lat.

Ale to nie koniec nieszczęść. Wujek stracił pracę. Opuścił zbyt wiele dni, troszcząc się o chorą żonę. Wtedy nie było jeszcze prawa, które by go chroniło. Co się stało z jego rodziną? Mój wujek dbał o to, żeby wszyscy trzymali się razem. Uczynił Brettą centrum ich wszechświata. Ten uszkodzony element układanki w jakiś sposób dopełnił całości.

Wujek Paul nigdy nie narzekał, że musi samotnie wychowywać sześcioro dzieci. Zdobył licencję pośrednika nieruchomości, żeby móc pracować z domu. Prał i sprzątał, kiedy dzieci leżały już w łóżkach. Nigdy powtórnie się nie ożenił. Zawsze powtarzał:

– Wziąłem ślub na całe życie.

Swoim partnerem życiowym uczynił Brettą. Ci dwaj byli nierozłączni.

Brett nie cenzurował swoich wypowiedzi. Co w sercu, to na języku. Nie potrafił kłamać. Kiedy widział kobietę z pokaznym siedzeniem, oznajmiał:

– Masz wielki tyłek.

Kiedy dostrzegał odbicie swojej obfitej ponad miarę postaci, mówił do lustra:

– Jestem taki seksowny! – i wierzył w to.

Brett odciskał swoje piętno wszędzie, gdzie się pojawiał. Na ślubie mojej kuzynki Bridget udawał barmana. Na ślubie mojego brata Jima tak wirował po parkiecie, że prawie zgubił spodnie. Na pogrzebie mojego wujka Johna oblał się wodą i zdjął spodnie, więc musiał siedzieć owinięty w koc.

Nigdy nie dorósł.

To było w Bretcie cudowne. Na zawsze pozostał dzieckiem. Oraz najlepszym kumplem swojego taty. Minęło kilkadziesiąt lat. Każde z dzieci po kolei pełniło rolę matki, a potem wyjeżdżało na studia, przekazując to zadanie następnemu bratu lub siostrze.

Kiedy wujek skończył osiemdziesiąt lat, zastanawialiśmy się, kto zaopiekuje się Brettem w przyszłości. Problem nie polegał na tym, że Brett był niechcianym przez nikogo ciężarem. Wręcz przeciwnie, każde z jego rodzeństwa chciało wziąć go do siebie.

Niedługo po osiemdziesiątych urodzinach wujka otrzymaliśmy złą wiadomość.

W przeddzień ślubu siostry Bretta rodzina zebrała się na próbny obiad. Spędzili razem cały dzień: wszystkie siostry i bracia, ich mężowie, żony i dzieci oraz wujek Paul. W pewnym momencie, zupełnie znienacka, Brett powiedział:

– Nie martwcie się. Jest tu mama. Wszystko będzie dobrze.

Po kolacji Brett zemdłał. Miał zator płuc. Nie udało się go ocucić.

Dom pogrzebowy wprost tonął w zdjęciach. Brett w garniturze pierwszokomunijnym. Brett w czapce i todze. Brett w stroju do koszykówki. Brett ze swoimi medalami z olimpiady specjalnej. Mój wujek zadbał o to, żeby Brett wiódł ciekawe życie.

Podczas mszy pogrzebowej ksiądz poprosił, żebyśmy się zastanowili, jak wykorzystujemy powierzone nam dary.

– Brett otrzymał swoje w sposób naturalny – mówił w swoim kazaniu ksiądz. – Wraz z dodatkowym chromosomem. Potrzebujemy ludzi takich jak Brett. Brett nie był upośledzony. On nam pokazał, czego oczekuje od nas Bóg: żebyśmy radowali się każdym oddechem.

Potrzebujemy też ludzi takich jak wujek Paul. To on trzymał na swoich barkach świat, żeby Brett mógł na nim dokazywać, ciesząc się wszystkim tak, jak tylko on potrafił. W świecie Bretta zając wielkanocny i Święty Mikołaj istnieli naprawdę, urodziny trwały siedem dni i nie było czegoś takiego jak rasa, tylko ludzie z mocniejszą opalenizną.

Wujek uśmiechał się, gdy jego syn, Paul, wygłaszał mowę o bracie:

– Ludzie zawsze nam mówili, że Bretta spotkało ogromne szczęście, że nas ma. Ale było na odwrót. To nas spotkało ogromne szczęście, że mieliśmy Bretta.

Rodzina była ze sobą tak zżyta dzięki wujowi Paulowi, który dźwigał na własnych barkach niebo nad nimi.

Wujek zadzwonił kiedyś do mnie niespodziewanie tylko po to, żeby mi powiedzieć, jaki jest ze mnie dumny. Zachowałam tę wiadomość i odtwarzam ją czasem, żeby usłyszeć jego głos, drżący od Parkinsona i ze starości, jednak pełen serdecznej wdzięczności. Wujek Paul nigdy nie narzekał na los, który przypadł mu w udziale.

Z pewnością podpisałby się pod zdaniem, że Bóg nigdy nie daje nam więcej, niż potrafimy

udźwignąć. Niektórzy z nas potrafią znieść więcej, inni mniej. Nawet jeśli dostaniemy do dźwigania część nieba, nie będzie to ciężar. Będzie to dar.

Lekcja 11

Pogódź się z przeszłością, by nie psuła ci teraźniejszości

Czy zdarzają się wam takie dni, kiedy wszystko jest w porządku, a potem nagle się psuje?

Choć na zewnątrz nic się nie zmieniło, w środku czujemy się zupełnie inaczej. Stało się coś, czego nie potrafimy nazwać, i nagle zapadamy się głęboko w siebie.

Trudno powiedzieć, co wytrąciło nas z równowagi. Jakiś odgłos. Zapach. Przypadkowe zdanie. Coś tak błahego wystarczy, żebyśmy znów znaleźli się w swoim prywatnym piekle cierpienia, strachu i rozpacz. Wszystko dzieje się tak szybko, że człowiek nawet nie wie, jak tam trafił. A czasem ma się wrażenie spadania w zwolnionym tempie, którego nie da się powstrzymać.

Co wywołuje taką reakcję?

Każdy jest wyczulony na coś innego, szczególnie ci, którzy w dzieciństwie byli wykorzystywani albo zaniedbywani w ten czy inny sposób. Mnie wystarczy taka błahostka jak zapach kredy i kartony mleka. Widok małych składanych krzesełek, podobnych do tych, na których siedzieliśmy w pierwszej klasie. Płacz dziecka w sklepie. Widok rozgniewanego rodzica, ciągnącego malucha przez parking. Odgłos ciała uderzającego o ciało w brutalnym filmie.

Czasami każda z tych rzeczy może wytrącić mnie z równowagi. Nagle czuję się przerażona i samotna, tracę kontakt z rzeczywistością. Nazywam to nagłym atakiem dzieciństwa. W mgnieniu oka przestaję być dorosłą, poukładaną osobą. Staję się bezbronna i przestraszona, i nie rozumiem dlaczego. Pewien terapeuta, który kiedyś pracował z weteranami wojny w Wietnamie, powiedział mi, że dorośli, którzy jako dzieci byli wykorzystywani lub zaniedbywani, mogą cierpieć na stres pourazowy. Przez lata nosimy w sobie krzywdy z dzieciństwa, które, niczym odłamki, torują sobie drogę wewnątrz ciała, żeby się z niego wydostać.

Dawniej potrzebowałam wielu dni, żeby wrócić do stanu równowagi. W tym czasie chodziłam do pracy, gotowałam obiad, bawiłam się z dzieckiem i usiłowałam normalnie funkcjonować, chociaż w środku czułam się tak, jakbym była na skraju załamania nerwowego. Jeszcze jedna kropla, a dzban goryczy przelałby się i zostałyby ze mnie tylko kałuża łez.

Dzieciństwo odciska piętno na każdym z nas. Większość ludzi wyniosła z tego okresu kilka ran – na tyle małych, że rzadko są podrażniane, a potem łatwo i szybko się goją. Inni mają psychikę przypominającą krajobraz księżycowy pełen głębokich kraterów, pozostawionych przez chorych psychicznie krewnych lub nauczycieli, przemoc domową czy molestowanie seksualne albo rękoczyn i furię rodziców, którzy jako dzieci też byli przez kogoś wykorzystywani lub zaniedbywani.

Poważne sprawy rzadko zbijają nas z nóg. Poważne sprawy można dostrzec z daleka i ich uniknąć. Jeśli widzisz lub słyszysz nadjeżdżający pociąg, schodzisz z torów i trzymasz się od niego z daleka. To drobiazgi wbijają cię w ziemię. To, czego nie zobaczysz, póki nie spojrzysz w lusterko wsteczne.

Pewnego dnia jak zwykle wjechałam do garażu. Mój mąż, który stał na podjeździe, powiedział, żebym przestawiła odrobinę samochód. Usłuchałam. Ale ciągle mu coś nie pasowało.

– Nie, jeszcze trochę – nalegał.

Mogłam się uśmiechnąć i przestawić wóz albo wręczyć mu kluczyki, żeby sam perfekcyjnie

zaparkował. Zamiast tego poczułam, jak ogarnia mnie nagła furia, jakby podpalił króciutki lont ogromnej bomby. BUM! Nagle znów byłam dzieckiem. Dlaczego muszę być idealna? Dlaczego nigdy nie jestem dość dobra? Po co ja w ogóle się staram?

Ale zamiast wybuchnąć, zwykle tłumię wściekłość. Zamiast krzyczeć i wściekać się, zamykam się w sobie i płaczę. To stare łyzy. Czuję, że płyną z innego źródła w moim wnętrzu. Boli mnie twarz, pulsują mi zatoki, a po wszystkim muszę iść spać.

Incydent z samochodem? Po kilku godzinach udało mi się odnaleźć w pamięci sytuację, z którą mi się skojarzył. Stoję na podjeździe rodziców. Tata chce, żebym pomogła mu wstawić telewizor do jego kombi. Telewizor jest ciężki i nieporęczny, a ja nie wiem, jak zdaniem taty mam go przenieść i wcisnąć w niewielką przestrzeń, którą mi wskazał. Chwytam za swoją połowę telewizora i wsuwam go do samochodu. On każe mi przesunąć go do tyłu. Jak to do tyłu? Nie wiem, czego ode mnie oczekuje. Wtedy zaczyna na mnie krzyczeć. Mój tata albo milczał, albo krzyczał. Nie wiem dlaczego, ale błyskawicznie przechodził od opanowania do wściekłości. Jego furii niemal zawsze towarzyszyły te słowa:

– Cholera jasna, co z tobą jest nie tak? Czy ty nic nie umiesz zrobić tak, jak trzeba?

Wykrzyczał je wtedy na podjeździe, trzymając telewizor. Nie mogłam go puścić i odejść, więc stałam tam, a tata się na mnie wyżywał. Ani razu nie usłyszałam przeprosin. Nigdy nie przyznał, że ma zły dzień albo gorszy moment.

Z czasem nauczyłam się wychodzić z dołka. Najpierw trzeba zauważyć, że się w nim utknęło. Oto mój sygnał ostrzegawczy: kiedy moje emocje nie pasują do bieżących wydarzeń, wiem, że chodzi o dzieciństwo. Nauczyłam się zatrzymywać ten moment, zupełnie jakbym wcisnęła przycisk „pauza” na filmie. Wtedy mówię sobie: „Zaraz, zaraz. Czy to jest reakcja na to, co dzieje się teraz, czy chodzi o przeszłość? Nie potrafię zmienić przeszłości. Ale zmieniając swoją reakcję na jej okrucieństwa, mogę zmienić teraźniejszość”.

Pewien terapeuta pokazał mi świetną metodę obrony przed atakami dzieciństwa. Weź kartkę papieru. Wypisz na niej dowody na to, że jesteś dorosły i radzisz sobie z życiem. Zapisz swój wiek, poziom wykształcenia, tytuły naukowe, stanowisko pracy, umiejętności, takie jak prowadzenie samochodu i wychowywanie dzieci. Zapisz, że możesz głosować i robić inne rzeczy, które robią dorośli ludzie. Kiedy poczujesz, że balansujesz nad przepaścią, wyjmij tę kartkę i przeczytaj ją. Zakorzeń się w teraźniejszości, skoncentruj się na dorosłej osobie, którą jesteś dziś, zamiast na dziecku, którym byłeś kiedyś. To pomoże ci odzyskać grunt pod nogami.

Na drugiej stronie kartki zapisz namiary na swoją ekipę ratunkową. Wymień przyjaciół, do których możesz zadzwonić w chwili kryzysu, żeby pomogli ci wyjść z dołka. Wybierz najbliższych ci ludzi, tych, którzy kochają cię najbardziej, takim jakim jesteś. Ludzi, którzy nie przestraszą się twojej ciemnej strony. Ludzi, którzy pomogą ci wydostać się na powierzchnię.

Zmiana sposobu myślenia o sobie wymaga pracy, ale jeśli ci się to uda, wszystko w twoim życiu zmieni się na lepsze – zwłaszcza najintymniejsze związki. Jeśli nie podejmiesz się tego trudnego zadania, wciąż będziesz się borykać z przeszłością i odnajdywać najgorsze cechy swojej mamy i swojego taty w każdym partnerze. Dzięki zmianie sposobu myślenia nie pozbędziesz się ran z dzieciństwa, ale przestaniesz je rozdrapywać.

Moi przyjaciele z terapii opowiedzieli mi taką historię:

Pewnej nocy pijak wychodzi z baru i w drodze do domu wpada w głęboką dziurę na drodze. Nie potrafi się z niej wydostać. Jakiś przechodzień wrzuca do środka Biblię, cytuje werset z Pisma Świętego, żeby dodać uwięzionemu nadziei i odchodzi. Terapeuta zatrzymuje się i próbuje pomóc pijakowi zrozumieć, dlaczego w ogóle wpadł do tej dziury. W końcu jego krzyki słyszy zdrowiejący alkoholik.

– Czy możesz mi pomóc? – woła mężczyzna z rowu.

– Pewnie! – odpowiada trzeźwy i wskakuje do środka.

Pijak wrzeszczy:

– O nie, teraz obaj utknęliśmy w tym rowie!

Trzeźwy uśmiecha się i odpowiada:

– Nie martw się. Już tu byłem. Wiem, jak się stąd wydostać. Wyjdziemy razem.

Nie chodzi tylko o to, żeby omijać tę dziurę z daleka. Ani o to, żeby szybciej się z niej wydostawać. Chodzi o to, żeby ją zasypać, tak by już nikt do niej nie wpadł. Czym można ją wypełnić? Bogiem. Innymi słowy, miłością: miłością do siebie, miłością do innych, miłością do Boga.

Kiedy ostatni raz wydostałam się z dołka pod tytułem: „Nie jestem dość dobra”, modliłam się: „Jak mam uwierzyć w to, że jestem dość dobra?”. W głębi duszy usłyszałam cichą odpowiedź: „Pomagaj innym uwierzyć w to, że oni są dość dobrzy”.

Lekcja 12

Twoje dzieci mogą zobaczyć, że płaczesz

Mojego tatę trudno byłoby nazwać beksą.

W ciągu 42 lat naszego wspólnego życia tylko dwa razy widziałam, jak płacze. Pierwszy raz, kiedy jego najmłodsza siostra umarła na raka. Drugi, kiedy rozgniewał się na mojego brata i wyrzucił go z domu.

Pożałował tej decyzji jak tylko brat zamknął za sobą drzwi i odjechał. Tygodniami snuł się po domu bez celu, aż wreszcie ze łzami w oczach poprosił mnie, żebym namówiła brata do powrotu.

Kiedy tata dorastał, nie wolno mu było płakać. W ówczesnym brutalnym świecie nie było miejsca na łzy. Nie mógł dać się złamać. On przetrwał Wielki Kryzys, ale rodzinne gospodarstwo już nie. Patrzył, jak jego ojciec traci farmę, którą kochał. Zabrakło pieniędzy, a potem zabrakło szczęścia. Mój tata dostał po głowie za to, że dał owsa koniom, które inaczej z pewnością zdechłyby z głodu. W ósmej klasie rzucił szkołę i poszedł do pracy, żeby pomóc rodzinie przetrwać.

Nie był zwolennikiem łez.

Gdy któreś z nas płakało, zawsze krzychał:

– Czego płaczesz? Już ja ci dam powód do łez!

Wtedy zaczynałam płakać jeszcze bardziej. Zbyt wielu mężczyzn dorasta, nie uroniwszy choćby jednej łzy. Czytałam kiedyś, że wielki baseballista Pete Rose wzruszył się do łez, gdy po długich staraniach zdobył jakieś sportowe trofeum. Powiedział wtedy prasie, że rozpłakał się pierwszy raz w życiu. Pierwszy raz? Był już wtedy ojcem. Jak mógł nie płakać w chwili narodzin swojego dziecka?

Jest coś wyjątkowego w tym, że pozwalasz dzieciom zobaczyć swoje łzy. One nie świadczą o twojej słabości. Świadczą o tym, że jesteś człowiekiem. Uświadamiają dzieciom, że wolno im przeżywać świat głęboko i w pełni. Nigdy nie zapomnę pewnego ojca, który zadzwonił, żeby opowiedzieć mi o najlepszym meczu koszykówki w jego życiu, meczu, który wycisnął mu łzy z oczu – i o tym, jak się cieszył, że te łzy zobaczył jego syn.

Tej nocy miał grać LeBron James. Ten genialny gracz miał już własną świtę, a ogólnokrajowe media podążały za nim krok w krok, choć wciąż chodził do szkoły średniej. Zanim jeszcze zaczął grać w NBA, jeździł hummerem i miał w kieszeni kontrakty z producentami obuwia sportowego warte miliony dolarów.

Jak wielu ojców, i ten chciał pokazać swojemu synowi LeBrona w akcji, więc zjawili się na sali gimnastycznej wcześniej, żeby zająć dobre miejsca. LeBron był najlepszym koszykarzem w szkolnej lidze, jaki pojawił się od wielu lat. Już wkrótce miał zostać profesjonalistą, ale wtedy grał jeszcze w barwach swojej szkoły – Liceum św. Wincentego i Maryi w Akron.

Ojciec i syn zajęli miejsca na trybunach, czekając na koniec meczu drugiego składu Liceum Wadsworth. Nagle, na minutę przed końcem czasu, mecz przerwano. Wadsworth wygrywało dziesięcioma punktami, kiedy trener drużyny z Liceum Cloverleaf zatrzymał mecz. Po sali przeszedł szmer. Widzowie zastanawiali się, czemu trener poprosił o czas, skoro przewaga przeciwników była

znacząca, a wszyscy czekali z niecierpliwością na rozpoczęcie prawdziwego meczu wieczoru, meczu, na który przyszedli, meczu z LeBronem.

Wtedy ów ojciec zauważył niskiego, chudego gracza siedzącego na skraju ławki w zielonej koszulce Cloverleaf Colts z numerem 10. Kiedy koszykarz wstał, mężczyzna dostrzegł jego utykanie, lekko przekrzywioną głowę, nieco nieobecne spojrzenie, pokryte bliznami ucho, nie do końca ukształtowane w łonie matki.

Mężczyzna nie wiedział, że chłopca utrzymuje przy życiu zastawka w głowie, która drenuje mu wodę z mózgu, ale też nie pozwala uprawiać intensywnie sportu. Chłopiec nie mógł sobie pozwolić na uderzenie w głowę. Zalecenia lekarza.

Trener postanowił jeszcze przed meczem, że wpuści Adama Cerny'ego na boisko, niezależnie od tego, jaki będzie wynik.

Wiedział, jak bardzo Adam pragnął zagrać przeciwko największemu rywalowi szkoły, i uznał, że chłopak na to zasłużył. Na każdym treningu zjawiał się pierwszy, a wychodził ostatni. Mył podłogę, przynosił butelki z wodą i wyjmował piłki.

Ojciec i syn na trybunach patrzyli, jak Adam dochodzi do podania i rzuca daleko spoza linii trzech punktów. Chybił.

Zamiast skoczyć za piłką, pognać przez boisko i dobić kolejne punkty, zawodnicy przeciwnej drużyny stali w miejscu. Chcieli dać Adamowi jeszcze jedną szansę.

Zegar odliczał czas. Adam rzucił i chybił. Dwanaście sekund. Znowu chybił. I jeszcze raz. Dziesięć sekund. Dziewięć sekund. Drużyna Wadsworth nie chciała przejąć piłki. Jeden z koszykarzy zachęcał nawet Adama, żeby podszedł bliżej, ale chłopak odmówił.

W tym momencie wszyscy już stali i dopingowali Adama Cerny'ego. Ci, którzy go znali, krzyczeli:

– Dalej, Adam!

I:

– Cer-nee! Cer-nee!

Na cztery sekundy przed końcem Adam rzucił piłkę. Brzęczyk rozległ się w chwili, kiedy piłka wpadła do kosza.

Tłum oszalał.

Fani obu drużyn wstali, klaszcząc i wiwatując. Gracze z Wadsworth ściskali Adamowi dłoń i poklepywali go po plecach. Dwóch sędziów na parkiecie biło brawo. Jeden odwrócił się do drugiego i powtarzał bez końca:

– Stary, to było coś.

Na trybunach ojciec z naszej opowieści zaczął płakać. Płakał nad tym, czym stała się szkolna koszykówka w innej hali, w której łowcy autografów, ekipy telewizyjne i ochroniarze kłębili się wokół nastolatka, zatrudniającego zastępy prawników gotowych negocjować dla niego kontrakty reklamowe warte miliony dolarów, chłopca nazywanego Królem Jamesem, który w przyszłości miał opuścić sobie studia i iść prosto do NBA.

Ojciec płakał, bo na żadnym meczu drużyn zawodowych, uniwersyteckich ani szkolnych nie widział lepszego rzutu za trzy punkty. Oczy mu się zaszklily i popłynęły z nich łzy. Kiedy podniósł wzrok, jego pięcioletni syn zapytał, czy płacze dlatego, że drużyna Cloverleaf przegrała mecz. Ojciec nie potrafił mu tego wyjaśnić. Uśmiechnął się tylko i mocno przytulił syna.

Jaki wspaniały dar przekazał dziecku ten ojciec. Mam nadzieję, że chłopiec zapamięta te łyzy. Mam nadzieję, że tata opowie mu, skąd się wzięły, i wtedy obaj będą mieli nad czym płakać.

Lekcja 13

Nie porównuj swojego życia z życiem innych. Nie masz pojęcia, co przyniósł im los

Kiedy w szkole obchodziliśmy Światowy Dzień Modlitw o Powołania, zawsze kuliłam się w ławce.

Dyrektor szkoły Niepokalanego Poczęcia NMP ogłaszał, że ojciec taki-a-taki porozmawia z nami o wyborze powołania. Do wyboru były tylko dwa: zostać zakonnicą albo księdzem.

Bałam się tej rozmowy. Ksiądz przechadzał się po sali, szukając ponad naszymi głowami aureoli. Mówił, że niektórzy chłopcy i dziewczęta w tej sali zostali powołani do tego, żeby zrobić ze swoim życiem coś wyjątkowego.

Chowałam się za dzieckiem siedzącym przede mną, żeby ksiądz – ani Bóg – mnie nie wybrał. Wychodziłam z założenia, że jeżeli Bóg mnie nie zauważy, to mnie nie powoła. Nie chciałam nosić habitu ani chować włosów pod tym ustrojem, które nosiły na głowie dominikanki, pozostawiając na widoku jedynie twarz.

Ostatecznie mieliśmy tylko dwie opcje: wybrać Boga albo świat. A jedyną drogą, by całkowicie oddać się służbie Bogu, było wstąpić do zakonu. Mieliśmy spory wybór: franciszkanie, jezuici albo ojcowie i bracia Maryknoll. Urszulanki, dominikanki albo siostry Wcielonego Słowa. Były nawet foldery, mające przyciągnąć nowych rekrutów, jak w armii.

Z tego co wiem, nikt z mojej klasy nie odkrył w sobie powołania. Wybraliśmy normalne posady i normalne życie: umawialiśmy się na randki, braliśmy śluby i mieliśmy dzieci, choć niekoniecznie w tej kolejności. Czasem zastanawiałam się, czy nie podjęliśmy złej decyzji, wybierając świat zamiast Boga. Nie mieliśmy powołania; zdecydowaliśmy się na pracę i karierę.

Dopiero po wielu latach rozumiałam ideę powołania. Każdy z nas je ma, a wybór nie ogranicza się do zakonów. I nie powinniśmy porównywać swoich powołań ani sprawdzać, jak wypadamy na tle innych.

Wszyscy przyszliśmy na świat służyć czemuś większemu niż my sami. Każdy z nas ma misję, zadanie, powołanie, które przypadło jemu i tylko jemu. Jak dotąd najlepszy opis powołania znalazłam u pisarza i teologa Fredericka Buechnera. Jego słowa pomogły mi skupić się w życiu na tym, co ważne. Parafrazując Buechnera można powiedzieć, że Bóg wybrał dla nas to miejsce, w którym nasza największa radość spotyka się z największą potrzebą świata.

Przez lata usiłowałam odnaleźć swoje powołanie. Chciałam, żeby moje życie miało sens i cel. Potykałam się na ścieżce pełnej wybojów, objazdów i blokad. Pracowałam jako kasjerka w aptece, ścierając kurz z lekarstw. Potem byłam kelnerką. Jako dietetyk w szpitalu, w różowym uniformie i siatce na włosach, nakładałam na tace pacjentów mus z suszonych śliwek. Później udzielałam pierwszej pomocy jako ratownik medyczny. Woziłam ciała zmarłych do domu pogrzebowego. Pracując w sądzie, ściagałam mandaty za przekroczenie dozwolonej prędkości i wypełniałam rejestry wyroków. Jako sekretarka adwokata w moim hrabstwie przepisywałam akta spraw. Byłam recepcjonistką w poradni dla uzależnionych od alkoholu. Prowadziłam terapię indywidualną i grupową dla alkoholików.

Musiałoby minąć kilkadziesiąt lat, zanim zostałam pisarką i zaczęłam robić to, co kocham. Przedtem rozglądałam się wokół, porównując swoje wewnętrzne rozterki z zewnętrznymi sukcesami innych. Chciałam mieć to, co oni, tylko dlatego, że mi tego brakowało. Im wszystkim jest dużo łatwiej, jęczałam. Chciałam żyć ich życiem. Wyglądało zdecydowanie lepiej niż moje.

Przestałam jęczeć w dniu, w którym mój narzeczony mnie zdradził, a ja oddałam mu pierścionek. Wreszcie do mnie dotarło, że mężczyzna to nie plan finansowy. Moja przyszłość zależy ode mnie. Wtedy wróciłam na studia i zaczęłam realizować swoje marzenie o byciu pisarką.

Z czasem przekonałam się, że w Bożej księgowości nic nie idzie na marne. Wszystkie te „zajęcia bez przyszłości” przygotowały mnie do wymarzonej pracy dziennikarki. Jako ratownicza nauczyłam się pracować pod presją czasu. Odbierając ciała zmarłych, nauczyłam się, jak rozmawiać z rodzinami w żałobie. Pracując w środowisku prawniczym, dowiedziałam się, jak czytać akta spraw i szukać ciekawych materiałów w rejestrze karnym. Rozmawiając z alkoholikami, nauczyłam się prowadzić wywiady i słuchać rozmówców, dzięki czemu teraz umiem już poznać, kiedy ktoś wciska mi kit – a to jest przydatne w pracy reportera.

Wszystkie te zajęcia przygotowały mnie do mojej życiowej misji.

Uwielbiam mówić ludziom, że od 1986 roku właściwie nie pracuję. Dostaję pieniądze za pisanie. Pisanie! Moim powołaniem jest inspirować ludzi poprzez słowo pisane. Właśnie w tym miejscu moja głęboka radość spotyka się z głęboką potrzebą świata. Piszę po to, żeby ludzie czuli się mniej samotni.

A co tobie przynosi głęboką radość? W którym miejscu twoje szczęście spotyka się z potrzebą świata? Czy w ogóle się z nim spotyka? Musisz się tego dowiedzieć.

Ci, którzy nie wiedzą, jak dotarłam do tego miejsca w życiu, powiedzą:

– Masz tyle szczęścia...

Szczęścia? Łaski, owszem, ale nie szczęścia. Możesz porównywać się z ludźmi, którzy cię przewyższają, i narzekać, bądź też z ludźmi, których przerastasz, i się tym chełpić – albo skupić się na mężczyźnie lub kobiecie w lustrze i z wdzięcznością wypełniać zadanie powierzone właśnie jemu lub jej.

Jakie zadanie stoi przed tobą?

Możesz być, kim zechcesz – lekarzem, prawnikiem, pracownikiem socjalnym, burmistrzem, prezydentem, felietonistą – ale czemu nie sprawdzić, do czego zostałeś powołany?

Nieważne, co ci się przytrafia, ważne, jak to wykorzystasz. Życie przypomina grę w pokera. Nie masz wpływu na to, jakie dostaniesz karty – ale tylko od ciebie zależy, jak rozegrasz partię. Jednym z moich ulubionych momentów w filmie *Harry Potter i Komnata Tajemnic* jest chwila, gdy wielki mędrzec Dumbledore mówi Harry’emu:

– O tym, kim naprawdę jesteś, nie świadczą nasze zdolności, tylko nasze wybory.

To wybór, a nie przypadek, decyduje o twoim przeznaczeniu. Sam musisz zdecydować, ile jesteś wart, jaką odgrywasz rolę w świecie i w jaki sposób nadajesz mu sens. Nikt inny nie dysponuje tym, co ty – twoim zestawem talentów, pomysłów, zainteresowań. Jesteś oryginalnym egzemplarzem. Arcydziełem.

Pokaż całemu światu, jakim stworzono cię cudem. Ściemniaj, dopóki go nie przekonasz. Wszyscy ściemniamy. Najwięksi pisarze budzą się każdego dnia przerażeni, że już nigdy nie napiszą nic

interesującego. Najwięksi biznesmeni zastanawiają się po przebudzeniu, czy to właśnie dziś świat dowie się, jak wielkimi są pozerami. Najwięksi przywódcy religijni codziennie zmagają się z kryzysem wiary. Najwięksi przywódcy polityczni martwią się, że każda decyzja może ich kosztować kolejne wybory.

Nikt nie czuje się całkowicie bezpiecznie i pewnie. Pewność trwa najwyżej chwilę. Wszyscy boimy się, że popełnimy ten jeden błąd, który zrujnuje nam życie. W rzeczywistości to raczej niemożliwe. Choćbyś popełnił jakikolwiek błąd, który miałby cię zrujnować, twoje życie nie legnie w gruzach. Będzie po prostu wyglądać inaczej.

Wszyscy się boimy, że robimy coś nie tak, że inni nas nie lubią, że nigdy nie będziemy dość mądrzy, dobrzy czy atrakcyjni. Nie walcz z tym. Wyobraź sobie, że jesteś na kolejce górskiej. Ciesz się wybojami na drodze, ostrymi zwrotami, mocnymi przechyłami, wzlotami i upadkami. Życie nie będzie się z tobą patyczkować. Ale nie daj się. Ciesz się każdą chwilą. Strach i podekscytowanie to dwie strony jednego medalu. Pokochaj te emocje.

Nie staraj się iść w ślady innych. Świat nie potrzebuje kolejnej Matki Teresy, Gandhiego, Martina Luthera Kinga, Michaela Jordana, Mayi Angelou ani Billa Gatesa. Świat chce, żebyś był sobą.

Lekcja 14

Jeśli musisz utrzymywać związek w tajemnicy, nie powinieneś w nim być

Jako dwudziesto- i trzydziestolatka zmieniałam mężczyzn jak rękawiczki. Choć w gruncie rzeczy wciąż umawiałam się z tym samym mężczyzną, tylko za każdym razem inaczej się nazywał.

Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki przez jeden z tych związków nie wylądowałam na terapii. Młody, przystojny facet, który flirtował ze mną w pracy, wydawał się wprost wniebowzięty, że się spotykamy. Zachwycił się mną przez jakieś trzy miesiące. I właśnie kiedy dojrzałam do tego, żeby się przed nim otworzyć, oznajmił, że nie może się ze mną spotkać w najbliższy weekend, bo przyjeżdża jego narzeczona.

Jego kto?!

Tak. Był zaręczony.

Znowu okazałam się dla kogoś skokiem w bok. Wpadłam w furję. Przecież wszystko sprawdziłam. Facet nie był gejem, nie miał żony ani żadnych uzależnień. Więc jak to się stało, że znów spotykałam się z niedostępnym mężczyzną?

Powtórka z rozrywki. Dlaczego wciąż popełniałam te same błędy? Tej nocy wysłałam go do diabła, a potem płakałam, modliłam się i pytałam wszechświat:

– Dlaczego stale przyciągam zajętych mężczyzn?

Wszechświat odpowiedział:

– Dlatego, że boisz się tych, którzy są wolni.

O rany.

Bałam się mężczyzny, który mógłby ze mną zostać. Dlaczego? Cóż, w końcu dorastałam pod jednym dachem z mężczyzną, który często krzyczał, pieklił się i wpadał we wściekłość. Z drugiej strony, potrafił być najbardziej hojnym i bezinteresownym ojcem, jakiego można sobie wyobrazić. Nigdy nie było wiadomo, które oblicze pokaże. W którymś momencie dzieciństwa musiałam dojść do wniosku, który zapadł mi głęboko w serce: Mężczyźni ranią. Nigdy się z żadnym nie wiąże.

Więc się nie związałam. Wybierałam mężczyzn, którzy nie zostawali na dłużej. Mężczyzn, którzy byli niedostępni. Mężczyzn żonatych lub zaręczonych; mężczyzn, którzy umawiali się z innymi kobietami, mieszkali w innym stanie albo byli uzależnieni od alkoholu czy pracy. Mężczyzn, którzy nie chcieli się angażować. Fajni, gotowi na związek faceci przerażali mnie, dopóki nie przeszedłam wielu lat terapii.

Terapeutka, która uleczyła moje najgłębsze, najboleśniej rany, podała mi podstawowe zasady związków. Łatwo było je zapamiętać. Pierwsze litery układały się w słowo: **STOP**. Miałam uważać na cztery sprawy, z których pierwsza była najważniejsza:

Sekret. Czy związek nie rozpadnie się pod baczny spojrzeniem opinii publicznej? Jeśli trzeba go utrzymywać w sekrecie, nic tam po tobie.

Trauma. Czy partner w jakikolwiek sposób rani lub poniża ciebie lub twoje dzieci?

Odkocznia. Czy jesteś w związku tylko po to, żeby uniknąć przykrych emocji? Czy ma ci on po prostu poprawiać nastrój?

Pustka. Czy nie brakuje w nim czułości i przywiązania?

To był świetny punkt wyjścia. Odtąd wiedziałam już, czego przede wszystkim powinnam szukać w mężczyźnie: musiał być wolny. Gdy tylko ktoś mi się spodobał, zadawałam sobie pytanie: czy on jest w tej chwili gotowy na związek? Jeśli odpowiedź brzmiała: „nie”, to nie było o czym mówić.

Z czasem opracowałam własną listę wytycznych:

Trzymaj się z daleka od niedostępnych mężczyzn. Niedostępni mężczyźni to między innymi geje, księża, mężczyźni, którzy żyją kilkaset kilometrów od ciebie, żonaci lub zaręczeni z kimś innym oraz mężczyźni, którzy boją się powiedzieć znajomym, że się spotykacie, żeby nie odstraszyć innych potencjalnych kandydatek.

Żadnych tajemnic. Mąż mojej bliskiej przyjaciółki zdradzał ją od lat. To nie był romans, tylko styl życia. W tym samym czasie chodzili na terapię dla par i „pracowali nad swoim związkiem”. Jej mąż udawał, że uczestniczy w sesjach terapeutycznych, ani słowem nie wspominając o tej drugiej, aż pewnego dnia został przyłapany na gorącym uczynku. Małżeństwo się rozpadło. Inna przyjaciółka wciąż wracała do żonatego mężczyzny, myśląc, że w końcu odejdzie od żony i ożeni się z nią. Powtarzałam jej:

– Jeśli wyjdiesz za mężczyznę, który zdradza żonę, wyjdiesz za mężczyznę, który zdradza żonę.

To samo dotyczy się mężczyzn. Jeśli twoja dziewczyna nie chce powiedzieć siostrze, matce, przyjaciółom albo byłemu chłopakowi, że się spotykacie, zapomnij o niej. Nie bądź piątym kołem u wozu. Jeśli ona nie potrafi szczerze i otwarcie przyznać, że się spotykacie, rzuć ją. Chcesz mieć romans czy związek?

Żadnych nałogowców. Jeśli ktoś jest uzależniony od picia, hazardu, marihuany, kokainy, gry na loterii, seksu, pracy czy czegokolwiek innego, należy do kategorii: niedostępny. Pohamuj wewnętrzną potrzebę, żeby odnaleźć i uleczyć chorą duszę. Jeśli wciąż starasz się komuś pomóc, zastanów się, dlaczego to robisz. Jeśli wydaje ci się, że możesz jego lub ją uratować, to źle ci się wydaje. Pierwszy krok w każdym programie dwunastu kroków to przyznać się do bezsilności.

Bądź sobą. I to w stu procentach. Spotykałam się kiedyś z mężczyzną, który stwierdził, że podoba mu się we mnie wszystko, tylko jestem dla niego zbyt uduchowiona. Czy to w ogóle możliwe? I czego on się spodziewał: że zacznę bardziej wierzyć w niego, a mniej w Boga? To, co ceniłam w sobie najbardziej, jemu wydało się trudne do zaakceptowania. Nie chcę kogoś, kto musi mnie tolerować. Chcę kogoś, kto doceni mnie w pełni.

Powiedz światu, czego szukasz w partnerze. Najpierw powiedz to sobie. Zapisz wszystko. Wykreśl to, co najmniej ważne: wzrost, wagę, dochody – wyrzuć to z siebie i zapomnij o tym. Potem zajrzyj w głąb duszy i zadaj sobie pytanie: Czego naprawdę chcę? Wtedy zrób listę. Na samym dole napisz: Tego, albo czegoś lepszego. Potem schowaj listę do jakiegoś pudła i nie myśl o niej więcej.

Nie zwracaj uwagi na opakowanie. Papier, w który zapakowany jest prezent, zwykle nie zdradza, co kryje się w środku. Zdarza się, że opakowanie jest ciekawsze niż to, co znajduje się wewnątrz. A czasami najlepsze prezenty są bez opakowania. Nie ignoruj niskich łysielców ani misiów przy kości. Zanim zaszufładkujesz ich jako „sympatycznych” i tym samym spiszysz na straty, zastanów się poważnie, czego naprawdę chcesz. Nie odrzucaj wrażliwca z sercem na dłoni dla gościa z kaloryferem na brzuchu. Czułe serce zostaje na dłużej niż wyrzeźbiony brzuch. Każda mężatka po czterdziestce ci to powie.

Stwórz lepszą wersję siebie. Zadbaj o to, żeby twoje życie było wspaniałe, niezależnie od tego, czy znajdziesz partnera, czy nie. Korzystaj z każdej okazji, żeby zawierać nowe przyjaźnie, poznawać nowych ludzi, brać udział w nowych przygodach. Zajmij się życiem, o jakim marzysz, zamiast rozglądać się za tym jedynym albo tą jedyną. Gdy przestaniesz za tym gonić, samo do ciebie przyjdzie. Zamiast szukać właściwego partnera, sam stań się właściwym partnerem... dla siebie! Bądź sobą w najlepszy, najgłębszy i najprawdziwszy sposób. Stań się atrakcyjny dla siebie samego.

Każdy może znaleźć swoją drugą połówkę. Ale jeśli próbujesz ze wszystkich sił zmienić się w kogoś, kim nie jesteś, twój księżę z bajki może nie zwrócić na ciebie uwagi, szukając tej kobiety, którą byłeś wcześniej.

Lekcja 15

Wszystko może się zmienić, zanim zdążysz mrugnąć. Ale nie martw się, Bóg nigdy nie mruga

W jednej ze swoich powieści pisarz Chaim Potok porównuje boski i ludzki sposób postrzegania świata. My widzimy świat fragmentarycznie, dlatego że mrugamy. Ale Bóg, który nigdy nie mruga, widzi wszechświat w sposób dla nas niedostępny. Widzi go w pełni.

Niektórzy sądzą, że nieliczni spośród nas również oglądają świat w ten sposób. Siostra Maria Gloria Riva, krytyk sztuki, powiedziała kiedyś w wywiadzie, że święci i artyści widzą świat pomiędzy mrugnięciami. Kiedy przyglądamy się ich dziełom, prześwieca przez nie piękno pełni. Widzą ją wzrokiem wiary. Jej słowa można zrozumieć w ten sposób: jeśli masz wiarę, potrafisz zobaczyć to, co dla większości pozostaje poza zasięgiem wzroku. Tam, gdzie inni widzą jedynie ciemność, dostrzegasz światło, które dopiero rozbłyśnie.

Kiedyś poznałam mężczyznę, który również potrafił dojrzeć teraźniejszość w tym, co jeszcze niedokonane. Wszystko w jego życiu zmieniło się w mgnieniu oka w pewne Boże Narodzenie.

Siódmego grudnia 2002 roku ojciec Mike Surufka przebywał poza miastem, kiedy dowiedział się przez telefon, że plebania, w której mieszkał, stanęła w płomieniach. Ruszył w drogę powrotną, ale docierały do niego coraz gorsze wiadomości. Jego najlepszy przyjaciel zaginął. Nikt nie mógł znaleźć ojca Willy'ego.

Wtedy zadzwonił biskup. Strażacy odnaleźli wśród gruzów ciało. To był ojciec Willy. Śledztwo wykazało kolejną potworność. Nie zginął w płomieniach. Został zastrzelony. Kto mógł zamordować ojca Williama Gulasa?

Wszyscy w kościele św. Stanisława w starej Slavic Village w Cleveland kochali ojca Willy'ego. Był księdzem w pięknym, bogato zdobionym polskim kościele, w którym służyli franciszkanie. W dniu pożaru ojciec Mike dotarł do kościoła w trakcie mszy o piątej po południu. Wszedł w chwili, gdy ludzie modlili się:

– Baranku Boży, zmiłuj się nad nami.

Panował nad sobą dopóki nie podniósł wzroku i nie zobaczył ministrantów, chłopców i dziewcząt, służących przy ołtarzu. Byli wszyscy, co do jednego. Zadzwonili do siebie nawzajem i przyszedli do kościoła. Stali tam w komżach, zalewając się łzami.

Ojciec Mike zapłakał.

Było mu coraz ciężiej. Policja oskarżyła o morderstwo jednego z franciszkanów. Daniel Montgomery mieszkał z dwoma braćmi, ale nie złożył jeszcze ślubów wieczystych, by zostać franciszkaninem. Zachowywał się dziwnie i ludzie czuli się przy nim nieswojo. Ojciec Willy musiał mu powiedzieć, że nic z tego nie będzie.

Brat Dan go zastrzelił, a potem podpalił plebanie, żeby zatuszować morderstwo.

Tej nocy ojciec Mike leżał w łóżku ze świadomością, że stracił wszystko – cały dobytek, dom, przyjaciela. Następnego dnia błąkał się po gruzowisku, po poczerńniętych salach, wśród gryzącego dymu, odłamków szkła, nieosłoniętych przewodów.

Stracił dom. Jego bliski przyjaciel odszedł. Wszyscy w kościele byli zdruzgotani. Nigdy w życiu nie czuł się gorzej. Kiedy otworzył drzwi, podeszła do niego kobieta. Anioł, jak mówi o niej dziś.

– Jak się ksiądz miewa? – zapytała.

Powiedział jej prawdę:

– Nie mam nic.

Spojrzała na niego i wypowiedziała trzy słowa, które zmieniły jego życie:

– Ma ksiądz nas.

W tym momencie ojciec Mike przejrzał na oczy. Odtąd mówi:

– Mam wszystko.

Tej nocy uzmysłowił sobie, na czym polega bycie franciszkaninem: kiedy jesteś przywiązany jedynie do Boga i do miłości, masz wszystko, co się liczy. Od dwudziestu lat nosił długi, prosty brązowy habit świętego Franciszka, ale dopiero w tym momencie został franciszkaninem.

Podstawową wartością franciszkanów jest braterstwo. To sprawiło, że jeszcze trudniej było się pogodzić ze śmiercią ojca Willy’ego. Brat zabił brata.

Kiedy ojciec Mike szedł przez spalone probostwo, na osmalonym dywanie pod jego sandałami pękały odłamki szkła. Zajrzał do swojego dawnego biura, w którym pinezki wtopiły się w tablicę korkową, a ze zdjęć przyjaciół zostały czarne skrawki. Przeszedł przez ciemny tunel obok zabitych deskami okien i zwęglonych futryn i dotarł do sali, która kiedyś była kaplicą. Na poczerniałej od dymu ścianie krzyż pozostawił śnieżnobiały ślad – tak jasny, że zdawał się świecić w ciemnościach.

Przeszedł przez kuchnię, w której razem z ojcem Willym jedli posiłki. Przystanął w drzwiach, w miejscu, gdzie znaleziono ciało ojca Willy’ego. Zatrzymał się w salonie, w którym ustawiali choinkę. Jak w tej sytuacji parafianie mieli świętować Boże Narodzenie? Jak mieli cokolwiek świętować?

Wierni z parafii św. Stanisława wiedzieli, że święta będą ciężkie, więc wyszukali dla kościoła najwyższe i najbardziej rozłożyste drzewo. Było wysokie na ponad pięć metrów. Obwiesili je lampkami i wszyscy z tej dzielnej starej polskiej parafii przynieśli z domu ozdoby świąteczne. To była najwspanialsza choinka, jaką kiedykolwiek widzieli.

Kiedy ojciec Mike opowiada o tych świętach, najsmutniejszym i zarazem najwspanialszym Bożym Narodzeniu swojego życia, na jego twarzy pojawia się uśmiech. Bierze do ręki wytartą Biblię w czarnej oprawie, z grzbietem niemal pękniętym na pół, pomiętą od częstego otwierania. Szuka Ewangelii według św. Jana, rozdział 1, wers 5, i uśmiecha się, gdy odnajduje właściwy passus.

– To świetnie oddaje nastrój Bożego Narodzenia – mówi, a potem czyta na głos: „Światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła”.

Zamyka księgę. Na okładce, w dolnym prawym rogu wytłoczono złotymi literami dwa słowa: William Gulas.

To była biblia ojca Willy’ego.

Święty Franciszek powiedział kiedyś, że nie ma ciemności tak ciemnej, by nie przeniknęło jej światło jednej świecy.

Ta kobieta była taką świecą.

Pojedynczym płomieniem.

Iskierką nadziei.

Lekcja 16

Życie jest za krótkie, żeby się nad sobą uzalać. Zajmij się życiem albo zajmij się umieraniem.

Mój ulubiony film wszech czasów to *Skazani na Shawshank*.

Gdybym miała streścić go w jednym słowie, powiedziałabym: nadzieja.

Scenariusz został oparty na opowiadaniu Stephena Kinga. Tim Robbins gra Andy'ego, niewinnego człowieka odsiadującego wyrok dożywocia za zabójstwo żony i jej kochanka. W więzieniu bohater zostaje pobity, pada ofiarą zbiorowego gwałtu i boryka się z obezwładniającą rozpaczą.

Po latach poniżeń coś się w Andym zmienia – na lepsze. Postanawia dotrzeć w pewne piękne miejsce na plaży w Meksyku. Nikomu ani słowem nie zdradza, co zaplanował, nawet swojemu najlepszemu przyjacielowi, Redowi, którego gra Morgan Freeman.

W scenie, która uderzyła mnie najbardziej, ci dwaj siedzą na więziennym dziedzińcu. Andy mówi Redowi, że każdy człowiek ma w sobie takie miejsce, gdzie nie dosięgnie go żaden strażnik ani naczelnik.

Red odpowiada, że w takim miejscu jak więzienie nadzieja to niebezpieczna sprawa.

Andy nie chce w to uwierzyć. Zapowiada, że pojedzie do swojego nadmorskiego miasteczka i będzie mógł patrzeć w gwiazdy, dotykać piasku i brodzić w wodzie. Tam poczuje się wolny.

Red jest tak wstrząśnięty tą wizją wolności, że zakazuje Andy'emu marzyć. Ostrzega przyjaciela, żeby pamiętał, gdzie jego miejsce – na pewno nie w Meksyku.

Andy wydaje się z nim zgadzać, kiedy szepcze:

– Masz rację. Meksyk jest tam, a ja jestem tu.

Zdaje sobie sprawę, że wszystko sprowadza się do jednego prostego wyboru: Zajmij się życiem albo zajmij się umieraniem.

Następnym razem, kiedy widzimy Andy'ego, siedzi w swojej celi ściskając linę. Albo odbierze sobie życie, albo się uwolni.

Życie stale stawia nas przed tym wyborem: Zajmij się życiem albo zajmij się umieraniem. Którą opcję wybierzesz? Jak często dokonujemy właściwego wyboru? I w którym momencie dnia czujesz się po prostu wolny?

Ktoś kiedyś powiedział mi, że różnica między rutyną a śmiercią polega na tym, że rutyna pozostawia ci odrobinę więcej pola manewru. Kiedy dostrzegam, że popadłam w rutynę, wiem, że muszę to szybko zmienić, zanim ugrzęznę w niej na dobre.

Opowiem wam o mężczyźnie, który miał wszelkie powody, żeby się poddać. W 1976 roku Steve Barille chodził do ostatniej klasy szkoły średniej. Grał na pozycji biegacza w szkolnej drużynie futbolu amerykańskiego i łapacza w drużynie baseballowej. Pewnego dnia, a był to zwykły, przeciętny dzień jakich wiele, Steve postanowił wypróbować batut na sali gimnastycznej w szkole średniej w Mayfield. Miał 17 lat, kiedy zrobił swój ostatni krok.

Wskoczył na batut i spróbował zrobić salto w tył. Przed przyjazdem karetki zdążył jeszcze zapytać swojego wuefistę:

– Czy można żyć ze złamanym karkiem?

Został sparaliżowany od szyi w dół. Stał się tetraplegikiem. Neurochirurg powiedział matce Steve’a:

– Nie życzyłbym tego najgorszemu wrogowi.

Przez wiele miesięcy Steve leżał podłączony do respiratora. Cały rok spędził w szpitalach. Ale jeszcze zanim go wypisano, zaczął pisać pracę dyplomową z psychologii na John Carroll University.

Dwadzieścia lat później Steve przy pomocy rysika trzymanego w ustach wciskał klawisze komputera, żeby pokazać mi na ekranie swoją rozprawę doktorską. Kiedy przeczytałam tytuł, w oczach stanęły mi łzy: „Efekt badacza u niepełnosprawnego fizycznie egzaminatora podczas stosowania techniki plam atramentowych Holtzmana do oceny osobowości”.

Steve napisał ją, chociaż nie był w stanie przewrócić ani jednej strony w książce, zrobić żadnych notatek ani nawet przetrzeć zmęczonych oczu. Dziś jest dr. Barille z doktoratem z psychologii obronionym na Kent State University. Steve nazywa ten sukces zwycięstwem drużynowym. Mówi o zasługach swojej rodziny i przyjaciół:

– Nic nie jest niemożliwe, kiedy w grę wchodzi wola zbiorowości. Miałem stały dopływ nadziei – wyjaśnia. – Kiedy zaczynałem myśleć, że nie dam sobie rady, inni wybijali mi to z głowy.

Ów brodaty mężczyzna śmiga przez szpitalne lobby na fotelu odczytującym z ruchu głowy, w którą stronę i jak szybko ma jechać. Jego dłonie leżą przed nim na małych podpórkach, zastygłe w bezruchu. Nie może nawet unieść palca, żeby wcisnąć przycisk windy. Po prostu czeka, aż ktoś będzie przechodził.

Steve towarzyszy swoim pacjentom podczas fizjoterapii w ich walce o to, żeby znów zacząć chodzić. Niektórzy potrzebują pomocy w przezwyciężeniu lęku przed upadkiem. Innych trzeba wyciągnąć z depresji, bo już nigdy nie użyją jednej z rąk. Jego subtelność i łagodny głos pocieszają tych, którzy mają za sobą udar, tętniaka, amputację kończyny lub uraz rdzenia kręgowego.

Jego pacjenci uczą się poruszać przy pomocy lasek, szyn i chodzików. Uczą się znów jeść widelcem, rzucać piłką, skręcać kierownicą – robić wszystko to, czego Steve nie zrobi już nigdy. A jednak z jego twarzy nie schodzi uśmiech. Steve poczytuje sobie za zaszczyt to, że może im pomóc przystosować się emocjonalnie do nowego życia. Cieszy go ich każdy krok, mimo że sam nigdy już nie będzie chodzić.

– Naprawdę kocham to, co robię. To spełnienie marzeń – powiedział mi. – Żeby pomóc moim pacjentom, nie potrzeba wiele psychologii. Najważniejsze to zaszczerpieć w nich nadzieję.

Ze swojego wózka inwalidzkiego pomaga innym przezwyciężyć strach. Strach przed upadkiem, strach przed porażką, strach przed rozpaczą bez dna. Wystarczy, że pacjenci raz spojrzą na tego wolnego człowieka na wózku i już wiedzą, że czas zająć się życiem.

Lekcja 17

***Poradzisz sobie ze wszystkim, co cię spotyka, jeśli skupisz się na chwili obecnej,
zamiast wybiegać myślą naprzód***

Był w moim życiu taki moment – a właściwie całe lata – kiedy nieznajomi zatrzymywali mnie na ulicy i pytali, czy dobrze się czuję.

Chodziłam ze spuszczoną głową i w rozpiętym płaszczu w zimne, śnieżne, wietrzne dni, bez rękawiczek, bez czapki, bez szalika. Wyglądałam tak, jakby świat się ode mnie odwrócił, jakbym nie miała żadnych przyjaciół, jakbym straciła najbliższą osobę. Ludzie przystawali i pytali:

– Ma pani kiepski dzień?

Kręciłam głową i odpowiadałam:

– Nie. Mam kiepskie życie.

I naprawdę tak myślałam.

W rzeczywistości nikt nie ma kiepskiego życia. Ani nawet kiepskiego dnia. Co najwyżej kiepski moment.

Lata terapii i spotkań grup wsparcia pomogły mi wyjść na prostą, a potem odrodziłam się dzięki wyjazdom rekolekcyjnym. Dziura w moim sercu, przez którą dotychczas wyciekała cała miłość płynąca od rodziny i przyjaciół, wreszcie mogła się zasklepić. Wtedy na scenie pojawił się mężczyzna moich marzeń. Dostałam więcej miłości, niż mogłam pomieścić w sobie, więc przelałam ją na innych.

Niemal bez przerwy towarzyszyło mi poczucie, że życie jest piękne. W końcu, po wielu latach ciężkiej pracy, zaczęłam nowy etap. Kochałam życie, a ono kochało mnie. Zrobiłam sobie nawet tablicę marzeń, na której zaplanowałam swoją wymarzoną przyszłość. Nauczanie. Rekolekcje. Książki. Cykliczne felietony publikowane w wielu magazynach. Dzielenie się wszystkim, co otrzymałam od życia.

I wtedy zachorowałam na raka.

Nie muszę chyba dodawać, że nowotworu piersi nie było na mojej tablicy marzeń. Przez chorobę dotknęło mnie długie, przewlekłe cierpienie, które przebiło niemal wszystko, co przeżyłam w przeszłości. Każdego dnia miałam wybór: rozmyślać nad uciążliwościami terapii przeciwnowotworowej albo czerpać radość z samego faktu, że żyję.

Nie było mi łatwo.

Miałam wrażenie, jakbym zamieszkała w książeczce „Gdzie jest Waldo?”^{*}, tylko zamiast szukać dziwnego faceta w pasiastej czapce, próbowałam znaleźć coś pozytywnego w dniu, w którym jedzenie miało metaliczny posmak, zwracałam każdy posiłek, obcy ludzie gapili się na moją łysą głowę, a ja nie poznawałam samej siebie w lustrze.

Terapia nie była taka zła, jak moje podejście. Cierpiałam, bo nie skupiałam się na chwili obecnej. Rozmyślałam o przeszłości, licząc w pamięci wszystkie te dni, kiedy źle się czułam. Potem marnowałam czas na lęk przed przyszłością: następną dawką chemioterapii; efektami ubocznymi, które przyniesie; posiłkami, których nie utrzymam w żołądku; zmęczeniem po naświetlaniach, kiedy

chemioterapię się skończy.

Był tylko jeden sposób, żeby to wszystko wytrzymać: przestać rozmyślać o tym, co (dobrego i złego) zdarzyło się wczoraj i co (dobrego i złego) może mnie spotkać jutro. Jedyne moment, w którym warto żyć, to dzień dzisiejszy. Zrozumiałam, że każde dwadzieścia cztery godziny będą do zniesienia, jeśli nie zatruję ich przeszłością i przyszłością. Mogłam przeżyć jeden dzień z rakiem, jeśli to było wszystko, z czym miałam się zmierzyć.

Ignorowanie kalendarza wymagało ode mnie stałej dyscypliny. Musiałam być czujna, żeby wyrzucać z myśli każdy dzień poza tym, który właśnie trwał. Codziennie zaczynałam od nowa. Każdy poranek był jak nowy początek: zapomnij o wczoraj i nawet nie myśl o jutrze. Po prostu żyj tym, co dzieje się dziś.

Tę radę usłyszałam od pewnej starszej kobiety, którą poznałam na rekolekcjach. Każdego ranka, czy budziło ją słońce, deszcz, śnieg czy wiatr, otwierała okno w sypialni, brała głęboki oddech i witała dzień słowami z Psalmu 118: „Oto dzień, który Pan uczynił: radujmy się zeń i weselmy”.

Oto on.

Oto ten dzień. Nie wczoraj. Nie jutro. Ten dzień.

Ja nie otwierałam okna, ale zaczynałam tymi słowami każdy poranek – i wciąż to robię. Czasami dodaję: „Dziękuję ci, Boże, za kolejny dzień życia. Pozwól mi przeżyć go głęboko, radośnie i w pełni”.

Kiedy wyparłam z myśli wszystko poza chwilą obecną, w moim życiu pojawiła się radość. Nie długie godziny ekstazy, ale momenty subtelnej przyjemności, których już nie przegapiłam, rozmyślając o wczoraj albo wypatrując jutra.

Nawet teraz, kiedy terapię mam już dawno za sobą, są dni, kiedy ogarnia mnie lęk. Wkrada się w moje serce i usiłuje zrujnować mi dzień, szepcząc:

– A jeśli rak wróci? A jeśli nie będziesz już mogła pisać? A jeśli stracisz wszystko, co kochasz?

Bywają dni, kiedy nie potrafię się skupić na dwudziestu czterech godzinach naraz, więc przeżywam dzień godzina po godzinie, chwila po chwili. Rozbijam to zadanie, to wyzwanie, ten lęk na małe, mikroskopijne kawałeczki. Potrafię sobie poradzić z odrobiną strachu, depresji, złości, bólu, smutku, samotności, choroby. Czasem przykładam sobie nawet dłonie do twarzy obok oczu, jak klapki, które zakłada się koniom. W ten sposób przypominam sobie, żeby żyć chwilą obecną. Klapki na oczach sprawiają, że konie koncentrują się na drodze przed sobą. Dzięki nim nie mogą spojrzeć w bok, dlatego nic ich nie przestraszy ani nie zdekoncentruje. Nie widzą, co się zaraz stanie, więc wciąż stawiają kopyto za kopytem i idą naprzód. Zakładam sobie klapki na oczy i mówię do siebie: nie wyglądaj jutra, nie oglądaj się na wczoraj, a potem robię krok za krokiem.

W opowiadaniu *A Father's Story* („Historia pewnego ojca”), Andre Dubus napisał:

Bez trudu zdołasz przetrwać każdy dzień, jeśli potrafisz przetrwać jedną chwilę. Rozpacz to wytwór wyobraźni, która udaje, że przyszłość istnieje i uparcie przewiduje miliony chwil, tysiące dni, czym tak cię wyczerpuje, że nie potrafisz żyć chwilą, która trwa.

Już nie pozwalam, żeby lęk przed jutrem, poczucie winy lub zadawnione urazy psuły mi dzień. Bóg nie uobecnia się w przeszłości ani w przyszłości. Jahwe znaczy „Jestem, Który Jestem”. On uobecnia się teraz. Kiedy powołam się na tę obecność, jestem w stanie znieść każdą rzecz, którą przynosi

dzień.

To wszystko, czego się od nas oczekuje – byśmy żyli chwilą obecną.

[*](#) *Where's Waldo?* poza USA i Kanadą znana pt. *Where's Wally?* („Gdzie jest Wally?”) seria książek dla dzieci, stworzonych przez brytyjskiego ilustratora Martina Handforda. Zabawa polega na odszukaniu charakterystycznej postaci Walda na niezwykle szczegółowych rysunkach z wielką liczbą osób.

Lekcja 18

Pisarzem jest ten, kto pisze. Jeśli chcesz być pisarzem, pisz

Staliśmy w kolejce wijącej się między dwiema przecznicami, drząc na wietrze.

Faktyczni i niedoszli pisarze zjawili się tłumnie przed kaplicą Uniwersytetu Case Western Reserve. Wyglądaliśmy jak zjazd klonów. Na „Rozmowę z Anne Lamott” przyszły niemal wyłącznie kobiety w średnim wieku, wszystkie z tym samym wygłodniałym spojrzeniem.

Chciałyśmy poznać kobietę, której książki leżały na naszych szafkach nocnych. Przyszła na spotkanie w chustce zawiązanej na dredach, ubrana w spłowiałe błękitne jeansy i białą koszulę z długimi rękawami, która elegancją dorównywała koszuli nocnej, ale na niej wyglądała świetnie. Lamott stara się współpracować z łaską, stosując trzy proste zasady: zwolnij, oddychaj, idź na spacer. Nie jest człowiekiem bez skazy.

Kiedyś napisała: „Kiedy Bóg chce zrobić coś cudownego, On lub Ona zawsze zaczyna od rzeczy trudnych; kiedy Bóg chce dokonać czegoś zdumiewającego, On lub Ona zawsze zaczyna od rzeczy niemożliwych”.

Pierwszy raz zetknęłam się z jej twórczością w książce *Bird by Bird: Some Instructions on Writing and Life*. („Ptak po ptaku. Kilka wskazówek o pisaniu i życiu”). Czytała ją większość pisarzy. To już klasyka.

Pomysł na tytuł pojawił się pewnego dnia, kiedy brat Anne, wówczas dziesięcioletni, męczył się nad referatem o ptakach do szkoły. Miał trzy miesiące, żeby go napisać, ale zabrał się za to w ostatniej chwili. Bliski łez, usiadł za biurkiem, obłożony książkami o ptactwie, których dotąd nawet nie otworzył. Jego tata pocieszył go tymi słowami:

– Ptak po ptaku, kolego. Po prostu opisz je po kolei, ptak po ptaku.

Skończ jedno opowiadanie. Jeden wiersz. Obiecuj sobie doprowadzać do końca to, co zaczynasz. A jeśli nie wiesz, od czego zacząć, zacznij od swojego dzieciństwa.

Oto cała filozofia pisania. To samo dotyczy większości pozornie przytłaczających projektów i planów: wystarczy robić je krok po kroku, ptak po ptaku.

Anne kazała nam pisać o tym, co chce zostać opisane. Zadaj sobie pytanie: Ile jesteś w stanie z siebie dać? Uciszyć głosy w swojej głowie, nieważne, czy należą do twoich rodziców, nauczycieli, czy otaczającego cię środowiska. A potem usiądź i napisz pierwszą, kiepską wersję.

Radziła nam wsłuchać się w podszepty Ducha Świętego, swój wewnętrzny głos, swoją intuicję. Powiedziała, że nawet ludzie pozbawieni ambicji pisarskich odpowiadają na ten twórczy zew. Po prostu opowiedz swoje historie własnym głosem. To właśnie chcą czytać inni.

Czy to może być aż tak proste? I skąd brać historie do opowiadania?

– Znajdziecie je w sobie, są niczym klejnoty w waszych sercach – odpowiedziała.

Wyszliśmy ze spotkania, nie mając zielonego pojęcia, jak wydać książkę. Zamiast tego dowiedzieliśmy się, od czego zacząć: słowo po słowie. Linijka po linijce. Ptak po ptaku.

Większość ludzi unika tego punktu wyjścia. Często mnie pytają, jak się zostaje pisarzem. Nie wiem, znam za to świetne sposoby, jak nim nie zostać:

Oglądaj godzinami bezsensowne programy w telewizji. Sprawdzaj skrzynkę e-mailową. Rozmawiaj na czatach z przyjaciółmi. Wchodź na fora dla pisarzy. Odbieraj telefon za każdym razem, gdy zadzwoni.

Zamartwiaj się, czy mówi się „tą” czy „tę”, „wziąć” czy „wziąc”, „poszłem” czy „poszedłem”.

Łam sobie głowę nad tym, czy postawić dwukropek, czy średnik.

Godzinami zastanawiaj się, czy lepiej pisać, czy stenografować, używać komputera czy notesu, długopisu czy ołówka, maca czy peceta.

Przypominaj sobie każde źle ocenione wypracowanie, jakie kiedykolwiek napisałeś. Przywołuj w pamięci każdego nauczyciela, który skrytykował twój styl. Prowadź dyskusje z niewidzialnymi redaktorami, zwołującymi co godzinę zebrania w twojej głowie. Płacz nad listami odmownymi, których jeszcze nawet nie dostałeś, ale bez wątpienia dostaniesz.

Jak nie pisać?

Daj się onieśmielić technice. Odłóż pisanie do czasu, aż będziesz umiał włączyć w edytorze numerację stron.

Zrób najpierw doktorat z twórczego pisania. Idź na terapię. Znajdź odpowiednią grupę dla pisarzy.

Poczekaj, aż przezwycięzysz strach przed porażką albo przed sukcesem. Wmawiaj sobie, że masz małe szanse na publikację. Martw się o to, z czego będziesz płacić rachunki. Porównuj się ze wszystkimi.

Narzekaj, że na dworze jest za gorąco lub za zimno, zbyt duszno albo zbyt przyjemnie, by pisać.

Postaw sobie za cel dołączyć do klasyków literatury światowej. Analizuj każdy pomysł, nim napiszesz pierwsze zdanie. Dąż do perfekcji.

Ogłoś się następcą Szekspira.

Jak ognia unikaj własnego stylu. Używaj wyłącznie trudnych słów, żeby zaimponować czytelnikom.

Jak nie pisać?

Zgłoś się na kolejną konferencję dla pisarzy, zamiast faktycznie usiąść przy biurku z piórem w rękę.

Powtarzaj sobie bez przerwy, że nie masz nic do powiedzenia. Sprawdź horoskop. Zrób listę osób, które nie wierzą, że uda ci się zostać pisarzem.

Spiłuj paznokcie. Podleń kwiaty. Posprzątaj w piwnicy.

Otwórz biuro. Zbuduj sobie pustelnię w ogródku albo przeznacz na pisanie jedną część domu.

Szukaj wsparcia u wszystkich wokół. Zapomnij o swoich smutkach, zainteresowaniach czy ulubionej muzyce. Narzekaj, że nikt cię nie rozumie.

Żądaj zaliczki, zanim cokolwiek napiszesz.

Wdawaj się w dyskusje z telemarketerami. Układaj pasjanse na komputerze. Zrób listę rzeczy do załatwienia i na pierwszym miejscu umieść pisanie.

Narzekaj na nauczyciela angielskiego, którego bałeś się w szkole. Profesora, który nie zwracał na ciebie uwagi na studiach. Brata, który ukradł ci pamiętniki. Siostrę, która przeczytała twoje dzienniki.

Marnuj czas, zazdroszcząc innym pisarzom, którym wszystko przychodzi tak łatwo.

Redaguj tekst podczas pisania. Sprawdzaj gramatykę i interpunkcję, zanim skończysz akapit.

Tak często opowiadaj o swoich pomysłach, aż nawet ciebie zaczną nudzić.

Jak nie pisać?

Poczekaj, aż będziesz mieć dzieci. Poczekaj, aż twoje dzieci przestaną ząbkować, skończą sezon

piłkarski i wyjadą na studia.

Poczekaj, aż codziennie będziesz mieć dwie pełne godziny na pisanie.

Poczekaj, aż rzucisz palenie, picie albo znajdziesz odpowiedniego drinka i zalejesz się w trupa.

Poczekaj, aż twoje rodzeństwo się wyprowadzi, a twoi rodzice umrą. Poczekaj, aż spotkasz miłość swojego życia. Poczekaj, aż sąd orzeknie rozwód.

Poczekaj, aż wyjedziesz na wakacje. Poczekaj, aż wrócisz z wakacji.

Poczekaj, aż znajdziesz swoją muzę. Poczekaj na natchnienie.

Poczekaj, aż doktor powie, że zostało ci sześć miesięcy życia.

A potem umrzyj, zabierając ze sobą wszystkie nienapisane słowa.

Lekcja 19

Nigdy nie jest za późno na szczęśliwe dzieciństwo

Przez pierwszych trzydzieści lat życia nienawidziłam swoich urodzin. Zawsze przypominały mi, jakim jestem nieudacznikiem, przynajmniej we własnych oczach. W głębi duszy wciąż czułam się zapomniana i samotna i żaden prezent nie mógł tego zmienić.

Na pytanie o wiek, komik George Carlin odpowiedział kiedyś:

– Mam rok, mam dwa lata, mam trzy lata, mam cztery lata, mam pięć lat...

I tak dalej, aż doszedł do swojego aktualnego wieku.

To prawda: każdy z nas nosi w sobie wszystkie wcześniejsze wcielenia. Jesteśmy trzylatkiem, którego ugryzł pies. Sześciolatką, którą matka straciła z oczu w centrum handlowym. Dziesięcioletkiem, łaskotanym tak długo, aż zsiusiał się w majtki. Jesteśmy nieśmiałym, obsypanym pryszczami trzynastolatkiem. Szesnastolatką, której nikt nie zaprosił na szkolny bal – i tak dalej. Chodzimy w ciałach dorosłych, dopóki ktoś w jakiś sposób nie przywoła któregoś z tych dzieci.

Niektórzy ludzie mieli nieszczęśliwe dzieciństwo. Inni przeżyli smutne chwile. Jak zatem wyleczyć się z dzieciństwa?

Musisz podarować sobie nowe, szczęśliwe. Zadowolić to dziecko lub dzieci, które wciąż w sobie nosisz.

Kiedyś kupiłam sobie parę dziecięcych bucików. Moja mama urodziła jedenaścioro dzieci. Nie miała głowy do pamiątkowych albumów. Nie odlewała w brązie naszych pierwszych kapciuszków. Nie zachowała nic z okresu niemowlęstwa swoich dzieci, bo wszystko przekazywała dalej młodszym albo i tak było po starszych.

Album fotograficzny wypełniają zdjęcia pierwszej czwórki. Mieli profesjonalne sesje. Uśmiechają się z fotografii, skapani w idealnym, delikatnym świetle. Ja byłam piątą. Nie mam żadnych zdjęć z dzieciństwa. A może mam. Te przypadkowe fotografie dziecka w kojcu, w kołysce, w chodziku, to mogłam być ja. A może Mary? Albo Tom? Nikt nie umie nas rozróżnić. Dawniej przygnębiało mnie, że moja mama nie zachowała żadnych pamiątek po tym niepowtarzalnym, wyjątkowym noworodku i niemowlęciu, którym kiedyś byłam. Pewnie dlatego ja zachowałam wszystko, co należało do mojej córki. Jej pierwsze tenisówki. Pierwsze niebieskie jeansy. Pierwszy stanik.

Aż wreszcie postanowiłam przestać uważać się nad sobą i stworzyć własne wspomnienia. Sprawiałam sobie parę maleńkich kapciuszków dla noworodka, z białego jedwabiu z perłowymi guziczkami. To właśnie były te śliczne buciki, które moim zdaniem powinna była kupić i zachować moja mama. Wybrałam dla siebie nawet piękną grzechotkę.

Może to zabrzmieć głupio albo dziwnie, ale dzięki temu dawna, lecz wciąż krwawiąca w moim sercu rana zaczęła się zblizniać.

Moi rodzice zapewnili mi najlepsze dzieciństwo, jakie mogli mi dać. Lepsze niż ich dzieciństwa razem wzięte. Teraz, kiedy jestem dorosła, nie mogą już niczego naprawić. To moje zadanie.

Muszę sama spojrzeć na swoje dzieciństwo i zobaczyć, ile spotkało mnie w nim radości. Przyjrzeć się swojemu życiu dziś i zobaczyć, ile radości spotyka mnie każdego dnia. Zajrzeć w przyszłość

i odnaleźć w niej radość, która wciąż jeszcze może mnie spotkać.

Muszę sama zaczarować swój świat.

To samo dotyczy ciebie. Znajdź czas, żeby się ze sobą pobawić. Zaplanuj albo wciśnij w cotygodniowy plan zajęć jedną godzinę czystej rozrywki. Co tydzień zabieraj swoje wewnętrzne dziecko – albo dzieci – na wycieczkę. Zaproponowałam to na wyjeździe rekolekcyjnym dla kobiet i usłyszałam dziesiątki pomysłów, które przekazuję dalej:

Idź do sklepu z zabawkami i wydaj tam na siebie 10 dolarów.

Idź do najbliższego planetarium i znajdź swoją gwiazdę.

Zrób wulkan z sody oczyszczonej i octu.

Zagraj w minigolfa.

Zjedz loda bambino albo rurkę z bitą śmietaną na śniadanie.

Zrób sobie kanapki z bitą śmietaną.

Zjedz deser przed obiadem.

Pomaluj palcami stare prześcieradło.

Pooglądaj kreskówki w piżamie.

Wypożycz filmy z braćmi Marks.

Zrób na śniadanie tosty z cynamonem.

Zjedz płatki Cheerios w łóżku.

Zagraj w ping-ponga.

Zerwij na łące bukiet mleczy.

Przeczytaj głośno komiks z gazety, zmieniając głos dla każdego z bohaterów.

Poczytaj pod kołdrą, świecąc sobie latarką.

Idź do sklepu zoologicznego i poprzytulaj kocięta.

Idź do księgarni i pooglądaj książki dla dzieci.

Pobaw się na huśtawkach.

Przebiegnij przez pole kukurydzy.

Przez cały dzień udawaj, że jesteś niewidzialny.

Zagraj w coś, nie dbając o wynik.

Wybierz się na poszukiwanie skarbów.

Kup sobie duże pudełko kredek Crayola i z nikim się nimi nie dziel.

Zrób kilka fikołków na trawniku przed domem.

Skoś trawę i zorganizuj wśród domowników bitwę na ścinki.

Spaceruj po deszczu bez parasola.

Przejedź rowerem przez błoto.

Zagraj w chińczyka, bierki albo warcaby.

Wyrusz na poszukiwanie ptasich gniazd.

Poczytaj *Kubusia Puchatka*, a potem idź poszukać Wuzli.

Zagraj przed domem w badmintona.

Wypij colę z kulką lodów.

Zimą zorganizuj piknik na podłodze w salonie.

Przyrządź sobie na deser puchar lodowy.

Ubierz się elegancko i rozegraj partię krokieta w ogródku.

Obejrzyj *Mary Poppins*.

Zrób sobie wagary od pracy.

Nie rób nic przez cały dzień.

Obserwuj ruch chmur, mrówek, wiewiórek i liści.

Zrób sobie szaloną fryzurę z włosów spienionych szamponem.

Naucz się na pamięć ulubionego wiersza dla dzieci.

Podpiecz pianki marshmallow na kuchence.

Obserwuj przejeżdżające samochody, zapamiętując ich numery rejestracyjne.

Zbuduj fortecę z prześcieradeł i stołów.

Pokoloruj kredkami skórę między palcami u nóg.

Zrób sobie naszyjniki z muszli albo kasztanów.

Zagraj coś na szklankach wypełnionych wodą.

Odwiedź budynek straży pożarnej, żeby obejrzeć wozy strażackie.

Zorganizuj biwak w ogródku za domem, na werandzie albo na podłodze w salonie.

Urządź wśród sąsiadów konkurs, kto robi najwięcej gwiazd.

Porysuj kredą po chodniku.

Puść kilka kaczek na rzece, poszukaj różnych stworzonek pod kamieniami, idź pobrodzić w strumieniu.

Latem przebiegnij między zraszczami, zimą zrób orła na śniegu.

Znajdź huśtawkę z opon i huśtaj się na niej przez godzinę.

Zorganizuj bitwę na poduszki.

Idź do schroniska dla zwierząt i zabierz jakiegoś psa na spacer.

Pójdź za śladami zwierzęcia tam, gdzie cię zaprowadzą.

Urządź pokaz mody, prezentując wszystkie swoje ubrania.

Złap kilka światełek.

Idź do zoo obejrzeć małpy.

Idź do sklepu z cukierkami i wydaj tam na siebie 3 dolary.

Pochodź po domu, trzymając lusterko w taki sposób, żeby gdy w nie spojrzysz, wydawało ci się, że chodzisz po suficie.

Wejdz na drzewo i poczytaj tam komiks.

Urządź sobie trening cheerleaderski przed domem.

Puść latawiec.

Weź 10 monet i wypróbuj wszystkie maszyny z gumami do żucia w supermarkecie.

Podskakuj na łóżku, dopóki się nie zmęczysz i nie zaśniesz.

Sam decydujesz, w co chcesz się bawić.

Na szczęśliwe dzieciństwo nigdy nie jest za późno. Do dzieła! Tym razem wszystko zależy od ciebie.

Lekcja 20

Kiedy walczysz o to, co w życiu kochasz, nie przyjmuj odmowy do wiadomości

Odkąd w piątej klasie przeczytałam książkę *Harriet the Spy**, marzyłam, by zostać pisarką.

Zapełniałam swoją pisaniną kolejne dzienniki i pamiętniki, ale bałam się je komukolwiek pokazać. Szpiegowałam braci i siostry, szperałam w ich szufladach i opisywałam znaleziska, na przykład zdjęcia przyjaciół mojego brata, którzy wypięli do obiektywu gołe pośladki. Ale kiedy trochę podrosłam i miałam szansę pisać prawdziwe artykuły do szkolnej gazety, stchórzyłam.

Na studiach zmieniłam kierunek z biologii na botanikę, a potem na ochronę przyrody, i planowałam zostać strażnikiem leśnym. W końcu zaszłam w ciążę i rzuciłam szkołę. Dopiero kiedy wróciłam na uczelnię sześć lat później, byłam gotowa, by podążyć za swoim marzeniem.

Zapisałam się na zajęcia z kreatywnego pisania na Kent State University. Pierwszego dnia profesor kazał nam wyjaśnić na niewielkiej kartce, dlaczego wybraliśmy jego zajęcia. Sądząc, że będzie moim jedynym czytelnikiem, rozpisałam się o tym, jak bardzo uwielbiam pisanie. Przypominało to wpis w pamiętniku. Profesor zebrał nasze kartki, przetasował je, a potem wyciągnął jedną i wysłał wszystkich studentów do tablic. Kazał nam zapisać zdania, które przeczyta. Tablice wisiały na każdej z czterech ścian sali. Koledzy z zajęć pokryli je moimi niezgrabnymi zdaniami. Zrobiłam się czerwona jak burak.

Wszyscy studenci przyglądali się moim wypocinom, a potem pastwili nad nimi, analizując gramatykę, składnię, styl i treść. Marzyłam, by zapaść się pod ziemię. Już nigdy nie odzyskałam rezonu na tych zajęciach. Od pierwszego dnia czułam się jak nieudacznik.

W następnym semestrze przerzuciłam się z angielskiego na public relations i zapisałam na pierwsze zajęcia z dziennikarstwa. W początkowym tygodniu za późno złożyłam pracę. Profesor zawstydził mnie przed całą klasą:

– Brett, równie dobrze możesz od razu zrezygnować, bo nigdy nie zaliczysz tych zajęć.

Więc pokazałam mu, na co mnie stać. Co tydzień mieliśmy mu przynosić osiem cali tekstu, czyli około 250 słów. Ja przynosiłam dwa razy więcej. Nie miałam zamiaru oblać tych zajęć. Dostałam piątkę, a co ważniejsze – zachętę do dalszej pracy. Dwaj profesorowie złapali mnie na korytarzu i kazali przepisać się na dziennikarstwo. Wystarali się dla mnie o stypendium w wysokości 800 dolarów na pokrycie części kosztów książek i materiałów. Dziennikarstwo było strzałem w dziesiątkę.

Po ukończeniu studiów rozpaczliwie szukałam pracy w zawodzie. Pracowałam wtedy na niepełny etat jako terapeutka alkoholików, zarabiając 7000 dolarów rocznie. Rozesłałam trzydzieści CV do gazet w całym kraju. Dostałam trzydzieści odpowiedzi odmownych. Zdesperowana, przygotowałam portfolio z najlepszymi artykułami, jakie napisałam do gazety uniwersyteckiej, i poprosiłam o pracę mojego profesora prawa komunikacji masowej z Kent State. Pracował w „Beacon Journal”, najlepszej gazecie w regionie wydawanej przez Knight-Ridder, jednego z najbardziej uznanych wydawców w branży.

Profesor rzucił tylko okiem na moje teksty, pokręcił głową i oznajmił, że jestem za słaba, by

pracować w tak dobrej gazecie, i że miną lata, zanim osiągnę odpowiedni poziom, o ile w ogóle go osiągnę. Miałam wrażenie, jakby ktoś zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Cała się trzęsłam, lecz udało mi się powstrzymać łzy, dopóki nie wsiadłam do samochodu. Płakałam przez całą drogę do domu.

Ale nie mogłam sobie pozwolić na przyznanie się do porażki. Miałam dziecko do wykarmienia, a chciałam stawiać na stół coś więcej niż kanapki z masłem orzechowym i galaretką albo makaron z serem. Chciałam robić karierę, a nie tylko pracować. W końcu przyjąłam pracę w jedynej gazecie, która mi ją zaoferowała. Wydawany w Lorain „Journal” zatrudnił mnie do przygotowywania raportów o poczynaniach władz miejskich. Nie był to przełom, o którym marzyłam, ani miasto czy pensja moich snów, ale dostałam pracę w upragnionej dziedzinie. Brałam każdy temat, nawet jeśli mnie nie interesował. Wygospodarowałam też trochę czasu na pisanie dodatkowych tekstów, z których najlepsze wysyłałam Billowi, przyjacielowi zatrudnionemu w „Beacon Journal”, z prośbą o opinię, jak mogłabym je poprawić.

Sześć miesięcy później zadzwonił do mnie redaktor z „Beacon Journal” z propozycją pracy: Bill pokazał mu moje teksty. Przyjęłam tę ofertę, mimo że miałam pisać do działu biznesowego o ubezpieczeniach zdrowotnych i rolnictwie, na czym się zupełnie nie znałam. Robiłam to przez jakiś czas. Później zlecano mi teksty o opiece społecznej, informacje z ostatniej chwili i reportaże. Po kilku latach doszłam do wniosku, że chciałabym pisać felietony. Pragnęłam dzielić się z czytelnikami swoimi osobistymi przekonaniem, zamiast być obiektywnym obserwatorem, opisującym fakty.

Redaktor gazety oświadczył, że nie potrzebuje ani nie chce kolejnej felietonistki. Wypłakałam się w łazience, a potem poszłam do domu i zaczęłam się zastanawiać, czym mogłyby się wyróżniać moje felietony. Spisałam kilka pomysłów i wróciłam do redaktora. Znów powiedział nie, ale tym razem osłodził to stwierdzeniem, że jestem zbyt dobrym reporterem, żeby rozmieniać się na drobne, pisząc felietony.

Jego odmowa nie zniechęciła mnie, tylko zmotywowała do dalszej pracy. Wypisałam długą listę pomysłów na tematy felietonów. Przygotowałam sześć przykładowych tekstów, w tym felieton inauguracyjny. To było dość śmiałe posunięcie, ale nie miałam wyboru. Przygotowałam się do prezentacji i przedstawiłam swoje pomysły. Redaktor i tak odmówił. Płakałam całą drogę do domu. Mój mąż (wtedy jeszcze mój chłopak) wziął mnie za rękę, otarł mi łzy z twarzy i zapytał:

– No dobrze, więc jaki jest kolejny krok do spełnienia twojego marzenia?

Kolejny krok? Bruce nie przyjmuje odmowy do wiadomości. To urodzony optymista. Jest taka stara historia o braciach bliźniakach, z których jeden był urodzonym optymistą, a drugi – urodzonym pesymistą. Usiłując ich zrozumieć, psychiatra umieścił pesymistę w pokoju z mnóstwem zabawek, żeby sprawdzić, co się stanie. Chłopiec płakał i szlochał. Optymistę lekarz zaprowadził do pokoju pełnego końskiego łajna i wręczył chłopcu łopatę. Wiele godzin później optymista wciąż z uśmiechem przerzucał łajno tak szybko, jak tylko potrafił.

– Z czego tak się cieszysz? – zapytał lekarz.

Chłopiec odpowiedział:

– Skoro jest tu tyle łajna, to gdzieś musi być i kucyk!

Taki jest Bruce. Nieważne, jak kiepsko wygląda sytuacja, on zaczyna szukać kucyka. Nie pozwolił, żeby czyjeś „nie” stanęło mi na drodze. Nie ma czegoś takiego jak „nie”, oświadczył. Znajdź sposób, żeby to „nie” zamieniło się w „tak”.

Wtedy postanowiłam: jestem felietonistką. Jestem felietonistką, tylko tak się składa, że jeszcze nie publikuję felietonów. Przerzucałam więc łajno w poszukiwaniu kucyka. Pisałam artykuły w pierwszej osobie, kiedy tylko nadarzyła się okazja. W Dzień Bliźniąt, przed którym wzdraga się większość dziennikarzy, opisałam, jakie to uczucie być na obchodach samemu, bez bliźniaka. Z okazji Krajowego Dnia Wegetarian przygotowałam felieton o tym, jak obchodzi się Święto Dziękczynienia przy chleбку orzechowym zamiast indyka.

Z czasem redaktor się poddał. Powiedział „tak”. Piszę felietony od 1994 roku, kiedy wreszcie otworzył drzwi, do których pukałam.

Codziennie szczypię się, żeby sprawdzić, czy to nie sen.

Zdobyłam wymarzoną pracę. A wszystko dzięki temu, że nie przyjmowałam odmowy do wiadomości i dalej machałam łopata.

[*](#) Książka Louise Fitzhugh o jedenastoletniej Harriet, prawdopodobnie najlepszym szpiegu na świecie, która marzy, by zostać pisarką. W Polsce znana jest tylko filmowa adaptacja pt. *Mały szpieg* – przyp. red.

Lekcja 21

Zapal świece, śpij w lepszej pościeli, włóż elegancką bieliznę. Nie czekaj na specjalną okazję – wystarczającą okazją jest dzisiejszy dzień

Nie odkurzam już świec.

Kiedyś musiałam to robić. Dostawałam od przyjaciół cudowne świece o zapachu jabłek z cynamonem, francuskiej wanilii czy łąnu zbóż oraz aromaterapeutyczne, przynoszące spokój, miłość i harmonię wewnętrzną, z zatopionymi liśćmi i płatkami róż. Nie zapalałam żadnej z nich.

Nie chciałam ich zużyć, więc pozostawało mi tylko ścieranie z nich kurzu. Miesiąc po miesiącu, rok po roku. Kiedyś dostałam świeczkę wstawioną w szklaną kulę i otoczoną polnymi kwiatami. Stała u mnie wiele lat, aż któregoś dnia ścierając kurze odkryłam, że воск stopił się na słońcu.

Wiedziałam, że nie powinnam oszczędzać świec na później. Dorastając, zaczytywałam się w tekstach Ermy Bombeck, ulubionej felietonistki mojej mamy. To były pierwsze felietony, z którymi się zetknęłam. Erma była humorystką, gospodynią domową i jedyną pisarką, która sprawiała, że moja mama wybuchała śmiechem. Mama miała wszystkie jej książki. Kiedy Erma zachorowała na raka piersi, jej teksty stały się jeszcze bardziej przejmujące. Dwa lata później jej nerki przestały pracować z powodu choroby genetycznej. Zmarła po przeszczepie.

W jednym ze swoich najlepszych felietonów opisała, co zrobiłaby w życiu inaczej, gdyby miała okazję zacząć wszystko od nowa. Zawsze po jego lekturze obiecywałam sobie, że zastosuję się do jej rad.

Postanawiałam nie sprawdzać skrzynki e-mailowej, kiedy rozmawiam z mamą przez telefon, robić jedną rzecz na raz i żyć chwilą obecną, a w samochodzie wyłączać telefon komórkowy i rozkoszować się widokiem za oknem.

Obiecywałam sobie spędzać więcej czasu na świeżym powietrzu i nie narzekać, że włosy skręcają mi się na deszczu, a przez wilgoć opada mi grzywka.

Planowałam częściej palić w kominku, nie przejmując się tym, jak zimno zrobi się później w domu i jak bardzo nadymię w salonie.

Zamierzałam być bardziej spontaniczna i przychodzić do przyjaciół na organizowane w ostatniej chwili kolacje, mniej mówić o sobie i więcej słuchać o tym, co się dzieje u nich.

Ale nigdy nie dotrzymywałam tych obietnic. Dopóki nie zachorowałam na raka.

Kiedy miałam 41 lat, wyczułam w prawej piersi guzek wielkości winogrona. Drugie stadium agresywnego raka. Niedługo potem byłam łysa, chora i wyczerpana dwiema operacjami, czterema turami chemioterapii i sześcioma tygodniami codziennych naświetlań. Ale za to żyłam. Dostałam szansę na całkiem nowe życie.

Rak to wspaniała pobudka. Wyrwał mnie z letargu. Kazał mi zdjąć metkę z nowej bielizny i założyć tą czarną koronkową halkę. Otworzyć szkatułkę z biżuterią i włożyć perły. Napalić w kominku. Zużyć kulki z olejkiem do kąpieli, zanim wyschną na wiór w koszyczku na toalecie. Zapalić świece.

Noszę w portfelu swoje zdjęcie z łysą głową. Ma mi przypominać, że każdy dzień na nogach to dobry dzień. Myślę też o tym codziennie, patrząc na miejsce, gdzie miałam piersi. Blizny

uświadamiają mi, że każdy ma datę ważności, przydatności do spożycia. Choć nie ostemplowano nas niczym kartonu mleka czy kubeczka serka wiejskiego, wszyscy jesteśmy śmiertelni. Nikt nie żyje wiecznie.

Dzięki rakowi nauczyłam się nie oszczędzać nic na wyjątkowe okazje, bo każdy dzień jest wyjątkowy. Wykorzystaj wszystko, co masz, już dziś. Tak przynajmniej radzi pisarka Annie Dillard.

Jej myśli, zawarte w książce *The Writing Life* („Życie pisarza”) odnoszą się nie tylko do pisania, lecz także do życia.

Annie radzi pisarzom wykorzystywać wszystkie pomysły od razu. Nie zostawiaj żadnej anegdoty, akapitu, cytatu ani pomysłu na początek albo koniec jakiejś lepszej powieści, wiersza czy opowiadania, które planujesz napisać kiedyś w przyszłości. Skoro chcesz użyć ich teraz, to znaczy, że powinieneś.

To wymaga wiary. Musisz uwierzyć, że kiedy wykorzystasz dobre pomysły, przyjdą ci do głowy kolejne. Studnia znów się wypełni.

Na moich półkach stoją całe rzędy pamiętników i dzienników, czekających na właściwy moment, właściwy projekt, właściwą książkę. Czekają i czekają. Jak długo będę czekać? A ty?

Frank McCourt miał 66 lat, kiedy opublikowano jego debiutanckie *Prochy Angeli*. Laura Ingalls Wilder wydała swoją pierwszą książkę w wieku 65 lat. Artystka folkowa Grandma Moses zaczęła karierę malarską po siedemdziesiątce.

Duże wrażenie zrobiła na mnie informacja, że Michał Anioł zostawił swojemu młodemu uczniowi imieniem Antonio następującą notatkę, będącą zarówno ostrzeżeniem, jak i zachętą: „Rysuj, Antonio, rysuj, Antonio, rysuj i nie trać czasu”.

Wyobraziłam sobie, że wkładam za lustro kartkę z napisem: „Żyj, Regino, żyj, Regino, żyj i nie trać czasu”.

Nie musisz zachorować na raka, żeby zacząć żyć pełnią życia. Życie jest za krótkie, żeby marnować je na nudne sprawy, które nie sprawiają ci przyjemności. Odkąd zachorowałam, moja filozofia brzmi: koniec z traceniem czasu. Koniec z brzydkimi ubraniami. Koniec z nudnymi filmami. Wyrzucić je ze swojego życia. Zastąpić je radością i pięknem.

Dzięki rakowi nauczyłam się dwóch ważnych słów oraz tego, kiedy ich używać. Teraz potrafię powiedzieć: „tak” i „nie” kiedy trzeba. Gdy przyjaciele zapraszają mnie na imprezę, na którą nie mam ochoty, odpowiadam: „Nie, ale dziękuję za propozycję”. Koniec ze zgadzaniem się na coś, czego nie chcę robić. Zawsze pytam siebie: Czy warto poświęcić na to kilka godzin mojego życia?

Dawniej mówiłam „tak”, kiedy chciałam powiedzieć „nie”, zwykle ze strachu, co pomyślą sobie o mnie ludzie, jeśli odmówię. Ale mówienie „nie” oznacza, że mogę również powiedzieć „tak”.

„Tak” prawdziwemu życiu, które kocham. „Tak” przebywaniu z ludźmi, których kocham najbardziej, żebym nigdy nie żałowała, że nie utrzymywałam z nimi kontaktu. „Tak” zapalaniu świec, noszeniu pereł, używaniu dobrej porcelany, spacerom w deszczu, robieniu orłów na śniegu, nawet jeśli potem wniosę do domu błoto albo śniegową breję.

Te trzy proste kroki mogą odmienić twoje życie:

Wybierz jedną rzecz, której powinieneś powiedzieć „nie”.

Może to być niezdrowe przywiązanie: do mężczyzny, do karty kredytowej, do sklepu z pączkami. Sam wiesz najlepiej, co to jest. Wybierz tę jedną rzecz. Co by się stało, gdybyś zaczął mówić „nie”?

„Nie” projektom, których nie musisz wykonać osobiście. „Nie” każdemu w kościele, szkole albo pracy, kto prosi, byś poświęcił własny czas i zdolności kolejnej sprawie. Spójrz w swój kalendarz. Czy w tym miesiącu znalazłeś czas na coś, co naprawdę chciałbyś zrobić? Weź samoprzylepne karteczki i zaznacz w nim chwile dla siebie, chwile radości, pasji i miłości.

Wybierz jedną rzecz, której powinienes i chcesz powiedzieć „tak”.

Może powinienes pokochać samego siebie takim, jakim jesteś, ze swoją talią i całą resztą. Może przebaczyć komuś, za kim tęsknisz. Wrócić do szkoły, pójść na wcześniejszą emeryturę, spróbować umówić się znów na randkę. W głębi duszy wiesz, co to jest. Kiedy mówisz „nie”, możesz zacząć mówić „tak”. „Tak” spokojniejszym dniom, weekendowym wycieczkom, czytaniu świetnych książek, malowaniu farbami olejnymi, wycieczce na Hawaje, lekcjom gry na pianinie, pedicururowi. Powiedz „tak” temu wszystkiemu, co wzbogaca twoje życie i świat wokół ciebie. Nie chodzi o wielką rewolucję, tylko o kolejny mały krok. W którą stronę pójdziesz?

Opowiedz o twoich „tak” i twoich „nie” temu, kto wierzy w ciebie najbardziej. Zwierz się swojemu małżonkowi, przyjacielowi, któremuś z rodziców. Spraw, by stało się to realne.

Nie trzeba usłyszeć diagnozy „rak”, żeby zacząć żyć pełnią życia. Wystarczy zapalić świecę każdego dnia. To wspaniały sposób, żeby przypomnieć sobie, że życie jest krótkie, a jedyne, co się liczy, to chwila obecna. Wyjdź z kina z nudnego filmu. Odłóż książkę, która cię nie zachwyca.

Witaj każdy ranek z otwartymi ramionami, a każdej nocy ze szczerego serca dziękuj za minione dwadzieścia cztery godziny. Każdy dzień to cenny dar. Trzeba się nim delectować i z niego korzystać, zamiast oszczędzać go na przyszłość, która może nigdy nie nadejść.

Lekcja 22

Przygotuj się ponad miarę, a potem daj się ponieść

Prawie wszystko w życiu wciąż mnie przeraża.

Kiedyś myślałam, że jeśli będę się modlić w odpowiedni sposób albo odpowiednimi słowami, to cały strach zniknie. I rzeczywiście, znika. Problem polega na tym, że wraca błyskawicznie, gdy tylko stanę przed nowym wyzwaniem. Jest takie stare powiedzenie: „Odwaga to strach po odmówieniu modlitwy”. Ja modlę się bez przerwy. Moje modlitwy nie zawsze rozwiewają strach. Ale dają mi siłę, bym mimo wszystko działała, pokonując lęk lub zapominając o nim, w zależności od wyzwania.

Strach to mój stały, irytujący towarzysz. Ale teraz mam dla niego nową odpowiedź:

– No i co? Czekam na następne wyzwanie!

Don, mój przyjaciel, nauczył mnie motta, dzięki któremu poradził sobie z wieloma trudnymi sytuacjami: rozmowami kwalifikacyjnymi, wnioskowaniem o granty i spotkaniami na wysokim szczeblu, które go wówczas przerażały. Mnie pomaga ono przemawiać do kilkuset absolwentów na zakończenie roku akademickiego, pisać felietony dla setek tysięcy czytelników i prowadzić cotygodniową audycję radiową. Pomogło mi nawet przygotować przyjaciółkę do porodu.

Don po raz pierwszy usłyszał to hasło w latach osiemdziesiątych, kiedy pracował jako specjalista do spraw uzależnień w stanowym programie dla nastolatków. Miał za zadanie przekazać mnóstwo informacji grupie dwanaścioro dzieci podczas weekendowych grup wsparcia. Na zajęciach treningowych główny trener zawsze powtarzał: „Przygotuj się ponad miarę, a potem daj się ponieść”. Wspaniała rada, kiedy pracujesz z nastolatkami. Don zastosował się do niej i pozwalał, żeby na jego zajęciach rozmowa toczyła się sama. Dzięki temu dzieciaki mogły swobodnie dzielić się swoimi przeżyciami. Don wiedział, że jeśli tematy się skończą, może się podeprzeć informacjami, które przygotował. Dzieciakom tak spodobały się te dyskusje, że nazwały swoją grupę Papa D. i Parszywa Dwunastka i nie chciały wychodzić z zajęć.

Od tamtej pory Don kierował się tym mottem za każdym razem, kiedy miał przedstawić informacje, których nie był pewny. Gdy ubiegał się o jakąś posadę, opracowywał biznesplan, w którym uwzględniał wszystkie dane, jakie udało mu się zdobyć o danej organizacji. Identyfikował problemy do rozwiązania i wyjaśniał, jak on by to zrobił. Przygotowując się do jednej z rozmów o pracę, rozmawiał z dwudziestoma pięcioma profesjonalistami z branży i zapełnił informacjami dwa notesy. Oczywiście został przyjęty.

Teraz podchodzi w ten sposób do każdej nowej sytuacji: poświęca dodatkowy czas i wysiłek, żeby przygotować się lepiej niż ktokolwiek inny. Kiedyś zazdrościł facetom, których uważał za mądrzejszych od siebie. Potem zrozumiał, na czym polegała jedyna różnica między nimi – oni odrabiali pracę domową. Przygotowywali się ponad miarę. Zaczął robić to samo i dał się ponieść – aż zaszedł dalej niż oni.

Ja kieruję się tym mottem co tydzień, przygotowując się do audycji, którą prowadzę w filii radia NPR w Cleveland. Za każdym razem mam nowy temat i nowych gości, ale mikrofon pozostaje ten sam. Dawniej, w dniu programu, od chwili przebudzenia rósł we mnie niepokój. To już przeszłość.

Teraz przygotowuję się najlepiej jak to możliwe poprzedniego dnia, drukuję notatki, szukam informacji o gościach i temacie audycji. Rozkładałam je przed sobą i już sam ich widok dodaje mi pewności siebie. Rzadko wykorzystuję choćby połowę tych materiałów. Ale gdy tylko siadam przed mikrofonem i wchodzimy na antenę, niepokój znika i świetnie się bawię.

Kiedy moja przyjaciółka Sharon poprosiła mnie, żebym pomogła jej przy porodzie, byłam podekscytowana, ale i przestraszona. Sama urodziłam dziecko, ale nigdy nikomu w tym nie pomagałam.

Przez wiele tygodni chodziłyśmy razem na zajęcia. Robiłam szczegółowe notatki. Przepisywałam je na gigantyczne arkusze, dzieliłam na kategorie i oznaczałam różnymi kolorami w zależności od etapu porodu, którego dotyczyły, żebyśmy mogły szybko znaleźć właściwą. Przygotowałam czterostronicowy plan porodu, gdzie opisałam, w jaki sposób Sharon chciałaby urodzić: naturalnie, przy przygaszonych światłach i cichej muzyce, bez znieczulenia czy kroplówek. Zaznaczyłam, kto może ją odwiedzać, jaki balsam mam zapakować (różany) oraz jaki smak napoju Gatorade powinien mieć pod ręką (jeżynowy).

Kiedy zbliżał się termin porodu Sharon, wypełniłam wielką walizę na kółkach wszystkim tym, co zdaniem trenera mogło się przydać przy porodzie. Spakowałam odtwarzacz CD, żeby puszczać cicho muzykę. Fontannę relaksacyjną, żeby Sharon mogła się odprężyć. Gigantyczną piłkę, żeby mogła na niej usiąść, kiedy poród się zacznie. Plakaty z pozytywnymi hasłami, żeby zagrzewać ją do walki. Batoniki Granola dla mnie. Cukierki dla pielęgniarek. Kamerę wideo, stoper i cygara. Upewniłam się, że w samochodzie jest zamontowany fotelik dla dziecka, w baku nie brakuje paliwa, a fotel pasażera jest wyłożony wodoodpornym prześcieradłem.

Byłyśmy gotowe na wszystko. O piątej rano Sharon odeszły wody. I właśnie tej fali dałyśmy się ponieść. Przyjechałyśmy do szpitala, a moja przyjaciółka została przygotowana do porodu. Przez wiele godzin nic się nie działo. Wiedziałam, że tak może być. Czytałyśmy czasopisma i książki, grałyśmy w karty i słuchałyśmy muzyki. Sprawy postępowały zbyt wolno, więc lekarze postanowili przyspieszyć poród, czego nie było w planie. Podłączyli Sharon do kroplówki. Kiedy skurcze się zaczęły, to już nie odpuściły. Wyciągnęłam arkusze z notatkami i pomogłam przyjaciółce wypróbować różne pozycje oraz ćwiczenia oddechowe, żeby zmniejszyć jej dyskomfort i utrzymać koncentrację. Gdy przyszedł największy ból, a Sharon musiała przetrwać niekończącą się serię skurczów, pozostałam spokojna i opanowana. Kiedy więc nadszedł czas, by przec, parła tak mocno, że aż wyskoczyła jej kroplówka. A po niej dziecko.

Mały Finnegan był cudowny. Jego narodziny nauczyły mnie, że możemy osiągnąć wszystko, czego pragniemy – a co ważniejsze, możemy pomóc w tym innym. Trzeba po prostu uwierzyć, że to możliwe. A jeśli porządnie się przygotujesz, będzie ci o wiele łatwiej zaufać życiu i dać mu się ponieść tam, gdzie cię zaprowadzi.

Lekcja 23

Bądź ekscentryczny już dziś. Nie czekaj na starość, by ubierać się na fioletowo

Starzy ludzie i dzieci wiedzą, jak żyć.

Ci, którzy stoją na początku i na końcu drogi, bawią się najlepiej. Mają w nosie, co myślą inni. Są albo za młodzi, żeby wiedzieć, że powinni się tym przejmować, albo za starzy, żeby ich to obchodziło.

Ci z nas, którzy znajdują się gdzieś pomiędzy, mogliby się od nich nauczyć paru rzeczy.

W latach osiemdziesiątych wielką popularność zdobył wiersz o odwadze, by ubierać się na fioletowo. Wiele osób mylnie sądzi, że nosi on tytuł „Fioletowy wiersz”, „Stara kobieta”, albo „Kiedy będę stara, będę się ubierać na fioletowo”. Angielska poetka Jenny Joseph napisała „Ostrzeżenie” w 1961 roku. Wiersz trafił na pocztówki, koszulki, magnesy i torebki.

Jak wielu z nas, poetka ma dość dobierania wygodnych butów do strojów, które nawet się jej nie podobają, ponieważ wtapia się w nich w tło jak tapeta. Ma dość zachowywania się tak porządnie, że nikt nie zauważa jej istnienia, bo nie przechodzi przez ulicę na czerwonym świetle, nie przeklina i nikt się przez nią nie rumieni, nie śmieje ani nie śpiewa dla niej piosenek. Nie ma już siły trzymać fasonu. Ja też nie.

Czasem człowiek ma ochotę stanąć w zatłoczonej windzie tyłem do wyjścia i zacytować *Hamleta* albo zaśpiewać pasażerom: „tra-la-la-la”. Są takie dni, że chciałoby się wyciągnąć harmonijkę ustną na zebraniu zarządu albo zacząć stepować w kolejce na poczcie. O ileż zabawniejsze byłoby życie, gdyby ludzie kierowali się mottem ekscentryków: „Jak już coś robić, to na całego”, albo przynajmniej częściej nosili się na fioletowo.

Zawsze kiedy widzę starszą panią ubraną na fioletowo, przypomina mi się ten wiersz. Jakie to nudne stale być rozsądną, wciąż dawać dobry przykład, przestrzegać wszystkich reguł. Uwielbiam kartkę urodzinową z napisem: „Jeśli przestrzegasz wszystkich zasad, omija cię cała zabawa”.

„Ostrzeżenie” zainspirowało grupę kobiet do założenia Stowarzyszenia Czerwonych Kapeluszy. Kobiety, które przekroczyły pięćdziesiątkę, spotykają się, żeby spędzić miło czas i trochę się powygłupiać. W ich „dezorganizacji”, jak lubią się nazywać, obowiązuje kilka zasad. Kobiety po pięćdziesiątce noszą komplet insygniów: czerwony kapelusz, im dziwniejszy, tym lepiej, i fioletowy strój. Kobiety przed pięćdziesiątką zachęca się do noszenia różowych kapeluszy i lawendowych ubrań. Nie zasłużyły jeszcze na prawo do noszenia tak krzykliwych strojów jak starszyzna.

Po cichu podziwiam kobiety, które wkładają czerwone bluzki z cekinami na kolację w poniedziałkowy wieczór albo mężczyźni w czapkach *à la* kot Prot z książki dr. Seussa na meczach piłki nożnej. Ja najczęściej nie mam nawet odwagi pomalować ust szminką. Kiedy zrobiłam to po raz pierwszy, koleżanka z pracy zapytała, czy źle się czuję. Chyba wybrałam trochę za mocny odcień.

Jak dotąd, moim największym ekscentryzmem było przynoszenie lunchu w pudełku z wizerunkiem Charliego Browna... na zajęcia na studia. Do kompletu miałam nawet śliczny termosik na sok z Lucy i Woodstockiem. Do dziewiętnastego roku życia nie nosiłam kanapek do szkoły, bo jako dziecko mieszkalam tylko dwie przecznice dalej, dlatego wracałam na lunch do domu. Problem

z przynoszeniem sobie jedzenia w takim pudełku na pierwszym roku studiów polega na tym, że ludzie przestają się do ciebie odzywać. Wszyscy uznali, że jestem stuknięta. Pudełko z Charliem Brownem krępowało moich znajomych, więc poddałam się ich woli.

Dziesięć lat później zaczęłam nosić przekrzywiony czarny beret, ale wszyscy nabijali się ze mnie, że pozuję na artystkę albo mówili do mnie po francusku.

Po co być normalnym? To łatwiejsze. Ale nie daje tyle radości co alternatywa. Większość z nas jest dość normalna. Kiedyś sprawdziłam słowo „ekscentryczny” w Wikipedii i pod alfabetycznym spisem haseł znalazłam przykłady tylko przy sześciu literach. Były to:

B. Bronił sam siebie przed sądem.

C. Członkowie grup dyskusyjnych.

D. Drag queens.

O. Obserwatorzy ptaków.

M. Modelarze kolejowi.

W. Wielbiciele muszek.

Moim zdaniem, to kiepskie przykłady. A co ze wszystkimi ewidentnymi ekscentrykami?

E jak fani fryzury „na Einsteina”, w której człowiek wygląda tak, jakby włożył palce do gniazdka elektrycznego.

K jak zwolennicy krasnali ogrodowych, torturujący nimi sąsiadów.

N jak niewolnicy kotów, którzy mają dwadzieścia sześć lub więcej zwierzaków, kłębiących się na żyrandolach, łózkach i zasłonach.

P jak fanatycy piercingu, który przenosi się z uszu na intymne części ciała.

R jak rowerzyści jednokołowi.

S jak Shrinersi, członkowie Dawnego Zakonu Arabskiego Szlachty Arki Mistycznej, którzy podczas parad zabawnie się ubierają i jeżdżą dziwacznymi samochodami.

Z jak zbieracze, którzy kolekcjonują pudełeczka po cukierkach z postaciami Looney Tunes.

Nie spotkałam zbyt wielu prawdziwych ekscentryków w życiu. Znałam staruszkę, która ubierała się wyłącznie na białe, od stóp do głów. Co jakiś czas wpadam na mężczyznę, który nosi szorty przez okrągły rok. W Cleveland. I to naprawdę krótkie szorty, z rodzaju tych, które wyszły z mody w latach osiemdziesiątych. Kiedy siada, robi się niebezpiecznie. Trzeba odwrócić wzrok, żeby nie zobaczyć zbyt wiele.

Mamy też pewnego ekscentrycznego sąsiada. Pan H. od dziesięciu lat chodzi w tym samym ubraniu, które ulega na nim powolnemu rozkładowi. Jego biały T-shirt nabrał koloru pożółkłej gazety, a niebieskie spodnie mają większe dziury na kolanach niż tę jedną w talii. Pan H. ma osiemdziesiąt lat i żyje ze spadku: odziedziczył wielką fortunę.

Jest właścicielem trzech domów na naszej ulicy, ale mieszka tylko w jednym. Pozostałym pozwala obrócić się w ruinę. Zagnieździły się tam szopy pracze i wiewiórki, ale jemu to nic nie przeszkadza. Wygląda i zachowuje się jak Lorax, postać z książeczek dla dzieci dr. Seussa. Przytnij choćby gałąź, a dostaniesz od naszego sąsiada grabiami. Był już aresztowany za niekoszenie trawy przed domem. Chce stworzyć tam ostoję dla króliczków i innych stworzeń.

Pewnego dnia zjawił się u nas z buteleczką bordowego lakieru do paznokci i rachunkiem opiewającym na 69 centów. Zadzwonił do drzwi i oznajmił, że z naszego domu odprysnął płatek

farby, tworząc plamkę wielkości paznokcia niemowlęcia. Poprosił, żebyśmy ją zamalowali. I zażądał zwrotu poniesionych kosztów: 69 centów. Nie chciał przyjąć całego dolara, tylko te 69 centów, które mu się należały.

Tacy faceci jak on nadają światu głębi.

Zwykle słyszy się o nich, kiedy umrą. Mężczyzna, który przychodził na zajęcia w Berkeley w stanie Kalifornia (bo gdzieżby indziej?) w stroju Adama. Facet, który nadał sobie przydomek Joybubbles („Radosny bulgot”) i potrafił naśladować pogwizdywaniem dźwięk wybierania numeru w telefonie. Kobieta, w której nekrologu wspomniano, że w wieku osiemdziesięciu lat złamała nogę, spadając z drzewa.

Kiedyś podczas rekolekcji w opactwie Gethsemani w stanie Kentucky zauważyłam, że jeden z mnichów nie nosi butów ani sandałów. Gdy chodził, jego biała szata unosiła się, odsłaniając kowbojki. Wyglądał odjazdowo.

Skoro mnich może nosić kowbojskie buty, to i my powinniśmy lepiej dobierać dodatki.

Ja zaczęłam nosić kocie okulary przeciwsłoneczne. Znalazłam je w South Beach na Florydzie po śmierci mojego teścia. Byliśmy w sklepie z okularami przeciwsłonecznymi i założyłam je dla żartu. Kto by chodził w coś tak dziwnym i ekscentrycznym?

Mojemu mężowi i jego bratu bardzo się spodobały. Teść uwielbiał okulary przeciwsłoneczne, więc każde z nas kupiło sobie parę. Założyłam te kocie okulary na jego pogrzeb. Wiele lat później wystąpiłam w nich również na weselu córki. Stały się moim znakiem rozpoznawczym.

Uwielbiam ten cytat z Raya Bradbury’ego, że każdy z nas jest cudem siły życia. Dzięki niemu czuję się jak żywy wykrzyknik, stworzony przez wszechświat, który chce po prostu poderwać krzykiem siebie i wszystkich innych do życia.

Według mnie każdy ekscentryk jest właśnie głośnym okrzykiem wszechświata. Więc na co czekasz?

Wykrzycz siebie!

Lekcja 24

Zacznij odkładać dziesięć procent na emeryturę już od pierwszej wypłaty

Pierwszy raz w życiu zarabiałam duże pieniądze.

No dobrze, tak naprawdę to nie były duże pieniądze, ale przynajmniej dostawałam porządną pensję. Komuś innemu 22 000 dolarów rocznie wydałoby się nieprzyzwoicie niskim wynagrodzeniem, ale po tym, jak przez dwa lata wychowywałam samotnie dziecko za 7500 dolarów rocznie, a potem musiałam nas utrzymać za zawrotną sumę 12 000 dolarów, kwota 22 000 dolarów na rok wydawała się majątkiem.

Mogłam zabrać córkę do McDonalda, nie szukając wcześniej drobnych pod poduszkami na kanapie. Mogłam kupić pudełko lodów, nie czekając na promocję. Mogłam opłacić wszystkie rachunki za mieszkanie na czas.

O tak, wreszcie mi się udało. Tak przynajmniej sądziłam. Byłam po trzydziestce i wciąż jeszcze odstawałam od średniej, kiedy facet z biurka naprzeciwko zaczął mi smęcić o oszczędzaniu na emeryturę. Emerytura? Chyba oszalał. Potrzebowałam tych pieniędzy teraz. Do emerytury zostało mi kilkadziesiąt lat. I to świetnych.

W końcu zaczęłam porządnie zarabiać, a on chciał, żebym roztrwoniła te pieniądze na przyszłość? Tak to widziałam. Co kilka miesięcy wracał do tematu i pytał, czy uczestniczę w pracowniczym planie emerytalnym 401(k). Gazeta, w której pracowałam, „Beacon Journal”, należała do grupy Knight-Ridder. Firma dokładała dwadzieścia pięć centów do każdego odłożonego przez pracownika dolara. Przekładając to na większą skalę, oznaczało to, że na każde dwadzieścia dolarów oni dokładali pięć. Do każdej setki, dorzucali dwadzieścia pięć – i tak dalej.

Nie, nie uczestniczyłam w tym planie i nie miałam takiego zamiaru. Problemem nie było powierzenie innym moich pieniędzy. Problemem były same pieniądze. Źle interpretowałam ten biblijny werset: „Korzeniem wszelkiego zła jest chciwość pieniędzy”. Sądziłam, że pieniądze są źródłem zła. Czy nie byłabym chciwa, chcąc mieć ich jeszcze więcej? Plan 401(k) wydawał mi się podejrzany. Dlatego w dalszym ciągu rezygnowałam z darmowych pieniędzy, nie tylko z dokładanych przez firmę 25 procent, lecz także z narastających odsetek składanych.

Przyjaciel w końcu mnie przekonał.

– Oni dają Ci te pieniądze. Jak możesz ich nie wziąć?

Wreszcie zapisałam się do planu 401(k), po wielu latach odrzucania zysków ze strachu i ignorancji.

Dopiero znacznie później, kiedy poznałam przyszłego męża, zrozumiałam potęgę odsetek składanych. Bruce wyjaśnił mi jedną z najważniejszych idei finansowych: kapitalizację odsetek. Albert Einstein miał ponoć powiedzieć: „Najpotężniejszą mocą we wszechświecie jest kapitalizacja odsetek”.

Jaka szkoda, że przez te wszystkie lata nie zdawałam sobie sprawy, iż czas pomnaża pieniądze. Kiedyś miałam odnawialną lokatę terminową, na której trzymałam kilkaset dolarów. Co dwa lata, po każdym terminie zapadalności, wyjmowałam i wydawałam odsetki. To była moja premia. Pieniądze za nic. Genialne. Nigdy nie pozwoliłam, żeby odsetki się skumulowały. Nikt mi nie wyjaśnił, że

odsetki, które już przyrosły, również mogą przynieść odsetki. A przecież w ten sposób pieniądze pracują za ciebie. Możesz zainwestować je w akcje albo fundusze powiernicze; o tym zadecydujesz ze swoim doradcą finansowym. Po prostu zostaw je w spokoju – całą sumę, nawet odsetki. Pieniądze możesz przelewać bezpośrednio ze swojej pensji. W ten sposób nauczysz się żyć za to, co ci zostanie.

Jedną z najbardziej przystępnych i popularnych książek, które wyjaśniają ten mechanizm, jest *The Wealthy Barber* („Bogaty fryzjer”) Davida Chiltona. Choć powstała w 1989 roku, zawiera odwieczne prawdy. Bohaterem książki jest Roy, bogaty małomiasteczkowy fryzjer, który udziela porad swoim klientom. Radzi im, żeby natychmiast zaczęli odkładać pieniądze na emeryturę, niezależnie od tego, ile mają lat. Im wcześniej, tym lepiej. A właściwie najlepiej jak najwcześniej.

Roy przytacza historię dwudziestodwuletnich braci bliźniaków, którzy postanawiają zacząć odkładać na emeryturę. Pierwszy otwiera indywidualne konto emerytalne, inwestuje 2000 dolarów co roku przez sześć lat, a potem przestaje. Założenie w tej historii jest takie, że jego środki rosną o 12 procent rocznie, co jest całkiem niezłym wynikiem.

Drugi z bliźniaków zwleka i zakłada konto emerytalne dopiero siedem lat później – kiedy jego brat przestał już zasilać swoje. Odkłada 2000 dolarów rocznie przez 37 lat. On także zyskuje 12 procent rocznie. Skończywszy 65 lat, bracia wybierają się na obiad, żeby porównać zgromadzony kapitał. Drugi z bliźniaków, wiedząc, że brat przestał odkładać pieniądze 37 lat wcześniej, jest pewny, że zgromadził przynajmniej dziesięć razy więcej od niego.

Nic podobnego. W wieku 65 lat obaj mają tyle samo oszczędności: po 1,2 mln dolarów.

Ta historia za każdym razem robi na mnie wrażenie. Pierwszy z braci wpłacał 2000 dolarów rocznie przez sześć lat. Jeśli to zsumujemy, okaże się, że łącznie włożył na konto 12 000 dolarów. Drugi odkładał 2000 dolarów co roku przez 37 lat. To znaczy, że wpłacił 74 000 dolarów – ponad sześć razy więcej niż jego brat bliźniak. Ostatecznie zarobili jednak tyle samo – 1,2 mln dolarów.

Jaki z tego morał?

Zacznij oszczędzać na emeryturę już teraz i pozwól, żeby odsetki przynosiły odsetki. Mnie zastanawia tylko, dlaczego Roy nadal strzyże włosy, skoro jest milionerem.

Koncepcję opisaną w tej książce nazwano „Rozwiązaniem dziesięć procent” albo „Najpierw zapłać sobie”.

Inwestuj długoterminowo dziesięć procent wszystkiego, co zarabiasz, i nie ruszaj tych pieniędzy: ani kapitału, ani odsetek. Niech rosną dalej.

Mój mąż ma dwóch synów z pierwszego małżeństwa. Stale powtarza im i mojej córce: najpierw zapłać sobie. Inwestuj dziesięć procent każdego prezentu urodzinowego czy gwiazdkowego, każdej podwyżki. Dobrze tę zasadę wpoić dzieciom już przy okazji wręczania kieszonkowego.

To nie wymaga nawet silnej woli. Tylko decyzji, żeby wziąć stuprocentową odpowiedzialność za swoje życie i swoją przyszłość.

Lekcja 25

Nikt prócz ciebie nie odpowiada za twoje szczęście. Jesteś menedżerem własnej radości

Mężczyźni nie potrafią czytać w myślach.

Wszystkie kobiety o tym wiedzą, a mimo to zbyt wiele z nich zmusza mężów, chłopaków i kochanków, żeby zmierzyli się z tym niemożliwym zadaniem.

Weźmy na przykład walentynki, najbardziej rozczarowujący dzień po Sylwestrze. Ile kobiet wie dokładnie, co chciałoby dostać, ale nie daje ukochanemu żadnej wskazówki? Spodziewasz się pudełka czekoladek Godiva, on kupuje ci jadalną bieliznę. Marzysz o wyjściu do teatru, on zabiera cię na mecz baseballu. Masz ochotę na kolację przy świecach, on przynosi do domu danie na wynos.

Kobiety i mężczyźni byliby dużo szczęśliwsi, gdyby czytali we własnych myślach i troszczyli się o swoje osobiste potrzeby i pragnienia.

Przez wiele lat czułam się rozczarowana w swoje urodziny, walentynki, sylwestra i sobotnie wieczory, ponieważ miałam konkretne wyobrażenia na temat tego, co mój aktualny chłopak powinien zrobić, żeby mnie uszczęśliwić. Problem polegał na tym, że przed nikim się z nimi nie zdradzałam. Nawet przed samą sobą. Kiedy pytał, jaki film chciałabym obejrzeć, wzruszałam ramionami, nie zaglądając nawet do repertuaru. Na pytanie, gdzie chciałabym zjeść, odpowiadałam, że wszystko mi jedno, chociaż miałam ochotę na pizzę od Luigiiego albo na meksykańskie jedzenie z Luchity.

Dlaczego nie mówiłam po prostu, czego chcę? Bo kiedy z rzadka zdobywałam się na odwagę, żeby to wyjawic, a potem i tak tego nie dostawałam, wpadałam w rozpacz. Chcąc uniknąć owego uczucia, ukrywałam swoje pragnienia i marzenia. Jeśli się z nimi nie zdradzisz, i tak będzie szansa, że się spełnią. To dziwna gra, którą często stosują kobiety, choć niemal zawsze bez powodzenia.

Ja w końcu znalazłam rozwiązanie tego problemu. Kiedy ktoś zapyta, czego chcesz, zamiast zaprzeczać, że masz jakiegokolwiek pragnienia, zamiast ukrywać największe marzenie z obawy, że się nie ziści, wypróbuj nową taktykę: zapytaj sam siebie, co sprawiłoby ci prawdziwą przyjemność. Nie poprzestawaj na jednym czy dwóch pomysłach. Wymyśl dla pytającego trzy propozycje, z których wszystkie ci się podobają. W ten sposób pozostawiasz mu wybór, ale w każdej sytuacji wygrywasz.

Jeśli chodzi o randki, pracę, małżeństwo, wychowywanie dzieci i każdy związek, w którym się znajdziesz, lepiej od razu przejmij odpowiedzialność za własne szczęście, ponieważ jedyną osobą, która potrafi cię uszczęśliwić, jesteś ty sam. Skup swoje siły na tym, żeby stworzyć dla siebie życie, o jakim marzysz, zamiast czekać, aż ktoś poda ci je na talerzu. Skończ studia. Zaczynaj robić karierę. Zastanów się, co sprawia ci radość, i wybieraj to każdego dnia.

Nikt inny na tej planecie nie może cię uszczęśliwić. Ani twoja matka, ani ojciec, mąż, partner, dziewczyna, chłopak, dzieci, szef, koledzy z pracy, przyjaciele czy horoskop. To twoje i tylko twoje zadanie.

A wszystko zaczyna się od decyzji, żeby być szczęśliwym.

Kiedy poczujesz, że ogarnia cię strach, rozpacz i przygnębienie, gdy będziesz siedział smutny i użalał się nad sobą, po prostu skończ z tym i zadaj sobie to pytanie: Czy chcesz być szczęśliwy?

Odpowiedź nie powinna brzmieć: „Tak, ale...”.

Żadnych „ale”.

Wszystko zależy od ciebie.

Wybierz szczęście, właśnie tu i teraz. Kiedy chcesz się otrząsnąć ze złego nastroju, zastanów się: Co zrobiłby teraz ktoś szczęśliwy?

Ćwicz bycie szczęśliwym. Zachowuj się tak, jakbyś czuł szczęście.

Wprowadź odrobinę szczęścia do swojego planu dnia i tygodnia. Raz w tygodniu rozpieszczaj sam siebie. Wygospodaruj na to godzinę. Nazwij ją godziną piękna. Godziną ekscytacji. Godziną spokoju.

Wyobraź sobie swój wymarzony dzień, a potem go przeżyj. Włóż ulubiony strój. Utnij sobie drzemkę. Nie śpij do późna. Zjedz pizzę na śniadanie. Zaprojektuj idealny dzień tylko dla siebie.

Idź na masaż. Zrób sobie pedikiur. Zaszalej. Pomaluj każdy paznokieć u nóg na inny odcień czerwieni. Kup nową bieliznę. Wyrzuć majtki, w których jest więcej dziur niż w serze szwajcarskim. Zaslugujesz na coś lepszego.

Zadzwoń po przyjaciół i zaproś ich na przyjęcie w stylu: „Przyjdź tak, jak stoisz”. Poproś wszystkich, żeby przynieśli jakieś danie z czekolady.

Stwórz dla siebie w domu sanktuarium, prywatne miejsce, w którym będziesz się modlić, marzyć, tworzyć. Przysuń krzesło do okna. Powieś tam paprotkę albo ustaw fiołki. Rozłóż ulubione książki.

Ułóż się wygodnie i poczytaj sonety miłosne. Poleż w wannie w pianie. Albo weź gorącą kąpiel przy świecach. Zetnij świeże kwiaty i ustaw je na szafce nocnej.

Rozśmieszaj samego siebie. Oglądaj seriale komediowe, kup kilka komiksów, posłuchaj starej płyty Billa Cosby’ego.

Zaproś siebie na randkę. Zaplanuj ze sobą cały wieczór. Zamów ulubione wino, przystawkę, danie główne i deser. A kiedy kelner zapyta: „Stolik dla jednej osoby?”, odpowiedz: „Tak!” z radością zamiast wstydu.

Posłuchaj muzyki, którą uwielbiałeś w szkole średniej. Nagraj sobie płytę z ulubionymi piosenkami. Zatytułuj ją: „Ścieżka dźwiękowa mojego życia”.

Wypisz dwadzieścia najlepszych rzeczy, które cię dotąd spotkały. Potem dodaj dwadzieścia rzeczy, o których wciąż marzysz, wybierz jedną z nich i zrób coś, co pomoże ci ziszczyć to marzenie.

Napisz do siebie list od dziecka, którym byłeś, mając sześć lat. Co powiedziałbyś tamten sześciolatek dorosłemu, którym jesteś dziś? Użyj grubej kredki i pisz lewą ręką (jeśli jesteś leworęczny, pisz prawą).

Przestaw meble w sypialni. Wpuść do pokoju więcej promieni słońca i blasku księżyca. Powieś w rogu migocące światelka.

Wsluchaj się w swoje rozmowy z samym sobą. Jeśli są nieprzyjemne, zmień to. Napisz dla siebie nowy scenariusz. Rozklej karteczki z pozytywnymi hasłami w całym domu. Ukryj je też w schowku w samochodzie, apteczce, zamrażarce, suszarce i szufladzie ze skarpetkami.

Pozbieraj wszystkie przechowywane luzem zdjęcia i zrób z nich album albo kolaż, przedstawiający ludzi, których naprawdę kochasz najbardziej.

Kiedy zadbasz o własne potrzeby i pragnienia, przestaniesz zadręczać innych wygórowanymi oczekiwaniami. Nie będziesz już szukać u nich czegoś, czego ci brakuje. Przyjdziesz zaspokojony, przynosząc im coś, czym możesz się z nimi podzielić, co wzbogaci obie strony.

Sam odpowiadasz za własne szczęście – zaakceptuj to i ciesz się tym. Zostałeś oficjalnie mianowany meneżerem swojego losu. Jak wyjaśnił mi jeden z przyjaciół, możesz być albo szczęśliwy, albo zrozpaczony. Jedno i drugie wymaga tyle samo wysiłku.

Lekcja 26

Każdą tak zwaną katastrofę kwituj słowami: „Czy za pięć lat to będzie miało jakieś znaczenie?”

Przyjrzyj się temu, co dziś nazywasz problemem, katastrofą albo kryzysem, i zadaj sobie następujące pytanie: Czy za pięć lat będzie to miało jakieś znaczenie?

Odpowiedź najczęściej brzmi: „nie”.

Przypomnij sobie studia. Mnie zrobienie licencjatu zajęło dwanaście lat. Czy fakt, że trwało to tak długo, ma dziś jakiegokolwiek znaczenie? Nie.

Chciałam zostać strażnikiem leśnym i musiałam zaliczyć dwadzieścia pięć godzin chemii. Oblałam pierwsze zajęcia. Potem dostałam słabą ocenę z zoologii i z psychologii dziecięcej. Uznałam to wówczas za porażkę. A potem było jeszcze gorzej. Zaszłam w ciążę i rzuciłam szkołę. Ale kiedy wróciłam na studia sześć lat później, uniwersytet przyjął strategię „amnestii akademickiej”. Wykreślili mi te stopnie z indeksu. *Voilà*. Natychmiast podskoczyła mi średnia.

Zbyt często zadęczamy się błahostkami.

Strasznie boli cię głowa, masz okropne skurcze albo poważne zapalenie zatok, przez które z trudem zwlekasz się z łóżka. Przez całą noc przewracasz się z boku na bok, zastanawiając się, czy z powodu choroby wziąć wolne w pracy. Weź. Jakie znaczenie będzie miało za pięć lat, że zrobiłeś sobie wolny dzień?

Musisz złożyć referat, z którego nie jesteś w stu procentach zadowolony. Przygotowałeś go najlepiej, jak mogłeś, ale nie tak dobrze, jak planowałeś. Zamierzałeś napisać dziesięć stron, a wyszło tylko dziewięć. Wyluzuj się. Czy za pięć lat to będzie miało znaczenie?

Chciałabyś wrócić do pracy, ale karmisz dziecko piersią – boisz się więc, że gdy przestaniesz, to wywołasz u córeczki jakiś uraz. Czy nie poczuje się odrzucona? Czy butelka nie zniszczy więzi między matką i dzieckiem? Za pięć lat to nie będzie miało żadnego znaczenia. Ważne, że kochasz swoją córkę.

Dwuletni synek mojej przyjaciółki miał bzika na punkcie smoczka. Przysysał się do niego jak odkurzacz. Smoczek mógł zepsuć mu zgryz, ale matka martwiła się, jak mały będzie bez niego spać. W końcu oznajmiła mu, że wyśle smoczek dziecku, które bardziej go potrzebuje. Któregoś dnia jej synek się z tym pogodził i od tej pory nie miał już problemów z zasypianiem.

Rodzice stale przez to przechodzą. Zamartwiają się, bo ich dziecko jeszcze nie chodzi, a dziecko znajomych już tak. Jakie znaczenie będzie miało za pięć lat, czy pierwszy krok zrobiło mając dziewięć, czy czternaście miesięcy? Tak czy inaczej, nie będzie raczkować do przedszkola. To samo z nocnikiem. Rodzice denerwują się, że ich półtoraroczna pociecha ciągle nosi pieluchy albo zdarzają się jej wypadki w wieku dwóch lat. Spokojnie. Żadne dziecko nie idzie do pierwszej klasy w pieluszce.

Spróbuj tak podejść do rozmów o pracę, randek i stopni w szkole. Czy to będzie miało znaczenie za pięć lat? A za pięć minut? Raczej nie.

A jeśli chodzi o coś poważniejszego? Jeśli gra toczy się o wyższą stawkę? Jeśli od naszej decyzji

zależy los innych ludzi? Zasada wciąż obowiązuje. Czasem trzeba się zatrzymać i zadać sobie pytanie: Co w tym zdarzeniu, problemie, incydencie okaże się najważniejsze za pięć lat? Właśnie tak postąpił pewien trener, udzielając swojej drużynie fantastycznej lekcji. Lekcja była trudna, ale jego zawodnicy nie zapomną jej do końca życia.

Kerry Coombs, trener drużyny futbolowej w Liceum Colerain w Cincinnati, poprowadził swój zespół do trzynastu zwycięstw w trzynastu meczach. Jego chłopcy zmiażdżyli poprzedniego przeciwnika 49 do 7. Zawodnicy wkładali w każdy mecz całą duszę i już tylko dni dzieliły ich od mistrzostw stanowych, które dla szkół średnich miały rangę Super Bowl. Gdziekolwiek pojawiał się trener, ludzie gratulowali mu sukcesów. Przez cały weekend myślał tylko o mistrzostwach.

Wszyscy ekscytowali się wielkim sobotnim meczem, dopóki pewien absolwent tej szkoły, oglądając skróty sportowe w telewizji, nie powiedział do matki:

– Ejże! Chodziłem z tym chłopakiem do ósmej klasy. Ciekawe, co on jeszcze robi w szkole średniej.

Matka, pracowniczka szkoły, zadała to samo pytanie szkolnemu psychologowi. Ten sprawdził dokumenty chłopca i okazało się, że zawodnik nie zdał w dziewiątej klasie i piąty rok chodzi do liceum. A to oznaczało, że nie może należeć do drużyny sportowej. Powiadomił o tym trenera, dyrektora i kuratora.

Poza tymi czterema osobami nikt nie wiedział, że chłopiec nie może grać. Nie miało znaczenia, że należał do drużyny futbolowej tylko dwa lata. Ani to, że miał problemy rodzinne i w dziewiątej klasie rzadko pojawiał się w szkole. Nie było ważne, że dawniej dostawał fatalne stopnie, a teraz wreszcie się podciągnął, nawiązał nowe przyjaźnie i starał się zrobić coś ze swoim życiem.

Reguły były jasne. Gdyby trener zgłosił to naruszenie przepisów władzom stanu, jego drużyna nie mogłaby zagrać w wielkim meczu.

– Nie była to łatwa decyzja – powiedział mi trener Coombs. – Muszę szczerze przyznać, że chwilami w mojej głowie pojawiała się myśl: „Przecież wiedzą o tym tylko cztery osoby”. Ale ostatecznie nie mogłbym z tym żyć. Byłoby o wiele gorzej, gdyby nasi uczniowie dowiedzieli się, że świadomie zrobiliśmy coś złego, zatajając prawdę. Nie mogłbym już spojrzeć tym dzieciakom w oczy.

Szkoła zgłosiła naruszenie reguł władzom stanu. Potem trener wezwał wszystkich zawodników do audytorium. Wszystkich poza jednym. Drugi trener zawiózł gracza, o którego chodziło, do domu, żeby przekazać mu smutną wiadomość na osobności. Drużyna wiedziała, że sprawa jest poważna, bo trener Coombs poprosił, żeby się pomodlili. Kiedy powiedział zawodnikom, co się stało, w oczach stanęły im łzy. Potem trener zabrał wszystkich na boisko, żeby zakończyć sezon. Stali tam w swoich szkolnych mundurkach, otoczeni pustymi trybunami, i rzucali piłkę.

Zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby każdy wielki trener. Zamienił tę sytuację w lekcję.

– Nikt nie umarł, nikt nie został ranny. Życie toczy się dalej – oświadczył. – Jeszcze nieraz spotka was taka przykrość i rozczarowanie jak dziś. Prawdziwą miarą człowieka jest to, jak po upadku podnosi się z ziemi.

Te wydarzenia odbiły się szerokim echem w lokalnej społeczności, a nazwisko zdyskwalifikowanego gracza powtarzano w telewizji, radiu i gazetach. Wydano nawet nakaz aresztowania, ponieważ okazało się, że nie spłacił równowartości skradzionych kiedyś przedmiotów.

Nie miał pieniędzy. Trener zawiózł go na komisariat, żeby mógł się oddać w ręce policji. Chłopak był zdruzgotany. Trener też. Przedwcześnie zakończyć sezon futbolowy to jedno, ale patrzeć, jak życie młodego chłopaka legnie w gruzach, to co innego.

– Przeszedł taką długą drogę – powiedział trener. – Ludzie zapominają, że to jeszcze dzieciak. Może i skończył osiemnaście lat, ale nadal jest dzieciakiem.

Trenerzy byli tak zajęci podwożeniem go do szkoły, pomaganiem mu w odrabianiu lekcji i cotygodniowym sprawdzaniem jego stopni – ogólnie rzecz biorąc, budowaniem w chłopcu poczucia własnej wartości – że nikt się nie zastanawiał, czy może należeć do drużyny.

Co było dalej? Z całego stanu do szkoły napływało jedzenie, faksy i kwiaty. Nawet władze innych szkół średnich zaoferowały wsparcie. Ludzie przekazywali pieniądze, żeby zdyskwalifikowany uczeń mógł pokryć swoje zobowiązania.

Trener Coombs się na to nie zgodził. Poprosił za to, jak przystało na trenera:

– Lepiej dajcie mu pracę.

Sprawił, że dla drużyny był to zwycięski sezon, który zawodnicy zapamiętali na długo po ukończeniu szkoły. Wiedział, że za pięć lat, kiedy będą na uniwersytecie, stracony sezon futbolowy, który mógł im przynieść mistrzostwo stanu, nie wyda im się katastrofą. Okaże się lekcją uczciwości i szczerości, która przyda im się w życiu dużo bardziej niż jakiekolwiek zwycięstwo na boisku.

Lekcja 27

Zawsze wybieraj życie

Sekret życia odkryłam na lekcji angielskiego w dziesiątej klasie, kiedy nauczycielka kazała nam przeczytać książkę Henry'ego Davida Thoreau *Walden, czyli życie w lesie*.

Thoreau opisał w niej, jak przez dwa lata i dwa miesiące mieszkał sam w lesie. Zbudował sobie mały domek, oddalony o milę od następnej chaty, nad jeziorem Walden w Concord w stanie Massachusetts. Fragment, który poruszył mnie w dziesiątej klasie, wciąż robi na mnie wrażenie:

Zamieszkałem w lesie, albowiem chciałem żyć świadomie, stawać w życiu tylko przed najbardziej ważkimi kwestiami, przekonać się, czy potrafię przyswoić sobie to, czego może mnie życie nauczyć, abym w godzinie śmierci nie odkrył, że nie żyłem. Nie chciałem prowadzić życia, które nim nie jest, wszak życie to taki skarb”^{*}.

Sekret polega na tym, żeby wybrać życie.

Życie jest tak cenne.

Cztery lata po tym, jak przeczytałam o wyzwaniu, które Thoreau rzucił życiu, życie rzuciło mi wyzwanie. Byłam wtedy przerażoną dwudziestojednoletnią studentką. Od czterech miesięcy nie miałam okresu, a mój brzuch zaczynał się zaokrąglać.

Nie chciałam być w ciąży. Próbowалам zmienić to modlitwą, a później po prostu postanowiłam, że wcale nie jestem w ciąży. Ale zaprzeczanie faktom niewiele mi pomogło. A właściwie wcale mi nie pomogło nie być w ciąży.

W tamtych czasach kobieta nie mogła po prostu pójść do sklepu po test ciążowy, nasiusiać na plastikowy patyczek i w zaciszu własnej łazienki dowiedzieć się, czy jest w ciąży. Trzeba było iść do lekarza, zostawić próbkę moczu i poczekać tydzień na wyniki.

Zawiozłam swoją próbkę do małej poradni w Kent, w stanie Ohio, specjalizującej się we wspieraniu samotnych matek. Kobiety z organizacji Birthright nie były napastliwymi antyfeministkami ani zwariowanymi obrończyniami życia, wyzywającymi od morderczyń osoby, które decydowały się na aborcję. Chciały tylko uświadomić kobietom, że urodzenie dziecka po to, żeby je wychować albo oddać do adopcji to realna, warta rozważenia możliwość.

W dniu, w którym nadeszły wyniki, zadzwoniłam do poradni z budki telefonicznej. Nie chciały mi nic powiedzieć przez telefon.

– To standardowa procedura – skłamały.

Tego dnia, kiedy szłam przez kampus do małego, śródmiejskiego pasażu handlowego, w którym mieściła się poradnia, wydawało mi się, że moje stopy nie dotykają ziemi. Płynęłam tam, zupełnie jakbym już wiedziała, że nadchodzą wielkie zmiany.

Kobieta za biurkiem wydawała się zachwycona tym, co miała mi do przekazania. Chociaż powinnam się już była wszystkiego domyślić, poczułam się tak, jakbym dostała w twarz. Jesteś w ciąży.

Ja? Przecież mam dopiero 21 lat! Byłam przerażona, zagubiona i samotna. Związek z ojcem dziecka

skończyłam kilka miesięcy wcześniej. I nie miałam pojęcia, co zrobić ze swoim życiem.

A jednak w głębi mojej duszy panował spokój, jak w oku cyklonu. Życie. We mnie w środku rośnie nowe życie.

Powiedziałam mu: „tak!” tamtego dnia i każdego kolejnego dnia mojego życia.

Mogłam wtedy podejść do ciąży na dwa sposoby: zobaczyć w niej totalną porażkę albo cudowną szansę. Ostatecznie rzuciłam studia i pracę ratownika medycznego, bo dźwiganie mogło zagrozić dziecku i skończyć się dla mnie nadwerężeniem kręgosłupa. Zamieszkałam w domu z rodzicami i miałam wrażenie, że w oczach świata poniosłam absolutną klęskę.

Ale wewnątrz, w moim prywatnym świecie, do którego nikogo nie wpuszczałam, cieszyłam się, że zostanę mamą. Musiałam zachować to w tajemnicy, bo wszyscy oczekiwali, że będę się wstydzić.

Moja córka okazała się najlepszym, co mnie w życiu spotkało, chociaż początkowo modliłam się, żeby zniknęła. W ciągu pięćdziesięciu trzech lat, które mam za sobą, nie przeżyłam wspanialszej przygody.

Wybierz życie.

Dla mnie to coś więcej niż kontrowersyjny slogan antyaborcyjny. To sposób patrzenia na każdy dzień, każdy wybór. Kiedy mam podjąć jakąś decyzję, zadaję sobie pytanie: która droga bardziej sprzyja życiu? I właśnie ją wybieram.

Kiedy dowiedziałam się, że mam raka, żaden sposób leczenia nie brzmiał zachęcająco. W grę wchodziły operacja, chemioterapia i naświetlanie. Niestety, lekarz zalecił wszystkie trzy.

Widziałam zbyt wiele osób wyniszczonych przez raka. Jako ratownik medyczny woziłam kiedyś na naświetlanie i chemioterapię pacjentów, którzy ledwo żyli, zbyt słabych, żeby mogli prowadzić samochód. Trzy z moich ciotek zmarły na raka po latach walki i cierpienia. Czy i mnie to czekało?

Któregoś dnia, tuż przed rozpoczęciem chemioterapii, której tak się obawiałam, wymyśliłam sobie małą grę. Co by się stało, gdybym po prostu zrezygnowała? Gdybym odmówiła chemioterapii, wierząc, że operacja wystarczy, a modlitwa mnie ochroni? Hm. Spodobała mi się ta myśl. Ale po kilku godzinach poczułam w głębi duszy, że w ten sposób odwróciłabym się od życia. To nie dla mnie. Wiedziałam, że muszę zrobić wszystko, co tylko możliwe, żeby utrzymać przy życiu ciało, w którym mieszka moja dusza. Wiedziałam, że Bóg jeszcze ze mną nie skończył.

Ostatecznie nie potrafiłam zagłuszyć tego cichego, spokojnego szeptu, jakim jest Bóg. Wciąż powtarzał mi: „Wybierz życie”. Pod koniec dnia przypominał już arię operową, śpiewaną crescendo.

Więc tak robiłam. Wybrałam życie. Poddawałam się wszystkim zalecanym terapiom. Najpierw mnie osłabiły, potem wzmocniły. Całe to doświadczenie odmieniło moje życie i życie ludzi wokół mnie, począwszy od mojej córki i męża, a na nieznajomych skończywszy.

Wśród najwspanialszych darów, jakie zesłał mi los, na mojej prywatnej liście przebojów w pierwszej dziesiątce – nie, w pierwszej piątce – uplasowały się dwa doświadczenia, o które sama nigdy bym nie poprosiła.

Samotne macierzyństwo w wieku dwudziestu jeden lat. Najlepsze, co mnie spotkało w życiu.

Rak w wieku czterdziestu jeden lat. Jedna z najlepszych rzeczy, jakie mnie spotkały.

Zmieniły mnie na dobre. Zmieniły mnie na zawsze.

Los poprowadził mnie ścieżką, którą nie chciałam iść, na którą nie planowałam trafić. Jednak kiedy się na niej znalazłam, odkryłam, że właśnie na tym polega największy sekret: trzeba wybrać życie.

Życie jest tak cenne.

[*](#) Henry David Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, przeł. Halina Cieplińska, [b.m.w.] 2005, s. 120.

Lekcja 28

Wszystkim wszystko wybaczej

Niebieska naklejka na zderzaku mojego samochodu głosi: „Niech Bóg błogosławi całemu światu, bez żadnych wyjątków”.

Jak dotąd nikt nie podważył słuszności tego wezwania. Były jednak takie dni, kiedy sama w to wątpiłam, bo znajdowałam zbyt wiele wyjątków. Kiedyś miałam ich całą listę. W końcu skurczyła się do jednej osoby. Nie mogłam się pozbyć tej jednej urazy.

Łatwiej wybaczyć tym, którzy ranią ciebie, niż tym, którzy ranią twoich najbliższych. Jak wybaczyć ojcu, który porzucił twoją córkę? Który przestał być częścią jej życia? Który sprawiał jej zawód w każde Boże Narodzenie i urodziny? Który wciąż składał obietnice, lecz ich nie dotrzymywał?

Nawiązałam z nim kontakt wiele lat po narodzinach Gabrielle. Na studiach spotykaliśmy się przez kilka miesięcy, a potem z nim zerwałam. Po paru kolejnych okazało się, że jestem w ciąży. Kiedy powiedziałam mu o dziecku, zaproponował, żebyśmy się pobrali. Uznałam, że to bez sensu. Skoro nie chcieliśmy ze sobą chodzić, z całą pewnością nie powinniśmy się pobierać.

Kiedy moja córka skończyła pięć lat, zaczęła pytać o tatę. Nigdy jej nie widział. Zajrzałam w głąb duszy i zrozumiałam, że nie miałam prawa usuwać go z jej życia. Po wielu tygodniach modlitw i rozmów z moim przewodnikiem duchowym, pewnego dnia zadzwoniłam do niego i zaprosiłam do uczestniczenia w życiu córki. Przeprosiłam za to, że wcześniej nie miał takiej szansy, i pozostawiłam mu decyzję, czy chce nawiązać z nią kontakt. Musiałam zachować się wobec niego w porządku – i tak robiłam.

On był już na innym etapie życia. Ożenił się. Pragnęli z żoną dzieci, ale ona nie mogła ich mieć. Nie powiedział jej, że ma już dziecko. Zanim spotkał się z Gabrielle, ostrzegałam go:

– Jeśli chcesz uczestniczyć w jej życiu, nie rób tego na pół gwizdka. Nie możesz jej poznać, a potem zniknąć. To jest zobowiązanie, a nie zaspokojenie ciekawości, więc musisz być pewny, że naprawdę tego chcesz. Porozmawiaj z żoną i zastanówcie się nad tym. Upewnij się, że to właściwa decyzja dla was obojga.

Kiedy poznał Gabrielle, zakochał się w niej. Zaczął przychodzić co miesiąc, potem zabierał ją na całe weekendy. On i jego żona traktowali ją jak księżniczkę, urządzili jej nawet sypialnię w swoim domu. Na kilka lat pojawił się w jej życiu, a potem stopniowo z niego zniknął. Moja córka wracała do domu po spędzonym u taty weekendzie, narzekając, że przez cały czas pomagał sąsiadom albo ludziom z parafii i prawie go nie widziała. Potem adoptowali z żoną dwie dziewczynki. Z czasem wizyty, telefony i listy się urwały. Jako nastolatka, Gabrielle zebrnęła się kilka razy na odwagę, żeby z nim o tym porozmawiać. Dzwoniła i płakała w słuchawkę, a on obiecywał pozostać w jej życiu, ale nigdy nie dotrzymywał słowa.

Rozgniewało mnie to, że wciąż ją rani. Czy to takie trudne, napisać albo zadzwonić? Martwiłam się, że dorastając, będzie się obwiniać za jego nieobecność, sądząc, że problem leży w niej, a nie w nim.

Gabrielle wyjechała na studia, zakochała się i zaręczyła. Jej narzeczony był niczym szwajcarski

scyzoryk. Inżynier, który uwielbiał polować, łowić ryby i wszystko naprawiać. Ustalili datę ślubu. Ale osiem miesięcy przed wielkim dniem Gabrielle uznała, że chciałyby przełożyć ślub. Dopiero skończyła studia i nigdy nie mieszkała sama. Potrzebowała czasu, żeby dojrzeć. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że do siebie nie pasują, ale nie potrafiła się do tego przyznać.

W końcu któregoś wieczora wszystko runęło jak domek z kart. Kiedy Gabrielle poprosiła o przełożenie daty ślubu, narzeczony postawił jej ultimatum: teraz albo nigdy. Albo biorą ślub zgodnie z planem, albo wszystko skończone. Po wielu przelanych łzach, z bólem serca oddała mu pierścionek. Odszedł i nigdy więcej go nie zobaczyła.

To była najtrudniejsza decyzja w jej życiu. Bardzo długo czuła się słaba i obolała. Wreszcie wybrała się na weekendowe rekolekcje o przebaczeniu. Wróciła odmieniona. Te rekolekcje ją wyzwoliły.

Tak często słyszymy radę: „przebacz i zapomnij”. Większość ludzi ma problemy z tą drugą częścią – i może słusznie chcą się chronić. Ale zamiast zapominać o tym, co się stało, można przecież opowiedzieć całą historię na nowo. Tego Gabrielle nauczyła się na rekolekcjach. Zamiast snuć opowieść, w której występujesz jako ofiara, a ktoś inny jako oprawca, zmień scenariusz. Zamiast usprawiedliwiać i uzasadniać swój ból, uwolnij się od niego na dobre.

Zbyt często stawiamy się w roli ofiary. Zdobywamy uwagę i współczucie należne pokrzywdzonym, mamy rację, bo ktoś nas zranił. Szukamy taniej satysfakcji, która nie pozwala nam otrząsnąć się z bólu. Jeśli tak uparcie obsadzamy kogoś w roli kata, to pewnie uwielbiamy grać ofiarę. Musimy pożegnać się i z jednym, i z drugim bohaterem tej historii.

Gabrielle nosiła w sobie opowieść, która wciąż ją raniła. Ojciec stale ją opuszczał. Miała wspaniałego narzeczonego, którego skrzywdziła i porzuciła. A gdyby spojrzeć na to z innej perspektywy?

Zaczęła opowiadać sobie nową historię: jej ojciec starał się, jak mógł najlepiej. Z jakiegoś powodu nie potrafił dać z siebie więcej. To nie miało z nią nic wspólnego. Nie mogła już dłużej brać tego do siebie. Nie była w stanie go zmienić. Może i jego przerosło to zadanie.

Ona i jej narzeczony też nie musieli występować w roli ofiar. Ich historia opowiadała o dwojgu ludzi, którzy się pokochali i obdarzyli nawzajem miłością, a potem pozwolili sobie odejść. Z czasem on poznał inną kobietę, którą zapragnął poślubić. A ona poznała Jamesa, który okazał się wspaniałym darem dla nas wszystkich.

Ta historia pozwoliła jej przejść od rozpacz przez przebaczenie do wolności. Żeby wybaczyć, trzeba wyzbyć się nadziei na lepszą przeszłość. Początkowo może to zabrzmieć brutalnie, ale kiedy uwolnisz się od marzeń o przeszłości, możesz zacząć zmieniać swoją teraźniejszość i stworzyć dla siebie lepszą przyszłość.

Wypróbowałam ten mechanizm na sobie. W historii, którą zawsze opowiadałam, występowałyśmy z Gabrielle w roli ofiar. Ja byłam biedną, samotną matką, która ledwo wiąże koniec z końcem. Jej ojciec był draniem, który porzucił nas obie. Kilka tygodni przed ślubem Gabrielle martwiłam się, że mojej córce będzie smutno, kiedy ojciec nie poprowadzi jej do ołtarza. Postanowiłam jednak zmienić punkt widzenia i opowiedzieć inną opowieść, w której zamiast na odrzuceniu skupię się na obecności.

Przeszukałam pudła na strychu i wygrzebałam wszystkie zdjęcia ojca Gabrielle z czasu studiów.

Kupiłam mały album i zaczęłam porządkować wspomnienia. Na każdej stronie wklejałam zdjęcia i opisywałam jego zalety.

Potem zrobiłam kolejny album o wszystkich mężczyznach w życiu mojej córki, którzy zajęli miejsce ojca i wypełnili po nim lukę. Mój tata, pięcioro moich braci, moi przyjaciele, którzy nauczyli ją jeździć na rowerze, rzucać piłką i grać w baseball. Na pierwszej stronie wkleiłam akt urodzenia Gabrielle. Od chwili jej narodzin rubryka „ojciec” pozostawała niewypełniona. Pod aktem wpisałam nową historię, która od początku była prawdziwa. Napisałam, że ta rubryka pozostała pusta nie dlatego, że w jej życiu zabrakło ojca, lecz dlatego, że miała ich zbyt wielu, by wszystkie nazwiska zmieściły się na dokumentach.

Niektórzy twierdzą, że wybaczenie to proces. Zgadza się, ale wszystko zaczyna się od twojej decyzji. Jeśli postanowisz zmienić swoją historię, odnajdziesz szczęśliwe zakończenie.

Kiedy moja córka szła do ołtarza, mężczyźni, którzy pomagali ją wychować, wszyscy ojcowie zastępczy, którzy zapełniali luki w naszej rodzinie, otoczyli ją miłością.

A jej ojciec biologiczny? To, co w nim najlepsze, i tak było z nami – w niej.

Lekcja 29

To nie twoja sprawa, co myślę o tobie inni

Jako felietonistka usłyszałam pod swoim adresem najróżniejsze wyzwiska.

Kretynka. Idiotka. Zdzira. Suka. Nędzna suka. Suka puszczająca się z czarnuchami. Suka puszczająca się z Żydami. Czasem wszystko to w ciągu jednego dnia. A czasem w ciągu jednej godziny.

Anonimowi czytelnicy bez przerwy obrażają mnie przez telefon i w e-mailach:

„Jesteś niesamowicie stronnicza”. (Prezentuję w felietonach swoje opinie.)

„Jesteś zawszonym liberałem”.

„Nie znoszę cię i nigdy nie czytam twoich tekstów”. (Mimo to, czytelniczka przytoczyła wszystkie akapity, które nie przypadły jej do gustu.)

„Wyglądasz jak gremlin”. (Ciekawe czy komuś chodziło o samochód GMC Gremlin czy o „obcego”?)

„Masz nie po kolei w głowie”.

„Przynosisz Bogu hańbę”.

„Kompromitujesz się”.

„Ależ z ciebie naiwniaczka”.

„Nie masz o niczym pojęcia, jesteś prostacka i arogancka”.

A oto moi faworyci: „Po lekturze tych felietonów obniża mi się iloraz inteligencji” oraz: „Nie wiem, czy lubisz podróżować, ale twoja głupota przekracza wszelkie granice!”.

W dniu, w którym mój redaktor naczelny w „Beacon Journal” powierzył mi pisanie felietonów, jeszcze w 1994 roku, zaprosił mnie do swojego biura i usiłował wybić mi ten pomysł z głowy. Ostrzegał, że być może wcale nie spodoba mi się moja wymarzona praca.

– Czytelnicy będą naprawdę złośliwi i okrutni – ostrzegał. – Nie przepuszczą żadnej okazji, żeby ci dopiec.

Nie miał pewności, czy jestem dość silna, by to znieść. Ja byłam przekonana, że nie, ale i tak się zgodziłam.

Miałam zamiar po prostu wziąć się w garść i ignorować złośliwe komentarze. Kiedyś przez chwilę pracowałam jako terapeutka uzależnień od alkoholu. Zobaczyłam wtedy film księdza Martina pod tytułem *Chalk Talk* („Wykład przy tablicy”). W filmie ksiądz opowiada historie, które mają zainspirować osoby wychodzące z nałogu. Mówi między innymi o kobiecie, która przyszła do niego we łzach, bo jej pijany mąż nazwał ją dziwką.

– Czy byłabyś zdenerwowana, gdyby nazwał cię krzesłem? – zapytał ją ksiądz.

– Oczywiście, że nie – odparła kobieta.

– Dlaczego nie? – drążył.

– Bo wiem, że nie jestem krzesłem – odpowiedziała.

– A nie wiesz, że nie jesteś dziwką?

Nieważne, jak nazywają cię inni ludzie – sam decydujesz, kiedy zareagować. Postanowiłam po prostu pamiętać, kim jestem i jak należy się do mnie zwracać.

Okazało się, że to trudniejsze, niż sądziłam. Te wyzwiska naprawdę bolały. Obłudni chrześcijanie przekonani o swojej nieomyślności posyłali mnie do diabła albo modlili się za mnie w sposób, który nie miał nic wspólnego ze świętością.

Felietony ukazywały się trzy razy w tygodniu. Pod tekstem znajdował się mój numer telefonu i adres mailowy, co niektórzy traktowali jako zachętę, żeby przelać na mnie swoją wściekłość na szefów, były żony lub zmarłych rodziców. Najgorsze były telefony po drugiej nad ranem, kiedy zamykano bary.

Jeśli nie złamię cię czytelnicy, jest jeszcze doroczny rytuał przyznawania nagród dziennikarskich. Co roku redaktorzy zgłaszają twoje teksty do konkursów branżowych. Starasz się nie przejmować nagrodami, ale tak naprawdę wszyscy nimi żyją. Branża informacyjna przyciąga ludzi z poharatanym ego. Newsroomy pełne są egocentryków z kompleksem niższości. Musimy być wielcy, bo inaczej czujemy się jak nieudacznicy.

W świecie dziennikarstwa łatwo stracić pewność siebie, słuchając opinii i poglądów redaktorów, kolegów po fachu, źródeł, czytelników, sędziów konkursowych. Nie pomagają też własne wątpliwości i problemy. Każdy pisarz ma wrażliwe ego – ogromne, ale wrażliwe. Chcemy, żeby nasze teksty codziennie trafiały na pierwszą stronę, a jednocześnie jesteśmy przerażeni, że do niczego się nie nadajemy.

Ale ja już odkryłam sposób na to, żeby nie przejmować się plotkami, osądami, krytyką, wątpliwościami i opiniami innych.

Rozwiązaniem jest... pokora.

Nie mylić z upokorzeniem. Z niego nic dobrego nie wynika.

Nie rozumiałam różnicy między tymi dwoma pojęciami, dopóki nie poznałam definicji pokory, którą jeden ze współzałożycieli ruchu Anonimowych Alkoholików trzymał na swoim biurku. Cały program Dwunastu Kroków AA ma za zadanie nauczyć człowieka właśnie pokory i poświęcenia dla innych.

Doktor Bob zawsze miał te słowa przed oczami:

Mieć wieczny spokój w sercu. Nie mieć zmartwień i kłopotów. Nigdy nie być strapionym, niespokojnym, zbolałym, drażliwym czy rozgniewanym; nie dziwić się niczemu, co mi się przytrafia; nie czuć, że cokolwiek zostało uczynione przeciwko mnie.

Z jednakim pokojem przyjmować brak pochwał, zarzuty i pogardę; znajdować w sobie błogosławione sanktuarium, w którym mogę się schronić i zamknąć za sobą drzwi, a potem w tajemnicy uklęknąć przed moim Ojcem i zaznać zgody i harmonii – zanurzyć się w nich niczym w głębokiej zatoce ciszy, podczas gdy wszędzie wokół wody wydają się wzburzone.

Wieczny spokój w sercu. Chociaż wydaje mi się, że marzę o wielu innych rzeczach, to właśnie tego pragnę naprawdę. Z pokojem przyjmować brak pochwał. Oto prawdziwa wolność.

Życie to nie żadne przedstawienie, konkurs popularności ani rywalizacja o coraz większą władzę, bogactwo, sławę, nagrody, tytuły czy stopnie naukowe. W końcu, czy w ostatecznym rozrachunku te rzeczy mają jakiegokolwiek znaczenie? George Strait śpiewa w pewnej piosence country o tym, że nie przynosimy na świat nic i nic nie możemy z niego zabrać. Podobnie jak on, nigdy nie widziałam karawanu z półką na bagaże. Ani trumny z gablotą na trofea.

Jeśli chcesz skupić się na tym, co dla ciebie naprawdę ważne, stwórz swoją osobistą misję. I niech

to nie będzie nudny, korporacyjny bełkot bez odzwierciedlenia w rzeczywistości, lecz deklaracja wartości, na których faktycznie chcesz oprzeć życie.

Któregoś dnia przez kilka godzin zastanawiałam się nad własną misją.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie wszystkich na moim pogrzebie. Dzieci, męża, rodzeństwo, kolegów z pracy, przyjaciół, sąsiadów. Za co chciałabym zostać zapamiętana?

Z pewnością nie za nagrody, które zdobyłam za swoje teksty, ani za to, że rozsądnie inwestowałam w plan 401(k), ani za to, że byłam lokalną osobistością. Nie wiem, co powiedzą po moim odejściu, ale wiem, co chciałabym po sobie pozostawić. Odnalazłam swoją misję, słowa, które czytam każdego ranka, w modlitwie św. Franciszka z Asyżu.

O Panie, uczyni z nas narzędzia Twojego pokoju,
Abyśmy siali miłość tam, gdzie panuje nienawiść;
Wybaczenie tam, gdzie panuje krzywda;
Jedność tam, gdzie panuje zwątpienie;
Nadzieję tam, gdzie panuje rozpacz;
Światło tam, gdzie panuje mrok;
Radość tam, gdzie panuje smutek.

Spraw, abyśmy mogli,
Nie tyle szukać pociechy, co pociechę dawać;
Nie tyle szukać zrozumienia, co rozumieć;
Nie tyle szukać miłości, co kochać;
Albowiem dając, otrzymujemy;
Wybaczając, zyskujemy przebaczenie,
A umierając, rodzimy się do wiecznego życia.

Ta modlitwa służy mi za kompas każdego dnia. Wskazuje mi właściwą drogę. Drogę pokory. Drogę spokoju. Jestem po prostu dzieckiem Bożym, równie cennym i wartościowym, jak każde z Jego dzieci. Ani najlepszym, ani najgorszym – niezależnie od tego, co myślą o mnie inni.

Lekcja 30

Czas leczy niemal wszystkie rany – daj mu tylko trochę czasu

Kiedy pierwszy raz przyjechałam do domu rekolekcyjnego, nie spodziewałam się niczego specjalnego.

Jezuicki Dom Rekolekcyjny znajduje się na 23 hektarach ziemi w centrum Parmy, największej dzielnicy podmiejskiej Cleveland. Stoi ukryty z boku za główną ulicą, więc można przez całe życie przejeżdżać tuż obok i nic o nim nie wiedzieć.

Przyjaciółka zaprosiła mnie na weekend dla kobiet, które pragną pogłębić swój związek z Bogiem. Sama nie zaliczyłabym się do tej kategorii, ale ona była innego zdania. Przekonywała mnie do przyjazdu, kreśląc przede mną wizję czegoś w rodzaju przyjęcia, na którym kobiety spędzają wspólnie czas, śmieją się i rozmawiają. Spakowałam więc kostium kąpielowy w nadziei, że nasza siedziba będzie przypominała hotel albo centrum odnowy biologicznej z basenem i sauną.

Kiedy wjechałyśmy na długi podjazd, z daleka powitał nas posąg św. Ignacego. I nagle do mnie dotarło. O rany. Co mi strzeliło do głowy, żeby spędzić cały weekend w towarzystwie jakichś kobiet? Byłam samotną matką i miałam dopiero 25 lat. Nie zamierzałam zostać świętą ani zakonnicą. Co za pomysł, by marnować piątkowy i sobotni wieczór w miejscu, w którym jedynymi mężczyznami byli księża?

Te pierwsze rekolekcje odbyły się 26 lat temu, a ja wracam tam co roku. Księża się zmieniają, ale zawsze czeka na nas Gerri. To niziutka Polka, której śmiech i miłość wypełniają każdy pokój w ośrodku jeszcze długo po tym, jak z niego wyjdzie.

Na każdych rekolekcjach odnajdywałam Gerri i zwierzałam się jej z kolejnego problemu. Słuchała mnie, mruczając: „Uhm, uhm” z poważną miną, a potem wtrącała jakimś żart dla rozluźnienia atmosfery. Później zaglądała mi w oczy, a właściwie próbowała w nie zajrzeć – w końcu miała zaledwie 120 cm wzrostu – i dawała mi serię rad, niezmiennie kończąc tymi słowami:

– Czasem trzeba po prostu dać czasowi trochę czasu.

Tylko co to miało znaczyć?

Dać czasowi czas?

Ja nie miałam czasu. Byłam samotną matką z misją do wypełnienia: znaleźć męża dla siebie, a ojca dla mojej córki.

W tamtym okresie moje problemy zawsze wiązały się z jakimś mężczyzną, który nie kochał mnie dość mocno, co brało się stąd, że nie dość mocno kochał mnie ojciec, co z kolei brało się stąd, że nie dość mocno kochał mnie Bóg. Gerri wiedziała, że taka rana goi się długo i stopniowo, warstwa po warstwie, a nie od razu. Zdaniem Gerri, lekarstwem miał być czas. Mnie interesowało jakieś szybsze rozwiązanie.

Coś w rodzaju mszy uzdrawiającej. Zobaczyłam ją w harmonogramie rekolekcji, a kobieta, z którą przyjechałam, nalegała, żebym wzięła w niej udział. Najpierw się zachnęłam. Wyobraziłam sobie telewizyjnego kaznodzieję, który nawołuje: „Poczuj ciepło moich dłoni!”, dotykając czyjejś głowy, a potem krzyczy: „Demony, precz!”, a ludzie padają na ziemię i młocą powietrze nogami jak ryby

wyrzucone na brzeg, bełkocąc słowa, których nie zrozumiałby i sam Bóg.

Nie chciałam tam iść. Głównie dlatego, że bałam się Boga. I swoich ran. Ukrywałam je przez wiele lat. Czemu miałabym teraz zerwać bandaż? Ale ojciec Benno, który prowadził mszę uzdrawiającą, wydawał się bardzo sympatyczny. Siedziałam zatem w kaplicy, słuchając cichych pieśni o tym, jak mocno kocha nas Bóg. Dobrze że ojciec Benno przygotował chusteczki. Zużyłam całe pudełko jeszcze przed końcem pierwszej pieśni: „Ja nie zapomnę o tobie. Oto wyryłem cię na obu mych dłoniach”.

Moje imię? Bóg wyrył moje imię na Swoich dłoniach? Regina Maria Frances Brett?

Te łzy oczyściły moją ranę. Wracałam tam co roku, a czasem nawet dwa razy w roku. Po każdej mszy uzdrawiającej goiła się we mnie kolejna warstwa rany. Upłynęło dziesięć lat, zanim wytrzymałam całe nabożeństwo bez płaczu.

Słowa ojca Benno przenosiły nas w świat wspomnień. Zachęcał, byśmy odsłoniły to wszystko, co trzeba uleczyć. Cofał się z nami w czasie, kojąc cierpienia, których doznałyśmy i przysporzyłyśmy naszym braciom i siostram, nauczycielom i kolegom z klasy, sąsiadom i krewnym. Modlił się o to, żeby Bóg uwolnił nas od wszystkiego, co stoi nam na drodze do szczęścia i miłości. Ogłaszał nas nowym stworzeniem, a potem przykrywał nasze dłonie swoimi. Nie było w tym żadnych czarów, po prostu błogosławił nas poświęconym olejkami.

Przychodziłyśmy tam, niosąc w sercach ból, który chciałyśmy ukoić. Ja co roku, na każdej mszy, leczyłam wciąż tę samą ranę: ranę po ojcu. Mój tata był najważniejszą mężczyzną w moim życiu, na dobre i na złe. Nigdy nie spotkałam bardziej szczodrego, bezinteresownego i troskliwego człowieka. Niestety, czasami zmieniał się w rozsierzonego, wymachującego pasem furiata, który mnie przerażał.

Zgłębienie źródeł tego bólu wymagało wielu lat terapii. Potem przyszedł czas pracy duchowej. Nie wiedziałam, jak uzdrowić ten związek, jak zbudować go od nowa. Przechodziłam od strachu przed ojcem do gniewu na niego. Nie było we mnie miejsca na miłość. Później nie czułam już gniewu do ojca, ale wciąż nie potrafiłam poczuć do niego miłości. Nie miałam nawet siły prosić Boga, żeby pomógł mi go pokochać. Nie byłam jeszcze na tym etapie. Ale wciąż się modliłam:

– Boże, pomóż mojemu tacie zrozumieć, jak bardzo Ty go kochasz.

Zdawałam sobie sprawę, że kocham ojca. Raniłam go, a on ranił mnie, choć żadne z nas tego nie chciało. Oboje staraliśmy się, jak mogliśmy najlepiej, ale czasem nasze starania były zupełnie beznadziejne.

Przez pięć lat omijały mnie Święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc, rocznice, przyjęcia urodzinowe i narodziny nowych bratanków i siostrzeńców. Chciałam wrócić do domu i znów stać się częścią życia moich rodziców, ale nie wiedziałam, jak to zrobić.

A potem dowiedziałam się, że u taty zdiagnozowano raka płuc. Lekarze dawali mu sześć miesięcy życia. Dwa dni później spotkałam przypadkiem swoją przyjaciółkę Ruth. Nie znając mojej sytuacji, zaczęła mi opowiadać, że Bóg pozwolił jej być przy swojej matce, kiedy umierała. Nagle cały mój strach zniknął. Miałam wrażenie, jakby otworzyło się we mnie okno, które dotąd było zamknięte. Wiedziałam, że przyszedł czas, bym wróciła do domu.

Następnego dnia pojechałam odwiedzić tatę. Włosy miał białe i miękkie jak włosy anielskie. Uśmiechał się i gawędził ze mną, dopóki miał siłę mówić. Tego dnia, kiedy stał w drzwiach, machając mi na pożegnanie, wydawał się pełen radości. Nie zapomnę tego machania. Już nigdy

więcej nie zobaczyłam u niego tego gestu.

Trzy dni później tata trafił do szpitala. Walczył o każdy oddech. Siedziałam przy nim, kiedy kasłał i prychał. Mój tata nie palił. Dawniej pracował, naprawiając piece w piwnicach, wśród izolowanych azbestem rur. Pogłodziłam go po plecach i podziękowałam mu.

Moja mama siedziała sztywno na krześle, kręcąc w milczeniu głową. Wiedziała, że tata nie wróci już do domu. Ja też o tym wiedziałam. Trzymałam go za rękę, gładziłam ją i w ten sposób bez słów wyznałam mu, jak bardzo go kocham. Kiedy byłam przy nim, moje serce wypełniała miłość, bo przypominałam sobie, jak czule się nami opiekował, gdy chorowaliśmy na gripę.

Następnego dnia stracił przytomność. To była kwestia kilku dni. Zapaliłam świecę w pokoju i modliłam się, żeby Bóg szybko go uzdrowił albo łagodnie zabrał do siebie. Ojciec nie chciałby trafić do domu opieki. Skończył 83 lata. Miał dobre życie. Świeczka się paliła, a ja wyobrażałam sobie jego trzy zmarłe już siostry, które niczym anioły unoszą go i prowadzą do domu.

Płomień wciąż jeszcze migotał, gdy tata zmarł. Następnego dnia pojechałam do mamy. Po drodze zatrzymałam się i kupiłam jedzenie, jak nauczył nas tata. Mama wybaczyła mi dotychczasową nieobecność w ich życiu słowami:

– Czy mogłabyś napisać nekrolog?

Mogłam opowiedzieć całemu światu, jakim fantastycznym człowiekiem był mój tata. Przez tyle lat skupiałam się na swoim bólu – teraz miałam szansę skupić się na jego zaletach, a było ich wiele.

Gerri od początku miała rację. Kiedy rana się zagoiła, zostałam uleczona i poczułam się w pełni sobą.

Czas potrzebował czasu.

Lekcja 31

Niezależnie od tego, jak dobrze lub źle wygląda sytuacja, ona i tak się zmieni

Moja przyjaciółka Mena zawsze powtarza: „Życie jest brutalne, lepiej załóż kask”.

I wie, co mówi.

Są takie dni, kiedy kask byłby nie od rzeczy na tych wszystkich zakrętach i zwrotach, przy przepychankach i nieoczekiwanych manewrach. A to tylko jazda w korkach do pracy.

Sekret polega na tym, żeby do niczego w życiu zbytnio się nie przywiązywać, ani do tego, co dobre, ani do tego, co złe. Dobra passa przychodzi i odchodzi. Zła passa przychodzi i odchodzi. Nie powinniśmy trzymać się kurczowo tej pierwszej, ani walczyć do upadłego z tą drugą, tylko z każdej sytuacji wyciągać wnioski dla siebie.

Jest takie stare powiedzenie, które pomaga ludziom przetrwać trudne chwile: „I to przeminie”.

Większość z nas nie chce tak myśleć o dobrych momentach. Nie chcemy, żeby minęły. Chcemy, żeby trwały wiecznie. Ale wcześniej czy później, wszystko się zmienia.

Sekret polega na tym, żeby dać się życiu ponieść jak rzece: przez bystry nurt, spokojne wody i jeszcze dalej. Dryfować niczym liść, niczego się nie trzymając, ufając prądom.

Kiedy pierwszy raz wybrałam się na rafting, przewodnik wygłosił długi wykład o niebezpieczeństwach, jakie niesie rzeka. Jeśli wypadniesz z pontonu, nie próbuj wstać ani złapać się skały, nie walcz z rzeką. Rzeka zawsze zwycięży. Jeśli wypadniesz, odpręż się, ułóż zgodnie z prądem nogami do przodu, przyciśnij brodę do klatki piersiowej i pozwól, by rzeka cię niosła. Zawsze wyniesie cię na spokojniejsze wody. Potem instruktor wręczył każdemu wiosło i kazał słuchać jego wskazówek, kiedy wpłyniemy w obszar wartkich prądów. Na koniec przypomniał nam, że ludzie naprawdę umierają w wodzie, więc musimy być ostrożni, i życzył wszystkim miłej zabawy. Aha, i nie miał dla nas kasków.

Na bezpiecznym skrawku trawy, gdzie leżały pontony i kamizelki ratunkowe, wszystko to brzmiało uspokajająco i zrozumiale, dopóki nie wspomniał o śmierci. Sądziłyśmy, że żartuje, póki nie usłyszeliśmy szumu wzburzonej rzeki, ale wtedy nie było już odwrotu.

Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać na tym pierwszym spływie. W Ohiopyle, w stanie Pensylwania, nurt na Youghiogheny River osiąga III i IV poziom w skali trudności, zapewniając ekscytujący spływ między głazami i progami skalnymi, wzburzonym, spienionym biegiem. Siedziałam na skraju czarnego pontonu, który przypominał gigantyczną, sflaczałą dętkę. Nie miałam się czego złapać. Wiosłując miarowo, nasza czwórka dopłynęła do kaskad, a kiedy się tam znaleźliśmy, miałam wrażenie, jakby ktoś włączył pralkę.

Rzeka wyrzucała nas w górę i w dół, w prawo i w lewo; wciągała ponton pod wodę i ciskała nim wysoko do góry. Usiłowałam wiosłować, ale wszystko wirowało mi przed oczami i nie byłam pewna, czy moje wiosło znajduje się w wodzie czy w powietrzu. To była szalona, ekscytująca przygoda... dopóki nie wypadłam. W pierwszym momencie usiłowałam się podnieść i przytrzymać kamienia. Łup! Bach! Au! No tak, przewodnik radził się odprężyć. Spróbowałam ustawić odpowiednio nogi i schować głowę, lecz bez większego powodzenia, bo w zimnej, spienionej rzece

nie widziałam ani nawet nie czułam swoich stóp.

Szklą kontaktowe zwinęły mi się pod powiekami, więc nie miałam pojęcia, co się dzieje wokół mnie. Za duża kamizelka ratunkowa podjeżdżała pod uszy i co chwilę musiałam ją sobie ściągać na ramiona. Wiosło porwał prąd. Trudno było wyczuć moment, kiedy na wzięcie oddechu. Wszędzie wokół widziałam tylko wodę. Nie mogłam zaczerpnąć powietrza bez połykania wody, więc powiedziałam w duchu: „Boże, jeśli chcesz, żebym przeżyła, lepiej szybko coś wymyśl. Powierzam się Tobie”. W tym samym momencie poczułam, jak ktoś wyciąga mnie na wierzch. Ludzie z drugiego pontonu chwycili mnie za kamizelkę ratunkową i uratowali mi życie. Kiedy wypłynęliśmy na spokojniejsze wody, byłam już gotowa na więcej wrażeń.

Na ostatni spływ wybrałam się z grupą ludzi zbyt odważnych lub skąpych, żeby zorganizować przewodnika. Wynajęliśmy po prostu ponton i wypłynęliśmy na rzekę.

To był poważny błąd.

Pędziliśmy z nurtem na złamanie karku, celując w kamienie i kaskady, jakbyśmy rzucali im wyzwanie. Wypożyczyliśmy kamizelki ratunkowe i wyruszyliśmy na samotny podbój rzeki. Zabraliśmy z sobą jedzenie i, dla bezpieczeństwa, liny. Ale nie było z nami nikogo, kto mógłby objaśnić, jak pokonać każdą z kaskad, albo ostrzec, których głazów unikać. W efekcie najpierw przedarliśmy się przebojowo przez serię prądów, a potem wpadliśmy z impetem na skałę. Wielkości chevroleta.

Utknęliśmy na tej skale, nie mogąc się ruszyć choćby o milimetr, a wokół huczała spieniona woda. Kiedy przenieśliśmy cały ciężar na jedną stronę, żeby ześlizgnąć się do rzeki, ponton wywrócił się do góry dnem. Silna fala wbiła mnie w skałę, przygniatając mi klatkę piersiową tak mocno, że z trudem łapałam oddech. Pozostałym udało się w jakiś sposób wciągnąć mnie na górę. Tymczasem ponton dawno zniknął na horyzoncie.

Co teraz?

Dwóch przewodników innej grupy podpłynęło do nas kajakami. Kazali nam wskoczyć z powrotem do wody i pozwolić rzece nieść się z prądem. Myślałam, że żartują. Ale nie mieliśmy wyboru. W ich kajakach i na pozostałych pontonach nie było miejsca dla dodatkowych pasażerów. Moi przyjaciele, jeden po drugim, żegnali się z resztą, wyskakiwali i odpływali. W końcu zostałam sama. Przewodnik w kajaku przekonywał mnie, żebym wskoczyła do wody. Nie chciałam zejść z bezpiecznej skały, ale nie chciałam też dać się zatrzymać rzece – ani wtedy, ani kiedykolwiek.

W końcu przewodnik obiecał, że popłynie kajakiem za mną, więc pomodliłam się, a potem ześlizgnęłam ze skały i dałam się ponieść na spokojniejsze wody. Nigdy nie zapomniałam tego dnia. Nauczyłam się wtedy, że czasem trzeba poświęcić bezpieczeństwo, które daje ci skała, by zyskać coś lepszego.

Czytałam kiedyś wywiad z pastorem Rickiem Warrenem, autorem książki *The Purpose Driven Life* („Życie świadome celu”). To, co powiedział, przypomniało mi o przygodzie na rzece:

Życie to pasmo problemów: albo akurat przeżywasz kłopoty, albo z nich wychodzisz, albo przygotowujesz się na kolejne. Dzieje się tak dlatego, że Boga bardziej interesuje twój charakter niż twoja wygoda. Bóg woli prowadzić cię do świętości niż do szczęścia.

Pastor opowiedział też o nauczce, jaką dostał w najpiękniejszym i najtrudniejszym roku swojego

życia. Był to rok, w którym zarobił miliony dzięki swojej książce i zarazem rok, w którym jego żona zachorowała na raka.

Kiedyś myślałem, że życie składa się pagórków i dolin – na zmianę przedzierasza się przez mrok i trafiasz na szczyt. Ale już w to nie wierzę. Teraz życie nie przypomina mi serii dolin i wzgórz, a raczej dwie szyny toru kolejowego, bo w każdym momencie spotyka nas coś dobrego i coś złego. Niezależnie od tego, jak wspaniale układa się twoje życie, zawsze jest w nim coś złego, co wymaga pracy. I niezależnie od tego, jak fatalnie wygląda sytuacja, zawsze jest w twoim życiu coś, za co możesz podziękować Bogu.

Kobieta ścigająca się w wyścigach NASCAR powiedziała kiedyś: „Życie jest jak tor wyścigowy. To zakręty nadają mu znaczenie”. Łatwo jej mówić. Ona chodzi do pracy w kasku.

Niezależnie od tego, które wyjaśnienie przyjmujemy, życie to szalona, cudowna podróż. Panuje w nim chaos, później przychodzi spokój, a potem wszystko zaczyna się od nowa. Sekret polega na tym, żeby cieszyć się tą przejażdżką.

Każdą jej chwilą.

Lekcja 32

Gdy zachorujesz, nie zaopiekuje się tobą twoja praca, tylko twoi przyjaciele. Dbaj o nich

Czterdzieste urodziny mają w sobie coś takiego, że obchodzi się je wśród czarnych balonów, a na kartkach z życzeniami widnieją realistycznie oddane łysiny, pomarszczone twarze, obwisłe piersi i sterczące brzuchy. Czterdziestka funkcjonuje w naszej świadomości jako przystanek w połowie drogi między życiem a śmiercią, czyli początek końca życia, jakie znamy.

Mając to na uwadze, nie wiedziałam, co podarować na czterdzieste urodziny mojemu partnerowi. Bruce zachowywał się tak, jakby kończył co najmniej sześćdziesiąt lat: stawiał pytania o wartość dotychczasowego życia, podsumowywał największe osiągnięcia, oceniał swoje dokonania jako ojciec, biznesmen, obywatel.

Ja myślałam tylko o tym, ilu przyjaciół zgromadził przez tych czterdzieści lat. To wydawało mi się lepszym kryterium oceny niż dochody czy status społeczny.

Wciąż stawała mi przed oczami scena z filmu *To wspaniałe życie*. Jego bohater, George Bailey, który nigdy nie uważał się za człowieka sukcesu, mógł sprawdzić, jak wyglądałby świat bez niego. Morał brzmiał: nikt, kto ma przyjaciół, nie jest nieudacznikiem.

Chciałam, żeby mój mąż pomyślał o swoich przyjaciółach, a nie o tym, że licznik bije, a on nie przejechał jeszcze tak wielu dróg. Dlatego poprosiłam czterdzieści osób, by napisały do Bruce'a list, w którym opowiedzą mu, jak wpłynął na ich życie. Jak ich zmienił, ukształtował, poruszył?

Mieli przysłać te listy do mnie, żebym mogła je wszystkie opakować i wręczyć Bruce'owi jako prezent. Na początku cały projekt wydawał mi się prosty: wystarczy zadzwonić do czterdziestu osób, z których każda napisze po jednym liście. Ale okazało się, że niełatwo jest przelać uczucia na papier. Ludzie boją się nimi upaść.

Wszyscy to przeżywali. Kilka osób zadzwoniło do innych z pytaniem: „O czym piszesz?”, jakby mogli ściągnąć od nich pomysły. To było trudne zadanie, bo ukazywało prawdę zarówno o nadawcy, jak i odbiorcy. Część osób wybrnęła żartami o czterdziestce, inni wykorzystując poczucie humoru wyrażali swoją sympatię. Ale większość opisała w listach to, co tak trudno powiedzieć komuś osobiście, że często nigdy tego nie robimy.

Im bliżej było do urodzin, tym więcej nadchodziło listów. Dwa przyszły FedExem, sześć faksem, a jeden pocztą elektroniczną. Pewien przyjaciel Bruce'a podyktował mi swój list przez telefon. Powiedział, że nie potrafi wyrażać uczuć na piśmie, więc pozostawia to mnie.

Okleiłam kartonowe pudło stronami wyrwanymi z magazynu „Life” z 1954 roku i włożyłam listy do środka. Kiedy nadszedł ten wielki dzień, poszliśmy na kolację i do kina, a potem z garstką przyjaciół zjedliśmy deser. Po wszystkim jubilat był zadowolony z udanych urodzin. Wtedy wręczyłam mu to pudło.

Bruce przeglądał listy z niepewną miną, więc wyjaśniłam, skąd się wzięły. Był oszołomiony. Czytał adresy zwrotne na kopertach, ale żadnej nie otworzył od razu. Kiedy to zrobił, i z niego, i z listów wylały się emocje. Z oczu popłynęły mu łzy radości i wzruszenia.

W sumie czterdzieści osób przeprowadziło na nim operację na otwartym sercu. Trafili do jego wnętrza dawno nieużywanymi drogami. Przypomnieli mu przeszłość, czasy mrocznych plakatów, długich włosów, podróżowania autostopem i koncertów rockowych, których szczegółów nikt nie pamiętał, bo wszyscy byli na haju. Dziękowali mu za nocne rozmowy przez telefon, porady tuż przed spotkaniami w sprawie pracy, długie dyskusje o tym, jak poradzić sobie z rozwodem.

Matka jednego z najbliższych przyjaciół Bruce'a napisała piękny wiersz. Jedna z jego przyjaciółek sama zaprojektowała kartkę urodzinową. Któryś z przyjaciół zapisał życzenia na partyturze. Bruce planuje kiedyś przekazać te listy swoim synom, żeby zobaczyli, o co chodziło w jego życiu. Nie tylko o pieniądze, które zarobił, firmy, które prowadził, kobiety, które kochał. Najważniejsze były przyjaźnie, które nawiązał i utrzymał.

– Większość ludzi nigdy nie dowiaduje się, co myślą o nich inni – powiedział, ocierając łzy. – Takie rzeczy mówi się dopiero na pogrzebie.

Właśnie dlatego opowiadam o tym prezencie. Zbyt często nie zdajemy sobie sprawy, ile znaczymy dla innych, aż jest za późno. Zbyt często nie wiemy, co zrobić dla innych, aż jest za późno. Kiedy dowiedziałam się o moim raku, najpierw zaczęłam się martwić, ile opuszczę dni w pracy i meczów siatkówki, i że nie dotrzymam tych wszystkich terminów, które zaznaczyłam w kalendarzu. Pielęgniarka, która usiłowała wcisnąć w mój harmonogram pierwszą chemioterapię, pokręciła głową i orzekła: „Musi pani określić priorytety”.

Miała rację.

Praca zeszła na dalszy plan. Ale na pierwszym nie znalazł się rak, tylko moi przyjaciele. To oni zajęli najważniejsze miejsce w moim życiu.

Sheryl urządziła dla mnie imprezę na inaugurację chemioterapii. Przyjaciele przynieśli kolczyki, chusty i kapelusze. Beth przytknęła do warg maleńkie kolczyki w kształcie organków, które dostałam od Sheryl, i „zagrała” dla mnie *Bluesa na chemię*. Judy przysłała mi umyć głowę. Inni przyjaciele podarowali mi stosy filmów do obejrzenia, kapcie i piżamę. Nie zliczyłam, ilu przysłało mi kartki, jedzenie i inspirujące książki.

Praca?

W jakiś niewyjaśniony sposób gazeta ukazywała się nawet w te dni, kiedy byłam zbyt słaba, by pisać. Ten świat nie zawalił się beze mnie. Ale bez przyjaciół, mój zawaliłby się na pewno.

Mój przyjaciel Marty zawsze powtarza, że jeśli masz przyjaciół i zdrowie, to nic więcej ci nie potrzeba. Rak nauczył mnie, że jeśli przyjaciele są wysoko na twojej liście priorytetów, to nawet gdy stracisz zdrowie, i tak zachowasz to, co liczy się najbardziej.

Lekcja 33

Uwierz w cuda

Lekarz starał się przekazać rodzinie złe wiadomości tak delikatnie, jak było to możliwe.

– Wiedzą państwo, jak to jest, kiedy jako dziecko marzymy o kucyku, modlimy się o niego i cierpliwie czekamy, ale nigdy go nie dostajemy? To właśnie tego rodzaju sytuacja. Czasem nie dostajemy kuczka.

Ten lekarz starał się powiedzieć rodzicom Chrisa Wooda, że jego sytuacja jest beznadziejna i nie pomogą nawet modlitwy.

W czerwcu 1989 roku Chris miał 21 lat i służył w marynarce wojennej w San Diego. Wracając po zakrapianym popołudniu spędzonym na meczu drużyny Padres, wypadł z pikapa, kiedy kierowca zmieniał pas.

Chris wylądował na czteropasmowej autostradzie, wprost pod nadjeżdżającym samochodem. Odrzucony na inny pas, wpadł pod kolejne auto. Szczęśliwie dla niego była to karetka. Chris miał złamaną miednicę, szczękę, łokieć i kolano. Odniósł poważne obrażenia głowy i miał ślady opon na plecach.

Przez następne trzy miesiące lekarze nie mieli żadnych dobrych wiadomości dla bliskich Chrisa: „Nie przeżyje...”. „Zamieni się w warzywo...”. „Nigdy nie będzie chodził...”. „Nigdy nie będzie prowadził normalnego życia”.

Rodzina Chrisa zorganizowała w Akron łańcuch modlitwy. Pewnej nocy jego siostrę coś nagle wyrwało ze snu. Twierdziła, że Bóg wyszeptał jej te słowa: „On nie umrze, będzie żył i sławił łaskę Pana”.

Od tej chwili stały się one rodzinną mantrą.

Dzięki nim Chris przetrwał trzydzieści dwie operacje, trzymiesięczną śpiączkę i wieloletnią terapię w Szpitalu Weteranów w Cleveland, gdzie przychodzi na rehabilitację. W wieku 29 lat Chris wciąż ma te same błękitne oczy i jasne włosy, ale cała reszta się zmieniła.

Mówi bełkotliwie, jakby był po alkoholu. Rurka intubacyjna uszkodziła mu struny głosowe, a urazy głowy spowolniły myślenie. Jego twarz jest wykrzywiona, bo szczęka nie zrosła się prawidłowo. Lewą rękę, która wisi bezwładnie u jego boku, przecina czerwona blizna. Musi się skoncentrować, żeby rozewrzeć dłonie.

Chris to chodzący sklep z narzędziami. Ma śrubę w łokciu, szynę na nodze, stabilizator na kolanie i metalową płytkę w głowie. Jego mózg nie pracuje już tak jak wcześniej. Dawniej był świetny z matematyki, teraz z trudem radzi sobie z prostymi zadaniami. Kiedy sześć lat temu zapisał się na Kent State University, zbierał kiepskie oceny albo nie zaliczał najłatwiejszych zajęć. Jeden z rehabilitantów namawiał go, żeby zrezygnował ze studiów.

Chris zastanawiał się nad tym.

– Mój rozum przekonywał mnie: „Marnujesz czas!” – tłumaczył mi.

Ale zamiast go słuchać, przywoływał z pamięci ulubiony cytat z Pisma Świętego z Księgi Przysłów, rozdział 23, wers 7*: „Co człowiek myśli w swoim sercu – tym jest”.

– To znaczy, że staniesz się tym, w co wierzysz. Możesz widzieć się na drugim miejscu i czuć się przegrany, albo na pierwszym i czuć się zwycięzcą. I właśnie nim będziesz – powiedział.

Chris uważa, że swoje osiągnięcia zawdzięcza matce. Linda prowadziła go przez życie, używając Biblii jako przewodnika.

Dziś Chris jest zatrudniony w trzech miejscach: jako stażysta w Edwin Shaw Hospital, gdzie pracuje z pacjentami po urazach głowy, jako grafik komputerowy w kościele Living Water Fellowship Church w Akron i jako bileter na stadionie drużyny baseballowej Akron Aeros.

Trzy razy podchodził do egzaminu na prawo jazdy, aż w końcu go zdał. Rehabilitacja zajęła mu sześć lat, ale odstawił wózek inwalidzki i teraz porusza się z pomocą balkonika.

Chris wciąż z trudem dobiera słowa, składając zdania. Robi przerwy i mruży oczy, usiłując zmusić swój mózg do pracy.

A on pracuje całkiem dobrze. Podczas uroczystego rozdania dyplomów Chris Wood wygłosił przemówienie z okazji ukończenia studiów, nie mówiąc ani słowa. Po prostu przeszedł przez scenę i odebrał dyplom magistra psychologii. Dostał owacje na stojąco.

Nie był tam najmądrzejszy.

Nie był tam najbardziej utalentowany.

Liczyło się to, że tam był.

Jego matka nie dożyła tej chwili. Rok wcześniej, w czerwcu, zmarła na atak serca. Ale żyła dość długo, żeby wiedzieć, iż lekarz, który stwierdził, że w ich sytuacji nawet modlitwa nie pomoże, nie miał racji.

Ów lekarz dostał kiedyś pocztówkę od ojca Chrisa z informacją, jak sobie radzę.

Były na niej tylko dwa słowa: „Dostaliśmy kucyka”.

[*](#) Przekład z Biblii Króla Jakuba.

Lekcja 34

Bóg cię kocha, bo jest Bogiem, a nie dlatego, że coś zrobiłeś albo czegoś nie zrobiłeś

Dla uczczenia nowego milenium papież ogłosił odpusty jubileuszowe. Ogólnie rzecz biorąc, odpusty – rodzaj amnestii dla grzeszników, bardzo popularny w średniowieczu – są po to, żeby zapunktować u Boga na Sądzie Ostatecznym.

Można to nazwać zbawieniem na skróty, sposobem na skrócenie sobie pobytu w czyśćcu, gdzie, jak uczy się katolików, dusze mają się oczyścić przed wejściem do nieba. Kościół katolicki już dawno zakazał takich odpustów, za które płacono gotówką. Kiedyś grzesznicy mogli się wykupić z czyśćca, w końcu przezorny zawsze ubezpieczony.

Nowe odpusty nie miały metek z ceną, wystarczył szczery akt ofiary i pokuty. Akty ofiary i pokuty są szlachetne, jeśli płyną wyłącznie z miłości do Boga lub bliźnich, jednak wydają się skażone nutą egoizmu, gdy dokonujemy ich po to, żeby – mówiąc umownie – zmniejszyć swój wymiar kary. Poza tym, czy na niebo naprawdę można sobie zasłużyć?

Prawie każdy ksiądz zna opowieść o mężczyźnie, który po śmierci staje przed Świętym Piotrem przy perłowych wrotach. Piotr mówi mu, że na wstęp potrzebne jest zezwolenie.

– Jak je uzyskać? – pyta mężczyzna.

– Potrzebujesz przynajmniej pięćset punktów, żeby wejść do środka – wyjaśnia Piotr.

– No cóż – zaczyna mężczyzna. – Byłem oddanym mężem, ojcem i pracownikiem. Nigdy nie oszukałem żony, szefa ani urzędu skarbowego.

Piotr dokonuje kalkulacji:

– Hm, to ci daje sto punktów.

– Sto?! Tylko tyle? – woła mężczyzna. – Zastanówmy się. Wspierałem finansowo Fundację Wspólna Droga, co tydzień pracowałem jako wolontariusz rozdając biednym zupe, każdej zimy kwestowałem z Armią Zbawienia, a każdego lata przez tydzień budowałem domy dla biednych w Ameryce Środkowej.

– Okej – odpowiada Piotr, stukając w klawisze kalkulatora. – Teraz masz już jakieś trzysta pięćdziesiąt punktów.

Mężczyzna wpada w panikę. Nie przychodzą mu do głowy już żadne wspaniałe czyny ani ofiary, za które mógłby uzyskać brakujące punkty. Nigdy nie uda mu się wejść do nieba.

– To wszystko – mówi ze smutkiem. – Powierzam się łasce Boga.

– Brawo! – woła Piotr i otwiera szeroko bramę. – Witaj w domu.

To pocieszająca opowieść. Zamiast skupiać się na Boskiej sprawiedliwości albo naszych poświęceniach, kładzie nacisk na Bożą łaskę.

Perska mistyczka zwana Rabi'a opisała, na czym polega prawdziwa miłość do Boga:

O mój Panie, gdybym Cię wielbił ze strachu przed piekłem, spal mnie w piekle. Gdybym Cię wielbił w nadziei na raj, zamknij przede mną jego bramy. Ale gdybym Cię wielbił dla Ciebie samego, ukaż mi wówczas piękno Twego oblicza.

Wiele lat temu pojechałam do opactwa Genesee w stanie Nowy Jork, żeby wyjść z impasu. Mój kontakt z Bogiem był dobry, ale miałam wrażenie, że jakaś przeszkoda wciąż blokuje mi drogę, że stale się o nią potykam. Nic z tego, co robiłam, żadne dobre uczynki, intencje czy poświęcenia nigdy nie wydawały mi się dość dobre. Sama nigdy nie czułam się dość dobra.

W głębi duszy wciąż nie uważałam się za godną Bożej miłości. Cóż zatem musiałyby się stać, żebym prawdziwie i szczerze uwierzyła, że Bóg kocha mnie taką, jaka jestem?

Zapisałam się na spowiedź i spotkałam z ojcem Francisem. Miał na sobie biały habit i czarny kaptur trapisty; wydał mi się odpowiednio skromny i pobożny. Zamiast wyrecytować katalog moich grzechów i odklepać z listy, ile razy skłamałam, plotkowałam albo zazdrościłam bliźnim, przesłam od razu do sedna.

– U podstaw wszystkich moich wad, zazdrości, pretensji i strachu, leży przekonanie, że nie jestem dość dobra – wyznałam mu.

Mnich siedział uśmiechnięty. Skinął potakująco głową, a całe jego ciało zakołysało się ze zrozumieniem, jakby naprawdę pojął, o co mi chodzi, i od dawna czekał na tę błogosławioną chwilę, żeby podzielić się ze mną najczystsza prawdą objawioną. Usadowiłam się wygodniej w oczekiwaniu na słowa oświecenia. Zamiast tego mnich zaczął opowiadać Przypowieść o synu marnotrawnym: „Pewien człowiek miał dwóch synów...”.

Poczułam ukłucie zawodu. Słyszałam już tę historię. Za to mnich wydawał się tak podekscytowany, jakby poznał ją dopiero co. Opowiadał wolno, nie pomijając żadnego szczegółu. Niezmiernie go zaintrygowało, że jeden z synów wziął swoją część majątku i roztrwonił wszystko na wino, kobiety i śpiew, a potem postanowił wrócić do ojca i błagać, żeby ten potraktował go chociaż tak dobrze jak swoją służbę.

Syn wrócił, lecz zanim zdążył wyjąkać przeprosiny, uradowany ojciec wybiegł mu na powitanie, uściskał go i pocałował. Przybysz protestował i tłumaczył, że nie jest już godzien nazywać się jego synem, ale ojciec ubrał go w najlepszą szatę, dał mu pierścień i sandały, a potem kazał zabić utuczone cielę i przygotować ucztę.

Tak, tak. Już to wszystko słyszałam. Mnich wyraźnie uwielbiał fragment, którego ja nie znosiłam – o wiernym synu, zawsze posłusznym ojcu. Ten drugi syn pracował w polu, gdy usłyszał muzykę i tańce. Rozgniewał się, bo chociaż przez cały czas był posłuszny ojcu i nigdy mu się nie sprzeciwił, to przyjęcie wydano na cześć jego brata, który pobłądził. W tym momencie zorientowałam się, że wybrałam niewłaściwego mnicha. Nie usłyszę od niego koanu zen, który odmieni moje życie, buddyjskiej mantry, która ukoji moje serce, ani cytatu z Thomasa Mertona, którym mogłabym się kierować przez resztę życia.

Nic z tego.

Załapałam się tylko na powtórkę. Puenta przypowieści wywołała na twarzy mnicha szeroki uśmiech. Ojciec powiedział wiernemu synowi, że wszystko, co ma, należy do niego, zapewnił, że dostanie to, co mu się należy, ale tymczasem wszyscy powinni się cieszyć, że odnalazł się zagubiony syn.

Mnich promieniał radością, za to ja miałam smętną minę. Trzymał nie z tym synem, co trzeba. I co to miało wspólnego ze mną? Mnich powtórzył zakończenie. Syn marnotrawny nie musiał przeproszać. Nie musiał niczego naprawiać. Wystarczyło, żeby zwrócił się do ojca. Zwrócił się do ojca. To

wszystko. To wystarczyło, żeby mógł wrócić. To samo wystarczy każdemu z nas.

– Bóg kocha nas dlatego, że jest Bogiem – powiedział mnich. – Nie za to, kim my jesteśmy.

W pierwszej chwili jego słowa zabrały mnie jak policzek. Czy on mnie właśnie obraził?

A potem poczułam ukłucie w sercu. Miałam wrażenie, jakby przeszła je strzała wypuszczona z Boskiego łuku, która trafia w najczulszy punkt.

Bóg nie chciał ode mnie wielkich poświęceń. Boga nie obchodziło, czy zostanę najlepszą pisarką na świecie, jego najpokorniejszą sługą, czy najgorliwszą wolontariuszką od czasu Matki Teresy. Boga nie obchodziło, czy nawalę na całej linii ani czy pozostawię po sobie bałagan, o ile tylko zawrócę z tej drogi.

Bóg mnie kocha, bo miłość leży w Jego naturze.

Nie mogę zasłużyć na tę miłość i nie mogę jej utracić.

Jestem dość dobra nie dlatego, że taka jestem, tylko dlatego, że taki jest Bóg.

Mogę wrócić do domu.

I ty też.

Lekcja 35

To, co cię nie zabije, naprawdę cię wzmocni

Rak i ja poznaliśmy się 19 lutego 1998 roku, w dniu, w którym obudziłam się po biopsji chirurgicznej. Rozpoczęłam wtedy nowe życie. Wszystkie wcześniejsze wydarzenia znalazły się po drugiej stronie, w latach p.n.e. – przed nowotworową erą.

Nie miałam zamiaru pozwolić na to, by rak mnie zabił. Nie, jeśli ja miałam tu coś do powiedzenia. Ten pierwszy rok pamiętam jak przez mgłę. Kiedy doszłam do siebie po operacji, przyszła pora na cztery cykle chemioterapii. Ledwo zaczęły mi odrastać włosy, zaczęło się sześć tygodni radioterapii. Nim wróciłam do formy, od biopsji minęły dwa lata. I wtedy do mnie dotarło. Cholera, miałam raka.

Takie przejścia jak rak, rozwód, utrata zdrowia, pracy lub najbliższych mogą cię zabić – albo wzmocnić. Mnie rak uczynił silniejszą, po tym, jak wiele razy rozkładał mnie na łopatki. Podczas wielomiesięcznych kuracji zdarzały mi się chwile czarnej rozpacz, kiedy chciałam się poddać.

W ostatecznym rozrachunku rak mnie wzmocnił. Zapalenie zatok? Grypa? Naderwany mięsień? Żaden problem. Dziś mam do tego takie podejście: Ból? I co z tego. Strach? Kto by się nim przejmował. Kiedyś, pisząc felietony, czułam lęk. To, co inni nazywają brakiem weny, ja nazywam tremą. Wątpliwości i kompleksy zbijały mnie z tropu. Teraz piszę bez ogródek, koniec z owijaniem w bawełnę. Mówię to, co myślę, bez wyrzutów sumienia, bez strachu i bez hamulców. Jeśli nie powiem tego teraz, to kiedy?

Moja córka stale przypomina mi, dlaczego trzeba opowiadać o walce z chorobą. To wspólny obowiązek, który ciąży na wszystkich dziesięciu milionach osób skutecznie walczących z rakiem w Ameryce. Każdego dnia kolejni ludzie słyszą tę diagnozę. W pierwszej chwili płaczesz. Potem zadajesz pytania, na które być może nie chcesz znać odpowiedzi: Czy da się to wyleczyć? Czy da się to leczyć? Czy są przerzuty?

Ale tak naprawdę chcesz się dowiedzieć jednego: Ile będę żyć?

A tego nie wie nikt.

Ja poszłam na całość. Operacja. Chemioterapia. Radioterapia. I kolejne operacje. Usunęłam obie piersi, kiedy dowiedziałam się, że mam mutację genetyczną BRCA1, która oznacza, że z 87% prawdopodobieństwem zachoruję na raka piersi.

Jakie wygląda życie bez piersi?

Inspiracją stała się dla mnie Audrey Hepburn. Zaczęły mi się podobać gimnastyczki i baletnice. Kiedy śpię na brzuchu, już nic nie dzieli mnie od mojego luksusowego prześcieradła. Nie muszę nosić biustonosza – ani biustu. Tego samego dnia mogę mieć miseczkę B, C, D albo P – pustą. Mogę ćwiczyć, biegać albo skakać na skakance, nie dusząc się w sportowym staniku. Nigdy nie będę mieć obwisłych piersi, więc grawitacja nie zacznie spędzać mi snu z powiek.

Gdybym wiedziała, jak łatwo żyje się bez piersi, decyzja o podwójnej mastektomii nie byłaby tak trudna. Z perspektywy czasu widzę, że była to najcięższa decyzja w moim życiu. Po usunięciu piersi nie ma już odwrotu, nie ma gdybania, spekulacji, negocjacji, odwlekania decyzji ani zaprzeczania faktom. To nieodwracalne. Tylko ty możesz podjąć tę decyzję i tylko ty musisz z nią żyć przez resztę

życia. To takie ostateczne, przerażające i drastyczne.

Aż w końcu, pewnego dnia, traci znaczenie. Po prostu, taka teraz jesteś.

Przez pierwszy rok czułam się obolała – fizycznie i emocjonalnie. Zniknęła jakaś część mnie.

W naszej kulturze panuje obsesja na punkcie piersi. Prawie każda sławna kobieta wygląda, jakby miała implanty. Piersi są wszędzie, od ich widoku nie da się uciec nawet przy kasie w sklepie spożywczym. Zapełniają okładki magazynów „Cosmopolitan”, „People” i „Us”. Przez pierwszy rok nie byłam nawet w stanie wejść do salonu Victoria’s Secret.

Nie mogłam znieść widoku piersi i biustonoszy, których już nie potrzebowałam.

Zaraz po operacji nie mogłam nosić protez, bo klatka piersiowa musiała się wygoić. Dziwnie się czułam z płaskim torsem. Nie miałam mojej osłony, mojej tarczy. Czułam się bezbronna i odsłonięta. Tęskniłam za swoimi piersiami. Od czasu do czasu leżąc w kąpieli układałam sobie pianę na klatce piersiowej i próbowałam sobie przypomnieć, jak wyglądały i jak się z nimi czułam. Z czasem zapomniałam, jak to było. Zapomniałam o nich, w dobrym sensie tego słowa. Już nie porównuję swojego dawnego i nowego wcielenia. Jestem po prostu sobą.

Co jakiś czas moje piersi starają się o sobie przypomnieć. Fantomowe odczucia przychodzą i odchodzą. Czasem nagle zaczynam się czuć tak, jakbym znów miała biust. Czuję jego ciężar. Wsuwam dłoń pod stanik dla pewności. Bez zmian. Ciągłe pusto.

Najczęściej noszę sztuczne piersi. Zamiast implantów kupiłam wkładki. To dziwne uczucie, kiedy lekarz co dwa lata wypisuje ci receptę na piersi. Kosztują po trzysta dolarów za sztukę, ale ubezpieczenie pokrywa większość kosztów. Są wypełnione silikonem. Wsunięte do biustonosza dla kobiet po mastektomii podskakują i kołyszą się jak piersi.

Kobiety, z którymi rozmawiałam przed operacją, radziły mi, żebym traktowała wkładki jak część siebie. Na początku miałam z tym problemy. Kiedy je nosiłam, było mi gorąco i ciężko. Czułam się jak oszust. A potem pewnego dnia zbiegając po schodach poczułam, że kołyszą się jak prawdziwy biust. Zupełnie jak moje dawne piersi. Wtedy się z nimi zaprzyjaźniłam. Nazwałam moje sztuczne piersi Thelma i Louise.

Są miękkie i naturalne, kiedy się do kogoś przytulam. Zawsze sprężyste, nie tracą kształtu, kiedy się kładę. Ale koty, broszki i kotyliony wciąż budzą we mnie niepokój. Nie chciałabym zacząć przeciekać.

Dzięki protezom nabieram krągłości. Robię to dla siebie, dla Bruce’a i po to, żeby ubrania lepiej na mnie leżały. Kiedy nie noszę protez, robię się taka płaska, że wszyscy pytają, czy schudłam.

Przed operacją czytałam, że wiele kobiet poddaje się rekonstrukcji piersi, ponieważ nie chcą, żeby coś stale przypominało im przebytą chorobę. Można i tak, chociaż mnie mój płaski tors i sztuczne piersi nie kojarzą się z rakiem ani ze stratą.

Kobiecość ma niewiele wspólnego z parą gruczołów sutkowych. O mojej kobiecości świadczy moje serce i moja dusza. Nie potrzeba piersi, żeby być kobietą, matką, żoną, siostrą, córką, siostrzenicą, ciotką, babcią, matką chrzestną, pisarką, przyjaciółką, kochanką. Ale żeby pełnić te role, trzeba żyć.

Nie, nie czuję się mniej kobieca. Pod wieloma względami jestem teraz bardziej kobieca niż kiedykolwiek wcześniej. Odkryłam swoje prawdziwe ja, odrzuciłam pancerz ochronny i poznałam własne wnętrze. Teraz łatwiej mi wsłuchać się w głos mojego serca. W końcu nie dzieli mnie już od

niego bariera piersi. Odkryłam serce przed światem i żyję w zgodzie z samą sobą. Sama decyduję, kim jestem, jak wyglądam i co dla mnie znaczy być seksowną, kobiecą, ładną, silną, przebojową czy szczęśliwą, nie oglądając się na zdanie innych.

Moja klatka piersiowa jest jak czyste płótno, biała kartka. Mogę ją zapisać, czym chcę.

Nie płaczę już pod prysznicem, nie wzdrygam się, gdy Bruce dotyka mojej nagiej klatki piersiowej, nie przejmuję się tym, jak wyglądam. Poświęciłam piersi po to, żeby tu być. Kiedy patrzę na miejsce po biuście, widzę życie. Płaski tors przypomina mi każdego dnia, że wybrałam życie, więc powinnam wykorzystać je najlepiej, jak potrafię.

Nie czuję się mniej kobieca. Czuję się jak Wonder Woman, komiksowa superbohaterka.

Zadaniem ocalałych, tych, którzy przetrwali raka, rozwód, żałobę i rozpacz, jest dawać świadectwo, nieść nadzieję ludziom wciąż szukającym drogi przez ciemną dolinę.

Ci z nas, którym udało się wydostać z ciemności i zobaczyć świat rozciągający się poza nią, powinni o tym opowiedzieć. Z naszego punktu widzenia każdy dzień życia wydaje się prawdziwym cudem.

Czy nastąpiła u mnie remisja? Kto wie? Przebudziłam się do życia i nie zamierzam znów zasypiać. Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to samo. Zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, żeby wycisnąć z mojego ciała więcej życia. O życie warto walczyć.

Czy jestem już zdrowa? Świadczą o tym wszystkie te lata, ale ja patrzę na to w ten sposób: mój wyrok jest codziennie odraczany. A ja nie marnuję ani minuty.

Lekcja 36

Umrzeć młodo – to wygląda dobrze tylko w filmach. Starość jest zdecydowanie lepsza

Zawsze, gdy dzwonię do mojego przyjaciela Eda i pytam: „Co u Ciebie?”, słyszę w odpowiedzi to samo: „Jestem stary”.

Ed nie narzeka, tylko stwierdza fakt. A im jest starszy, tym bardziej brzmi to jak przechwałka.

Nie przeszkadza mu, że przekroczył pięćdziesiątkę. Jego tata zmarł młodo na serce. Ed podchodzi do starości tak samo jak ja: jest gotów się z nią zmierzyć. On pokonał chorobę serca; ja pokonałam raka. Starość nie jest dla nas smutną koniecznością. Starość to dla nas PRZYWILEJ.

Uwielbiam tę reklamę ze zdjęciem, na którym starsze panie dokazują w basenie. Na głowach mają jaskrawe kapelusze, na twarzach niemądre uśmiechy, a podpis głosi: „Starość masz tylko jedną”.

Kiedy kończysz pięćdziesiąt lat, dominującym kolorem na kartkach urodzinowych, okazjonalnych transparentach, balonach i naklejkach staje się czerń i dowiadujesz się z nich, że teraz masz już bliżej niż dalej. Po pięćdziesiątce zostajesz oficjalnie mianowany starym przykiem. Ale mnie to nie dotyczy. Moją pięćdziesiątkę obchodziliśmy hucznie. Kiedy mając czterdzieści jeden lat zachorowałam na raka, nawet nie marzyłam, że dotrę do cudownej granicy pięćdziesiątych urodzin.

W hołdzie tej najbardziej magicznej z rocznic podaję pięćdziesiąt sposobów na uczczenie pięćdziesiątych urodzin:

1. Prześpij cały dzień.
2. Wydaj na siebie pięćdziesiąt dolarów.
3. Przeczytaj na głos książkę Dr. Seussa *Happy Birthday to You!* („Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!)) i sprawdź, jak obchodzi się urodziny w Katroo, gdzie naprawdę wiedzą, jak świętować.
4. Zrób listę pięćdziesięciu miejsc, w których nigdy nie byłeś, i odwiedź je wszystkie przed sześćdziesiątką. Nie spisuj wyłącznie dalekich, egzotycznych krajów, ale też miejscowe muzea, kościoły, zaułki, jeziora i parki, których dotąd nie widziałeś.
5. Napisz pierwszych pięćdziesiąt linijek książki, którą zawsze chciałeś wydać.
6. Na cześć swojej młodości posadź drzewo.
7. Pójdź na cmentarz i podziękuj Bogu za to, że jeszcze na nim nie leżysz.
8. Zapisz się na jakieś zajęcia wyłącznie dla przyjemności.
9. Przejeźdź pięćdziesiąt kilometrów drogami, którymi nigdy wcześniej nie jeździłeś. Nie zabieraj ze sobą mapy ani GPS-a. Pozwól, by prowadziła cię droga.
10. Puść pięćdziesiąt baniek mydlanych z okna sypialni.
11. Jeśli ktoś cię zapyta, co chciałbyś dostać na pięćdziesiątkę, wymień pięćdziesiąt rzeczy, o których zawsze marzyłeś.
12. Zdecyduj się na jakąś nową działalność charytatywną i poświęć jej w tym roku pięćdziesiąt godzin.

13. Rozsyp w różnych miejscach pięćdziesiąt jednocentówek, żeby przyniosły szczęście pięćdziesięciu osobom.
14. Myślisz, że teraz masz już z górki? Znajdź spory pagórek i sturlaj się z niego, krzycząc: „Szkoda młodości na młodych!”.
15. Zabierz na swoją imprezę urodzinową szpilkę i przebij nią wszystkie czarne balony.
16. Uczcij swoje zmarszczki. Kup torebkę rodzynek i delektuj się każdą z nich.
17. Wybierz się na pięćdziesięciominutowy spacer po lesie.
18. Zaplanuj pięćdziesięciodniowy urlop na niby. Puść wodze fantazji i nie martw się budżetem.
19. Zrób listę pięćdziesięciu osób, które wywarły wpływ na twoje życie.
20. Zadzwoń do wszystkich, których kochasz, i powiedz im o tym.
21. Napisz list z poradami od siebie w wieku osiemdziesięciu lat do pięćdziesięciolatka, którym jesteś teraz.
22. Spędź na osobności pięćdziesiąt minut w stroju, w którym przyszedłeś na świat, dziwiąc się, że po tych wszystkich latach wciąż na ciebie pasuje.
23. Wyślij pięćdziesiąt podziękowań (pocztą elektroniczną albo tradycyjną) wszystkim tym, których kochasz.
24. Postanów medytować pięćdziesiąt minut dziennie: dwadzieścia pięć minut rano i dwadzieścia pięć minut wieczorem.
25. Wypisz na kartkach pięćdziesiąt marzeń na przyszłość – dużych i małych, szalonych i banalnych – wrzuć je do słoika i nie otwieraj go do kolejnych urodzin.
26. Pomyśl o wszystkich ludziach, których straciłeś w ciągu tych pięćdziesięciu lat, i o tym, jak cię wzbogacili.
27. Pomyśl o wszystkich ludziach, którzy po tych pięćdziesięciu latach wciąż są w twoim życiu i o tym, jak nadal cię wzbogacają.
28. Zjedz pięćdziesiąt drażetek M&M’s.
29. Znajdź w swoim życiu coś, dzięki czemu czujesz się naprawdę młodo, i zaangażuj się w to mocniej.
30. Znajdź w swoim życiu coś, przez co czujesz się naprawdę staro, i zmień to.
31. Przez pięćdziesiąt minut dziękuj Bogu za pierwszych pięćdziesiąt lat życia.
32. Wypożycz film *To wspaniałe życie*.
33. Przekaż pięćdziesiąt dolarów ulubionej organizacji charytatywnej.
34. Przytul małe dziecko.
35. Potrzyмай za rękę starszą osobę.
36. Przez pięćdziesiąt minut słuchaj ulubionej płyty.
37. Zostaw pięćdziesięcioprocentowy napiwek kelnerce, która podała ci śniadanie, obiad albo kolację.
38. Zaśpiewaj ulubioną piosenkę z dzieciństwa pod prysznicem.
39. Przeczytaj pięćdziesiąt stron jednej z twoich ulubionych lektur.
40. Wypisz pięćdziesiąt słów, którymi opiszesz, co w życiu naprawdę uwielbiasz.
41. Zatrąb dziś pięćdziesiąt razy klaksonem, żeby świat się dowiedział, że masz urodziny.
42. Przez pięćdziesiąt sekund stój nieruchomo i obserwuj chmury.

43. Zrób listę wszystkich pięćdziesięciu stanów i oznacz krzyżykiem te, w których już byłeś, a gwiazdką te, w których jeszcze nie.
44. Wstając, przywitaj wschodzące słońce.
45. Idąc spać, pożegnaj księżyc.
46. Opisz w najwyżej pięćdziesięciu słowach, co zamierzasz dać z siebie światu w ciągu pięćdziesięciu lat, które ci jeszcze zostały.
47. Wpatruj się w niebo, póki nie naliczysz pięćdziesięciu gwiazd, i wyślij im wszystkim całusy na dobranoc.
48. Zgaś wszystkie światła, nastaw radio głośniej i posłuchaj, jak Louis Armstrong śpiewa *What a Wonderful World*.
49. Zdmuchnij pięćdziesiąt świeczek i poświęć życzenie temu, kto najbardziej go potrzebuje.
50. Zasypiając, zamiast liczyć owce, wymień wszystkie te rzeczy, za które jesteś wdzięczny – począwszy od urodzin.

Lekcja 37

Twoje dzieci mają tylko jedno dzieciństwo. Niech będzie niezapomniane

Kiedy jesteś samotną matką, każda randka zamienia się w rozmowę kwalifikacyjną na stanowisko ojca i żywiciela rodziny. Zbyt wiele czasu i energii traciłam, stając na rzesach, żeby każdego faceta, z którym się umawiałam, zainteresować transakcją związaną obejmującą moją córkę i mnie. Nic z tego nie wychodziło. Wciąż szukałam księcia z bajki.

Gdybym tylko znalazła odpowiedniego ojca dla mojej córki... Gdybym tylko znalazła odpowiedniego męża dla siebie... Gdyby tylko pojawił się w naszym życiu, wtedy byłybyśmy naprawdę szczęśliwe. Tymczasem zaniedbywałam pragnienia i potrzeby mojej córki. Tak bardzo zaangażowałam się w poszukiwanie dla niej ojca, że zapomniałam być matką. Uświadomiłam to sobie z całą mocą, kiedy zabrałam córkę na wielkie przyjęcie, a potem straciłam ją z oczu, flirtując z kolejnym facetem. Zespół ogłosił ze sceny, że odnaleźli zagubione dziecko. W rzeczywistości to ja się zagubiłam jako rodzic.

Kiedy miałam dwadzieścia sześć lat, a Gabrielle – cztery, pracowałam w ośrodku terapii uzależnień alkoholowych. Spotkałam tam kobietę, która zajmowała się trudną młodzieżą. Powiedziała mi, że najważniejszą radą, jakiej chciałyby udzielić wszystkim samotnym matkom, jest żeby przestały się martwić o pracę, pieniądze i partnerów, a zamiast tego skupiły się na swoich dzieciach – tu i teraz.

– Te dzieci mają tylko jedno dzieciństwo – wyjaśniła.

Powiedziała mi, że gdyby mogła zacząć wszystko od nowa, odpuściłaby sobie randki i skupiła się w stu procentach na byciu matką. Wtedy to, co usłyszałam, nie spodobało mi się. Jej słowa wzbudziły we mnie poczucie winy, że jestem samotną matką. Gdybym znalazła mojej córce ojca, wtedy wreszcie miałyby pełną rodzinę. Randki zajmowały mi stanowczo za dużo czasu, podobnie jak rozpaczanie po każdym Nieodpowiednim Facecie, który pojawiał się i znikał z naszego życia. Przedstawiłam mojej córce zdecydowanie zbyt wielu mężczyzn; zapraszałam ich na noc do domu, wciągając ją w telenowelę, jaką stało się moje życie.

Nie pamiętam imienia tej kobiety, jej twarzy ani stanowiska – tylko te słowa. Paliły mnie jak ogień i odcisnęły niezatarte piętno na moim życiu. Wywróciła mi świat do góry nogami, twierdząc, że rodzice powinni stawiać dzieci na pierwszym miejscu. Powiedziała:

– Masz całe życie, żeby chodzić na randki, znaleźć pracę, poznać mężczyznę swoich marzeń. Twoje dzieci mają jedno dzieciństwo. Zrób wszystko, żeby go nie przegapić.

Zżerało mnie poczucie winy, że jestem samotną matką. Nie miałam pieniędzy, żeby zabierać córkę do Disneylandu, ani, prawdę mówiąc, nigdzie indziej. Ale z czasem uświadomiłam sobie, że Gabrielle nie potrzeba do szczęścia ani wakacji, ani ojca, chociaż tak żałowałam, że go jej nie zapewniłam. Potrzebowała za to, żeby jedna dorosła osoba była dla niej rodzicem na cały etat, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Przestałam snuć marzenia o przyszłym szczęściu i ignorować rzeczywistość wokół mnie. Nauczyłam się być przy Gabrielle i sprawiać, by każdy dzień był dla niej radosny i ważny.

Kiedy cofam się myślą do własnego dzieciństwa, skupiając się nie na chwilach trudnych, lecz na tych najbardziej znaczących i niezapomnianych, najmilej wspominam różne błahostki.

Święto Halloween, kiedy mój tata narzucił na siebie prześcieradło, przekradł się po ciemku między domami, a potem podszedł do naszego domu od strony ulicy i zapukał do drzwi. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów i był najwyższym przebierańcem, jakiego kiedykolwiek widzieliśmy. Jak tylko wręczyliśmy mu cukierki, ściągnął kostium; opowiadając tę historię, zawsze pękał ze śmiechu.

Te chwile, kiedy mama stała przy kuchennym zlewie, nucąc pod nosem albo słuchając płyt Perry'ego Como, The Mills Brothers albo Mitcha Millera. Namawiała nas, żebyśmy śpiewali razem z nią albo łapała któreś z dzieci, żeby odtańczyć z nim polkę w salonie.

Było też machanie babci. Moja babcia mieszkała na farmie. Nosiła pończochy przeciwzylakowe, przewiązywała sukienkę fartuszkiem i chowała siwy koczek pod chustą. Zarabiała sprząając domy innych ludzi. Zawsze, gdy ją odwiedzaliśmy, miała dla nas pełną szufladę lizaków. Mówiła łamaną angielszczyzną z domieszką rosyjskiego, słowackiego i odrobiną niemieckiego. Nie potrafiła nawet wymówić mojego imienia, więc nazywała mnie Virginia. Kiedy przyjeżdżaliśmy, każde z nas dostawało miniaturową butelkę coca-coli i najtłustsze, najbardziej słone frytki na świecie. Uwielbialiśmy to. Pokazała nam, czym jest dostatek. Choć miała niewiele, potrafiła to zamienić w prawdziwą ucztę. A kiedy wyjeżdżaliśmy do domu, babcia stawiała na skraju podjazdu obrośniętego mieczykami, które rok po roku pieczołowicie sadziła, wykopywała i przesadzała. Stamtąd machała, machała i machała, dopóki całkiem nie zniknęliśmy jej z oczu.

Nigdy nie zapomnę jej machania.

Moja córka jest już dorosła i kiedy razem wspominamy jej dzieciństwo, stają nam przed oczami właśnie takie ulotne chwile. Przed jej ślubem zrobiłam dla niej album, w którym opisałam nasze najprzyjemniejsze wspomnienia:

Dzień, w którym podczas burzy puszczałyśmy na ulicy plastikowe kaczuszki. Urządzałyśmy im wyścigi wzdłuż krawężnika, w deszczówce płynącej do kanału burzowego. Przemokłyśmy do suchej nitki, umierając przy tym ze śmiechu.

Albo ten, gdy zjeżdżałyśmy na tacy stołówkowej z góry śniegu, którą na końcu naszego podjazdu pozostawił pług śnieżny. Ukradłam tę czerwoną, plastikową tacę z Kent State University podczas studiów. Wycinałyśmy na niej dynie na Halloween. Podawałyśmy na niej jedzenie. Ta taca dała nam więcej radości niż jakikolwiek prezent ze sklepu.

Nasz niedzielny rytuał odczytywania na głos gazetowych komiksów z podziałem na role, gdy nadawałyśmy Mary Worth dramatyzm godny Makbeta.

Noce, kiedy wymyślałam na dobranoc bajki, które nie zawsze miały sens, bo zasypiałam w połowie opowieści.

Wymarzony domek dla Barbie, który zbudowałam dla Gabrielle z pudełek, przeróżnych resztek i papieru do wykładania szuflad. Firma Mattel mogła się schować. Podkleiłam tackę na długopisy kawałeczkami korka, żeby zrobić wannę. Z kawałków myjki wykroiłam ręczniki i dywany. Zamieniłam metalową puszkę w kosz na bieliznę, pudełko po cygarach w łóżko z baldachimem, a stare pudełka na czeki w lodówkę i piekarnik. Bawiła się tym domkiem, dopóki się nie rozpadł.

Deskorolka, na której bała się stanąć, więc jeździła na siedząco po domu, śmigając po drewnianej podłodze wynajętego bliźniaka.

Zabawy w poszukiwanie skarbów, które urządzała z przyjaciółmi ze szkoły średniej.

Pewna noc, gdy o północy podwoziłam ją i jej przyjaciół przed kampus, bo chcieli pomalować farbą stojący tam głaz.

Wiersze Shela Silversteina, które czytałyśmy na głos, ucząc się ich na pamięć: o niedźwiedziu polarnym w lodówce, o dziewczynce, która nie dostała kucyka, i o tym, dlaczego zawsze, zawsze, zawsze, zawsze, zawsze, zawsze, ZAWSZE należy mieć we włosach odrobinę pieprzu.

Święta Halloween, kiedy zamieniałyśmy ogródek przed domem w cmentarz z pomalowanymi na biało tekturowymi nagrobkami z nazwiskami Bena Dovera, Al K. O'Holika, Willa Mazgaja, Betty Zajęcze Serce.

Soboty, gdy obżerałyśmy się fast foodami i wyruszałyśmy bez mapy na spontaniczne wyprawy wiejskimi drogami po sąsiednich hrabstwach.

Koncerty, na które przepuszczałyśmy mnóstwo pieniędzy, choć dziś śmieszą nas ci wykonawcy: Milli Vanilli, M.C. Hammer, Debbie Gibson, New Kids on the Block oraz Vanilla Ice, Ice Ice Baby.

Śmiejemy się z tego, że miałyśmy tak niewiele, a jednak udało nam się zdobyć wszystko. Tylko nie od razu.

Mąż. Kariera. Wszystko, czego pragnęłam, znalazło się w moim życiu, kiedy uporządkowałam priorytety.

Faktycznie, można zdobyć wszystko – lecz niekoniecznie wszystko naraz.

Lekcja 38

Niezależnie od wyznania, czytaj Księgę Psalmów. Znajdziesz w niej wszystkie ludzkie emocje

Gdyby autopsja duszy była możliwa, odkrylibyśmy, że składa się ze stu pięćdziesięciu części, z których każda została opisana w jednym z psalmów.

„Wszelkie żale, dylematy, lęki, wątpliwości, nadzieje, rozterki, burzliwe porywy, które targają ludzkimi sercami, zostały tu oddane z uderzającą dokładnością” – napisał Jan Kalwin. Nazwał psalmy anatomią duszy.

Nawet śpiewane po łacinie, w nieznanym mi języku, psalmy przynoszą ukojenie. Mimo że nie znam słów, moja dusza je rozumie.

Przez wiele lat znałam na pamięć tylko ten psalm, który znają wszyscy: psalm 23. „Pan jest moim pasterzem, niczego mi nie braknie”. Drukowałam go na kartach kondolencyjnych w domu pogrzebowym, w którym pracowałam.

Jest łatwy do zapamiętania i zawsze przynosi pociechę. Łatwo sobie wyobrazić zbłąkaną i przerażoną owcę na wzgórzu. Ta historia zawsze dobrze się kończy, Dobry Pasterz szuka owcy, znajduje ją, a potem prowadzi do domu. Kto z nas nie miał kiedyś wrażenia, że błądzi w ciemnej dolinie? Poruszyła mnie informacja, że dolina z psalmu istnieje naprawdę. Wiele lat temu w Jerozolimie, podczas podróży poślubnej, staliśmy na drodze w palącym słońcu, patrząc na ogromne połacie ziemi, rozciągające się poniżej.

– Jaka to dolina? – zapytał przewodnika mój mąż.

– „Chociażbym chodził ciemną doliną...” – zaintonował przewodnik.

Ale Psalm 23 nie wystarczy, żeby poprowadzić mnie przez życie. Dopiero cała Księga Psalmów opowiada historię drogi, którą przemierza każdy człowiek. Tych sto pięćdziesiąt pieśni opowiada o zachwycie, radości i świętowaniu, lecz także o czarnej rozpacz, desperacji i zwątpieniu; uczuciach, które towarzyszą nam aż nazbyt często.

Księga Psalmów porusza każdy aspekt duchowej podróży człowieka, wszystkie wzloty i upadki, wyżyny, na które wznosi się ludzka dusza, i głębie jej zepsucia. W psalmach można znaleźć pieśni uwielbienia, ale i przekleństwa, słowa pociechy i krzyki rozpacz, przechwałki silnych i płacz porzuconych. Dzięki nim czuję się mniej samotna.

Ogarnięta najczarniejszą rozpacz, kiedy nie mogę sobie przypomnieć choćby linijki żadnego psalmu, przytulam do siebie całą księgę, tak jak dziecko tuli misia. Dopiero wtedy mogę zasnąć. Swój Psalterz kupiłam w opactwie Genesee, w którym trapiści kończą każdą modlitwę, sławiąc „Boga, który jest, który był i który przyjdzie, gdy dopełni się czas”.

W szkole podyplomowej zapisałam się na zajęcia poświęcone psalmom, prowadzone przez rabina. Profesor Roger C. Klein z synagogi Temple-Tiferth Israel w Cleveland wyjaśnił nam, że nie trzeba być uczonym, żeby zrozumieć psalmy.

– Do tego nie potrzeba intelektu – rzekł. – Wystarczy dusza.

Psalmy ukazują różne oblicza Boga: jest skałą, na której można się oprzeć, pasterzem, towarzyszem,

pocieszycielem, żywicielem, gospodarzem, stwórcą, sędzią, obrońcą i wybawicielem. Czy mam swoje ulubione? Podoba mi się koncepcja osobistego Boga radości. Często modlę się słowami: „Mocą moją i pieśnią moją jest Pan”.

W psalmach znajdziemy odniesienia do wszelkiego rodzaju zawirowań wewnętrznych i zewnętrznych, od nieudanych zbiorów po atak wrogów, od choroby po samotność. W zamyśle twórców wszystkie miały być śpiewane – słuchałoby się ich wtedy jak Biblii w wersji operowej.

Kiedyś natknęłam się na informację, że prezydent Bill Clinton przeczytał całą Księgę Psalmów, żeby odnaleźć spokój ducha po wszystkich politycznych naciskach, którym musiał stawić czoła. To zrozumiałe, że nas fascynują. Poruszają każdy temat:

O biedzie przeczytamy w Psalmie 10: „Panie, usłyszałeś pragnienie pokornych, umocniłeś ich serca...”.

Kampanie wyborcze opisane są w Psalmie 35, który opowiada o walce z przeciwnikami: „Wystąp, Panie, przeciw tym, co walczą ze mną, uderz na moich napastników! (...) Osądź mnie, Panie, Boże mój, w Twojej sprawiedliwości; niech się nie cieszą oni nade mną. Niech nie pomyślą w swym sercu: »Ha, tegośmy chcieli!« Niechaj nie powiedzą: »Otośmy go pożarli«”.

Każdy pracownik podpisałby się pod Psalmem 56: „Zmiłuj się nade mną, Boże, bo czyha na mnie człowiek, uciska mnie w nieustannej walce. (...) Przez cały dzień mi uwłaczają...”.

Chcąc opanować emocje, małżonkowie mogą sięgnąć po Psalm 141: „Postaw, Panie, straż moim ustom i wartość przy bramie warg moich!”.

Dziś psalmy wyznaczają początek i koniec mojego dnia. Ciągnie mnie do klasztorów, w których przepływają przez śpiewających niczym wspólny puls. Zakonnice w klasztorze Mount Saint Benedict w Erie, w stanie Pensylwania, rozpoczynają każdy dzień tym samym psalmem: „Racz mnie wybawić, o Boże; Panie, pospiesz mi na pomoc!”. Mnisi w opactwie Gethsemani w Trappist, w stanie Kentucky, kończą każdy dzień tymi samymi słowami: „Gdy się położę, zasypiam spokojnie, bo Ty sam jeden, Panie, pozwalasz mi mieszkać bezpiecznie”.

Niekiedy psalmy same mnie odnajdują.

Kiedyś weszłam do restauracji, w której jakaś grupa spotkała się na śniadaniu modlitewnym. Na tablicy tuż przy drzwiach ktoś przykroił Psalm 46 w taki sposób, że na końcu została z niego jedynie esencja każdej modlitwy:

Bądźcie spokojni i wiedźcie, że Ja jestem Bogiem.

Bądźcie spokojni i wiedźcie, że Ja jestem.

Bądźcie spokojni i wiedźcie.

Bądźcie spokojni.

Bądźcie*.

* Przekład za Biblią Króla Jakuba.

Lekcja 39

Wychodź z domu każdego dnia. Cuda tylko czekają, aż je odkryjesz

W pewien wrześniowy poranek wybrałam się na długi spacer. Był wtorek. Kiedy wróciłam, świat zmienił się na zawsze, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Gdy weszłam do domu, na automatycznej sekretarce czekało na mnie sześć wiadomości. Odsłuchiłam pierwszą – mój mąż łamiącym się z rozpaczy głosem prosił, żebym natychmiast oddzwoniła. Brzmiał tak, jakby umarł ktoś z naszych najbliższych. Pozostałe telefony były od innych członków rodziny, którzy dzwonili z wiadomością, że Ameryka została zaatakowana. Jako ostatnia nagrała się moja siostra z Nowego Jorku, uspokajając mnie, że ona, jej mąż i mój chrześniak są bezpieczni w mieszkaniu na Brooklynie, skąd obserwują, jak wieże World Trade giną w płomieniach.

Włączyłam telewizor. Wieże płonęły. Wieże padały. Wieże były martwe. Ludzie walczyli o życie, brnąc przez miasto jak w filmie o Godzilli. Topiła się karoseria samochodów. Ratownicy przedzierali się między gruzami. Panoramę Manhattanu przesłonił dym. Statua Wolności wydawała się wątła i przygarbiona, jakby zamiast pochodni wolności podnosiła białą flagę.

Spędziłam przed telewizorem wiele dni, oglądając atak wciąż od nowa, jakby za którymś razem mógł się skończyć inaczej, jakby wieże nie musiały runąć.

Przez kilka tygodni nic nie było takie, jak dawniej. Nie mogłam nawet pójść na spacer. Bałam się robić to, co robiłam w tamten wtorek, kiedy świat oszalał. Nie miało to najmniejszego sensu, ale bałam się, że jeśli wyjdę na kolejny spacer, zaburzę kruchą równowagę życia, a po powrocie zastanę na sekretarce podobne wiadomości.

Kiedy wreszcie wyszłam z domu, miałam wrażenie, jakby świat wrócił do równowagi. Spacerowałam po jednym z parków miejskich w Cleveland i obserwowałam liście. Nadal spadały z gałęzi równie beztrosko jak zawsze, pozostawiając po sobie nagie drzewa, które wznosiły do nieba puste ramiona w milczącej modlitwie.

Te liście nie wiedziały, że 11 września wszystko się zmieniło. Gdy wiatr niósł je nisko nad ziemią, w swoim radosnym pędzie przypominały tłum rozbawionych uczniów wypuszczonych z klasy na przerwę. Przy silnych, porywistych podmuchach liście opadały niczym konfetti na rozciągnięty między drzewami dywan ściółki leśnej. Kiedy wiatr przypominał delikatny szept, pojedyncze liście robiły fikołki, salta w tył i potrojne axle.

Z perspektywy lasu Ameryka nie została zaatakowana, nie wypowiedziała nikomu wojny, nie bała się węglik ani nie przeżywała nowej fali patriotyzmu. Jedyne bójki toczyły między sobą wiewiórki, walcząc o cenne żołędzie. Zakażenie było możliwe tylko wtedy, gdy ktoś dotknął roślin z rodziny nanerczowatych albo wdepnął w końskie łajno. Czerwień, biel i błękit występowały jedynie na mięsistych czerwonych jagodach i pęczkach białych nasion dmuchawców, szybujących w powietrzu na tle bezchmurnego błękitnego nieba.

W leśnym państwie życie w dalszym ciągu poddawało się śmierci po to, by móc się znów odrodzić. Cykl natury toczył się nieprzerwanie. Przyroda potrafi przetrwać tak wiele. Przypomina nam, że my

również to potrafimy.

Henry David Thoreau pisał, że zamieszkał w lesie, ponieważ nie chciał żyć w pośpiechu ani z czegokolwiek rezygnować. Jego słowa nabrały dla mnie nowego znaczenia. Ja też wracałam do lasu dlatego, że nie chciałam z czegokolwiek rezygnować, nie chciałam ulec strachowi przed wąglikiem, złości na terrorystów, rozpaczy z powodu okaleczonej gospodarki. Szłam do lasu, ponieważ mniej się bałam chodzić sama po lesie, niż siedzieć przy biurku, otworzyć pocztę albo włączyć telewizor i słuchać ekspertów.

Jeśli chcesz oderwać się od szaleństwa panującego w twoim życiu osobistym albo na świecie, zostaw telewizor, komputer, iPod, włóż tenisówki i idź na spacer. Zawsze czeka cię tam jakaś niespodzianka. Kiedyś podczas pięciomilowego spaceru obserwowałam, jak jakiś mężczyzna usiłuje sfotografować swojego wilczarza irlandzkiego na tle wodospadu. Posłuszeństwo psa okazało się przeszkodą nie do przejścia. Za każdym razem, gdy właściciel go wołał, żeby spojrzał w stronę aparatu, zwierzę natychmiast zjawiało się u jego boku.

Na innej ścieżce przyłapałam na drzemce dwa jelenie. Widziałam, jak czapla modra ląduje na bagnie zarośniętym pałkami wodnymi, a potem przygląda się tym strzelistym roślinom, rozkołysanym jednym rytmem, niczym pieśniarze gospel chwálący Pana.

Mijając miniaturowe wodospady czytałam napisy wycięte w drewnianych poręczach. Kiedyś znalazłam tam słowa Rachel Carson, które mają inspirować i pocieszać wszystkich przechodzących: „Ci, którzy mieszkają wśród piękna i tajemnic ziemi, nigdy nie są samotni ani znużeni życiem”.

To prawda. Pamiętam, że w roku, w którym zachorowałam na raka, wybrałam się na spacer w śniegu. To był marzec i właśnie poznałam diagnozę. Bałam się tego wszystkiego, co mnie czekało, operacji, chemii, naświetlań. Śnieg odwracał moją uwagę, wirował wokół twarzy, każąc mi skupić się na tej niesamowitej, oszałamiającej chwili. Spojrzałam w górę i poczułam, jak płatki śniegu spadają na mnie niczym pierze z rozdartej gdzieś w górze poduszki. Rozkoszowałam się ich dotykiem i wiedziałam, że nie jestem sama.

Henry David Thoreau opisał w swoim dzienniku dom i kościół, jaki zapewnia nam przyroda:

Sam w odległych lasach i na dalekich polach, w skromnych zagajnikach lub na pastwiskach pełnych królików, nawet w tak ponury, zimny dzień jak dziś, kiedy mieszkańcy wsi z utęsknieniem myślą o gospodarze, wracam do siebie, znów czuję się częścią całości, a ów chłód i samotność to moi przyjaciele. Wydaje mi się, że w moim przypadku uczucie to jest równoznaczne z tym, co inni czują w kościele i podczas modlitwy. Przychodzę do moich pustych lasów, tak jak stęsknieni wracają do domu. W ten sposób odrzucam wszystko, co zbędne, i widzę rzeczy takimi, jakie są: pięknymi i wspaniałymi.

Lekcja 40

Gdyby wszyscy porównali swoje problemy z innymi, nie zamieniliby się z nikim za żadne skarby

Kiedy ojciec Clem Metzger prowadzi rekolekcje, zawsze bez wyjątku opowiada historię o kobiecie, która chciała stworzyć nową, ulepszoną wersję siebie.

Owa pani w średnim wieku zostaje ranna w wypadku samochodowym. Pogotowie zabiera ją do szpitala. Kobieta co chwilę traci przytomność, ale w przebłyskach świadomości błaga Boga, żeby pozwolił jej przeżyć. Bóg ją uspokaja. Obiecuje, że będzie żyła jeszcze bardzo długo. Nie przyszedł na nią czas.

Kobieta leży w szpitalu i wraca do sił po złamaniach. Przychodzi jej do głowy, że właściwie mogłaby przy okazji poprawić to i owo. Decyduje się na usunięcie tłuszczu z brzucha, potem z rozpędu powiększa piersi. Robi też lifting oczu i zmniejsza sobie nos. Wygląda i czuje się jak nowo narodzona. Zachwycona poprawioną figurą i twarzą, nie może się doczekać, żeby pokazać się światu.

Kilka minut po wyjściu ze szpitala kobieta wpada pod wyjeżdżający zza rogu autobus i umiera. Trafia do nieba i wściekła wyrzuca Bogu:

– Powiedziałeś, że będę żyć jeszcze długo. I co?

Bóg przygląda się jej uważnie i odpowiada:

– Nie poznałem cię!

Kiedy pierwszy raz usłyszałam tę historię, śmiałam się z jej bohaterki, ale z siebie jeszcze nie. Musiało minąć kilka rekolekcji, zanim zrozumiałam prawdziwy sens tej opowieści.

Od czasu do czasu nachodzi mnie ochota, żeby pożyczyć sobie czyjeś życie. Rzucam okiem na jakąś kobietę i marzę, by znaleźć się w jej skórze. Przyglądam się swojej i porównuję ją ze skórą tej kobiety. Tamta wygląda na ładniejszą, bardziej seksowną i zdecydowanie wygodniejszą. Oczywiście nie mam pojęcia, jak ona czuje się w swojej skórze, wydaje mi się tylko, że ja czułabym się w niej świetnie.

Zestawienie dogłębnej wiedzy o sobie z powierzchowną wiedzą o innych często wypada na naszą niekorzyść. Jednak od czasu do czasu los uświadamia mi bezceremonialnie, że tak naprawdę moje problemy to najlepsze, co mnie w życiu spotkało.

Kilka lat temu uczestniczyłam w jakiejś imprezie wraz z setkami ważnych ludzi z Cleveland. Czułam się onieśmielona towarzystwem potężnych burmistrzów, kongresmenów, biznesmenów i sędziów. Miałam wrażenie, że nigdy nie będę równie mądra, bogata i wpływowa jak oni.

Jedna z sędzin podeszła, żeby ze mną porozmawiać. Ta wysoka, szczupła i piękna blondynka była wschodzącą gwiazdą w środowisku sędziowskim. Zapytała, czy mam dzieci. Wyciągnęłam z portfela zdjęcie córki w sukni ślubnej. Sędzina przyglądała się zdjęciu Gabrielle siedzącej obok mnie w chmurze białego tiulu. Oczy zasłzy jej łzami.

– Ja nie mam dzieci – wyszeptała. – Pięć razy poroniłam. Tak bardzo marzyłam o dziecku. To musi być wspaniałe mieć córkę.

Przyłożyła to zdjęcie do policzka i przymknęła oczy, jakby chciała przesiąknąć istotą

macierzyństwa: nosiła je w sobie, lecz nie mogła go doświadczyć.

Zawsze, gdy patrzę na to zdjęcie, na nowo przeżywam swoje szczęście.

Większość z nas chodzi po świecie nieświadoma darów, jakie otrzymaliśmy od losu, dopóki nie zobaczymy problemów, z którymi borykali się inni. Mój przyjaciel Michael Brittan, znany prokurator, jest chyba najszczęśliwszym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu. Niektórych wręcz irytuje jego dobry nastrój. Stale się uśmiecha, chwali innych, w każdej trudnej sytuacji potrafi zobaczyć dobre strony, zachwyca się każdym przejawem piękna, jaki dostrzeże. Jest niczym robaczek świętojański. Biję od niego blask.

Ci, którzy go nie znają, widzą garnitur i krawat i zakładają, że zawsze żyło mu się łatwo i wygodnie. Nie mają pojęcia o jego przeszłości. Ojciec Michaela był na bakier. z prawem Zajmował się hazardem i pracował dla miejscowej mafii irlandzkiej, zwanej Celtic Club. Włoska i irlandzka mafia prowadziły ze sobą wojnę w Cleveland. Ojciec Michaela zastrzelił człowieka podczas gry w pokera o wysoką stawkę tydzień przed tym, nim Michael rozpoczął studia prawnicze. Wciąż studiował, kiedy jego ojciec został zamordowany kilka miesięcy po wyjściu z więzienia. To nie powstrzymało Michaela. A właściwie zmotywowowało go jeszcze mocniej.

Michael został prawnikiem, a wiele lat później – prezesem Rady Adwokackiej w Cleveland. W ramach wolontariatu opowiada uczniom szkół w Cleveland o ich prawach, obowiązkach i realiach, w jakich żyją. W szkołach w biednych dzielnicach promuje przestrzeganie prawa i pomaga uczniom skończyć szkołę średnią. Przekonuje ich, że właściwe podejście, sprecyzowany cel i gotowość do ciężkiej pracy mogą zaprowadzić ich do sukcesu. Mimo że w czasie studiów życie Michaela przypominało chaos – proces ojca o morderstwo, ojciec w więzieniu, potem śmierć ojca – on wyznaczył sobie cel, ciężko pracował i ukończył studia z najlepszym wynikiem.

Jak to się dzieje, że jakiś bogaty białas w garniturku i pod krawatem potrafi dotrzeć do biednej czarnej młodzieży? Michael rozumie ból, niepokój, strach i niepewność, z którymi żyje wielu z nich, ponieważ jego ojciec był przestępcą. Cierpiał tak samo jak oni.

Na świecie jest wielu ludzi takich jak Mike. Podczas corocznych weekendowych rekolekcji w jezuickim domu rekolekcyjnym w Cleveland stale przekonuję się, że wszyscy jesteśmy poranieni, a każdy w inny sposób. Gdy oglądam blizny innych, z wdzięcznością myślę o moich.

Kiedyś przyjechałam na rekolekcje świeżo po kolejnym ciosie od życia. Spacerując po dwudziestohektarowym terenie, zobaczyłam łanię kuśtykającą przez las. Miała gładkie futro w kolorze orzecha, stąpała powoli i ostrożnie. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że idzie na trzech nogach. Jedna z przednich kończyn była złamana i wisiała beładnie.

Ścisnęło mi się serce. Modliłam się, żeby nie czuła bólu. Stałam tam i płakałam z żalu nad losem tej łani. Wydawała się taka bezbronna. Nazwałam ją Bernadette i modliłam się za nią przez cały weekend. Nie rozróżniałam pozostałych łani, ale tę zapamiętałam na zawsze. Poznam ją po złamanej nodze, po jej ranie.

Idąc dalej przez las, nie mogłam przestać myśleć o jej cierpieniu. I wtedy zrozumiałam. Sama często czuję się równie poraniona w środku. Właśnie po tym rozpoznaje nas Bóg – po naszych ranach.

Święty Augustyn napisał kiedyś: „W moich najgłębszych ranach widzę Twoją łaskę, która mnie olśniewa”. Dla Boga to nie są wcale rany, tylko dary.

Ktoś kiedyś powiedział, że Bóg objawia się nam pod postacią naszego życia. W tym całym

bałaganie, problemach i wadach, których chcielibyśmy się pozbyć, o co błagamy Go w modlitwach. Cytat z Thomasa Mertona wklejony do mojego kalendarza przypomina mi o tym, że jestem doskonała ze wszystkimi swoimi niedoskonałościami.

Merton był mnichem trapistą, poetą i działaczem społecznym. Zmarł w 1968 roku, spędziwszy większość życia na modlitwie i kontemplacji w opactwie Gethsemani w stanie Kentucky. Uważał, że każdy człowiek ma niepowtarzalne przeznaczenie, konkretną misję, którą tylko on może wypełnić. Bóg nie powierzył tego zadania nikomu innemu i już nikomu go nie powierzy. Tę wyjątkowość opisuje według mnie prorok Izajasz, który mówi w Biblii, że Bóg wezwał nas do siebie z łona naszych matek, ukształtował każdego człowieka w niepowtarzalny sposób i nigdy o nas nie zapomni. Wrył nasze imiona, twoje i moje, na Swoich dłoniach.

Muszę obdarzyć Boga tym, czego nie może dostać od nikogo innego: podarować mu samą siebie.

Gdybym porównała swoje problemy z innymi, naprawdę zostałabym przy własnych, nie dlatego, że są mniejsze, lecz dlatego, że są moje. To moje nauczki. Moje zaszczyty. Moje dary.

Lekcja 41

Nie bądź wolnym słuchaczem życia. Uczestnicz w nim aktywnie i wykorzystuj w pełni każdy moment

Leslie Hudak miała własną teorię na temat nastolatków. Uważała, że każdy przychodzi na świat z pewną liczbą żetonów. Dorastając, niektóre dzieci tracą żetony przez obelgi, krytykę i złe metody wychowawcze. Jako nastolatki, muszą oszczędzać te, które im zostały, więc nie mogą ryzykować porażki ani obdarzyć nikogo zaufaniem.

Leslie była nauczycielką angielskiego w szkole średniej i za cel postawiła sobie dać dzieciom więcej żetonów. Kupiła puszkę złotej farby w sprayu i zrobiła żetony na własnym podjeździe. Rozdawała te złote monety młodzieży ze szkoły średniej Kent Roosevelt, w której uczyła się moja córka. Leslie skupiała się na dzieciach z problemami, a więc na tych, które najbardziej potrzebowały motywacji. Im większy był ich zapas żetonów, tym większe mogły podjąć ryzyko.

Zgłosić się na przesłuchanie do sztuki teatralnej. Zapisać się do drużyny sportowej. Zaprosić kogoś na bal. Marzyć o czymś wspaniałym.

Najbardziej ryzykowała sama Leslie. Mogła po prostu wykonywać swoją pracę nauczycielki i co wieczór wracać do domu w poczuciu spełnionego obowiązku. Zamiast tego żyrowała uczniom pożyczki na samochód. Kupowała im lunch. Pomagała płacić czynsz. Oddała swój stary samochód uczniowi, który go potrzebował, żeby dojeżdżać do pracy. Kiedy jeden z chłopców chciał zgłosić się do drużyny skoczków o tyczce, Leslie obejrzała filmy o tej dyscyplinie i została jego trenerką.

Potrafiła wpaść do ucznia z bukietem kwiatów, żeby mu podziękować, zapraszała do siebie mnóstwo osób na spaghetti, przynosiła koszyczki wielkanocne i worki prezentów gwiazdkowych dzieciom, które nie miały nic.

Udekorowała toaletę dziewcząt, żeby przestały palić w szkole. Przez cały weekend przyklejała kwiecistą tapetę, malowała ściany i rozkładała koszyczki z darmowymi lakierami do włosów, tamponami, kremami do rąk i cukierkami. Podziałało. Dziewczynom spodobały się zmiany, które wprowadziła, i zaczęły pilnować porządku w łazience. Już nikt nie ośmielił się tam zapalić.

Kiedy poznawała historię życia niektórych nastolatków, zapełniała ich lodówki jedzeniem, uczyła dziewczęta robić pranie i trzymała za rękę uczennice, kiedy rodziły dzieci, nie mając ani partnera, ani rodziców do pomocy.

W dniu ślubu to właśnie Leslie była przy nich, pomagając włożyć suknię dziewczynom, których mamy nie zdążyły z nimi świętować. Wierzyła w ich marzenia. Jedna z dziewcząt chciała zostać piosenkarką, więc Leslie dała jej trochę pieniędzy na nagranie płyty.

Ta uczennica zaśpiewała *Amazing Grace* na jej pogrzebie. Leslie zginęła w wypadku samochodowym, wracając pewnego zimowego dnia ze szkoły. Miała pięćdziesiąt osiem lat. Na pogrzeb przyszły tysiące osób. W nekrologu wśród najbliższej rodziny wymieniono ucznia, którego Leslie adoptowała dziesięć lat wcześniej, chłopca, który wychowywał się w domach zastępczych, a kiedy skończył osiemnaście lat, nie miał dokąd pójść.

Na pogrzebie każdy miał do opowiedzenia jakąś historię o Leslie. Żałobnicy wspominali, że

rzucała landrynki budowlańcom, zagadywała znudzonych kasjerów w bramkach autostrad i obdarowywała zmęczone kelnerki medalikami z wizerunkiem anioła.

Raz zdenerwowała się, że uczniowie z opóźnieniem składają prace semestralne, więc włożyła różową suknię, diadem i wystąpiła przed klasą jako księżniczka Leniucholandii. Kiedy indziej dowiedziała się, że grupa chłopców wybiera się na polowanie, dlatego zaprosiła całą dwudziestkę do domu, nakarmiła ich i kazała obejrzeć film *Bambi*.

Leslie uczyła wszystkich w swoim otoczeniu, żeby nie traktowali życia jak fakultet. Na nieobowiązkowych zajęciach uczniom nie zależy na zaliczeniu, więc rzadko się na nich pojawiają i nie dają z siebie wszystkiego. Leslie pokazała, jak nadać swojemu życiu sens i żyć tak, jakby każda chwila miała znaczenie, a każde spotkanie było istotne.

Mogła dać się zaszufladkować jako nauczycielka i zadowolić się pracą w szkole. Ale wtedy zdradziłaby samą siebie i wszystkie te dzieci. Przed takim wyborem stoi każdy z nas. Możemy pozwolić, by nas zaszufladkowano na podstawie naszej pracy, dochodu, wykształcenia czy ilorazu inteligencji. Albo poszerzyć tę szufladkę lub całkiem się z niej uwolnić.

Leslie się to udało i zaszła wyżej i dalej niż większość z nas. Oddała innym swoje życie. Przez wiele lat ślęczała do drugiej nad ranem, oceniając prace uczniów. Jej córka, Megan, powiedziała mi:

– Wydaje mi się, że mama ostatni raz oglądała telewizję jakieś dziesięć lat temu. Każdemu oddawała część siebie, ale nigdy nas nie zaniedbała.

Jej uczniowie, w tym również moja córka, chwalili ją jako przyjaciółkę, nauczycielkę, matkę z największym sercem na świecie. Kiedy ostatni raz widziałam się z Leslie, powiedziała mi:

– Zawsze mnie smuci, kiedy ludzie spodziewają się po innych tego, co najgorsze, zamiast tego, co najlepsze. Czasem nie doceniamy młodości.

Każdego dnia stawiała na młodych ludzi i wygrywała. A oni razem z nią.

Lekcja 42

Pozbądź się wszystkiego, co nie jest pożyteczne, piękne lub radosne

Wyrzucanie czegokolwiek jest wbrew mojej naturze. Moi rodzice wychowywali się podczas Wielkiego Kryzysu, dlatego wszystko chomikowali. Zaznawszy biedy w dzieciństwie, nauczyli nas nigdy niczego nie wyrzucać. Garaż taty był świątynią gospodarności, piwnica mamy – kaplicą oszczędności. Dziurawe skarpety? Przydadzą się na szmaty. Poplamione koszule? Można je nosić pod swetrem. Dżinsy z przetartymi kolanami? Nadadzą się na szorty.

Wystarczy otworzyć moją szafę, żeby się przekonać, że jestem ich nieodrodną córką. Chciałabym zrobić tam porządek, ale powstrzymują mnie przed tym wszystkie dawne Reginy, na które natykam się między wieszakami.

Regina sportsmenka nie potrafi się rozstać z nakolannikami, butami siatkarskimi, łyżworolkami, łyżwami i całą kolekcją staników sportowych, które utwierdzają ją w przekonaniu, że wciąż ma szansę na karierę sportową, choć nie zrobiła jeszcze żadnego kroku w tym kierunku.

Modna Regina ma czarną spódniczkę z lycry, która wygląda wspaniale przez pierwsze trzy godziny. Rozciąga się odpowiednio, żeby pomieścić siedzenie – niestety, nie ściąga się z powrotem, więc kiedy wstaje, wygląda jakby schowała pod spódnicą dwóch pierwszoklasistów.

Młodsza Regina wyglądała świetnie w stroju cheerleaderki, czyli szarej, plisowanej z przodu mini. Czas się pożegnać z nią i z butami za osiemdziesiąt dolarów na dwunastocentymetrowym obcasie, w których ma wrażenie, jakby chodziła na szczydach po lodzie.

Seksowna Regina jest przekonana, że kiedyś będzie wyglądała identycznie jak kobieta z billboardu z reklamą bielizny, jeśli tylko włoży czarny usztywniany biustonosz albo czarną elastyczną halkę, w której musi być na wdechu.

Nostalgiczna Regina zachowuje wszystkie przedmioty, z którymi wiąże się jakaś historia, na przykład czapeczki baseballowe dla panny młodej i pana młodego, które dostaliśmy w prezencie ślubnym. Czy możemy je jeszcze nosić? Przecież nadal czujemy się jak nowożeńcy. Albo jaskraworóżową tunikę, którą miałam na sobie, gdy poznałam mojego przyszłego męża. On twierdzi, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Dzięki Bogu, miłość jest ślepa.

W końcu Regina realistka przejmuje stery i postanawia, że czas pozbyć się wszystkiego, czego nie założyłam od pięciu lat. Układam stertę rzeczy do oddania. Góra ubrań rośnie. Po wszystkim czuję się jak nowo narodzona. Uporządkowałam swoje życie. A przynajmniej szafę.

Kilka lat później wzięłam się za cały dom, bo nasze rupiecie namnożyły się niekontrolowanie i zaczynało brakować miejsca dla nas. Święty Benedykt napisał kiedyś, że nieużywane ubrania, które trzymamy w piwnicach, na strychach i w szafach, należą do biednych. Nie jestem pewna, czy biedacy marzyli o dziesiątkach różowych koszulek, które zebrałam przez lata marszów na rzecz walki z rakiem piersi, ale i tak je im przekazałam.

Przez trzy miesiące pracowałam jak oszałała, odgruzowując dom od góry do dołu. Zaczęło się od tego, że wyrzuciłam dwa paskudne krzesła: musztardowożółte krzesło biurowe oraz krzesło stołowe w stylu wczesnoamerykańskiej brzydoty. Kiedy postawiłam je obok śmietnika do wywiezienia,

zauważyłam, że sąsiedzi urządzają w domu wyprzedaż z okazji przeprowadzki.

Widząc, że mam potencjalnych nabywców, wystawiłam przed dom wszystkie rupiecie z piwnicy. Stary stolik kawowy, świetlik dachowy, fotel bujany, wieżę stereo i zabytkową zieloną marmurową lampę, którą kiedyś sama zgarnęłam sprzed czyjegoś domu. Wystarczyło zamontować kabel z wtyczką, żeby móc z niej korzystać, ale przeleżała rok w piwnicy i nikt się do tego nie zabrał, więc trafiła na wyprzedaż.

Lampę natychmiast złapał mój sąsiad. Piętnaście minut później stała już przy jego śmietniku. Żona nie wpuściła go z nią do domu. Okazuje się, że czasem rupieć nie zasługuje na drugie życie.

Wyrzuciłam rękawiczki i skarpetki bez pary, nadgryzione przez mole kapelusze i szale, świece, które stopiły się w piwnicy, i materiał na sukienkę, który dwadzieścia lat wcześniej przypięłam szpilkami do wykroju. Nawet nie wyciągnęłam z niego szpilek.

Przeglądając dobytek, zadawałam sobie cztery pytania: Czy to mi się jeszcze przyda? Czy to mi się jeszcze podoba? Czy to wzbogaca moje życie? Gdybym mogła to dostać za pół darmo na wyprzedaży garażowej, czy chciałabym to mieć? To ostatnie pytanie było decydujące. Prawie wszystko poszło do wyrzucenia.

Wystawiłam swoje rzeczy przed dom, a nieznajomi je stamtąd zabrali. Do południa nie było po nich śladu. Teraz dom wydawał się gotowy. Na co? Byłam pewna, że wkrótce się przekonam.

Dzięki takim porządkom uwalniamy się od przeszłości. Na co robimy miejsce? Na nowe sposoby spędzania wolnego czasu, nową miłość, nowe pomysły i nowy spokój ducha. Na nowe zainteresowania, nowych przyjaciół, nowe cele. Kiedy pozbędziesz się nadmiaru rzeczy, będziesz mógł cieszyć się istotą życia, wszystkim, co piękne i ważne, co wzbogaca twoje życie.

Kiedy wreszcie pożegnasz się z osobą, którą byłeś kiedyś, odkryjesz osobę, którą jesteś dziś, i osobę, którą chcesz się stać.

Lekcja 43

Ostatecznie liczy się tylko to, że kochałeś

Przez wiele lat zmagalam się z Bogiem.

Zawsze rozkładał mnie na łopatki, ale i tak wracałam na ring na kolejną rundę.

Pomiędzy starciami udawałam, że jestem pobożna i ze wszystkich sił staram się przestrzegać reguł, tylko po prostu mi nie wychodzi. Niektórym Bóg przypomina Świętego Mikołaja. Mnie kojarzył się z potworem z bajek dla niegrzecznych dzieci.

Moje zatargi z Bogiem mają długą historię. Sięgają okresu prenatalnego. Czułam się jak ten poeta, który napisał: „Urodziłem się w dniu, gdy Bóg wziął sobie wolne”. Kiedyś uważałam, że Bóg nic nie wie o moich narodzinach. Przeszły niezauważone, a ja przez resztę życia usiłowałam bezskutecznie zwrócić na siebie Jego uwagę.

Dotyczyło to oczywiście chwil, w których nie byłam śmiertelnie przerażona, czyli jakiejś półgodziny dziennie, jeśli miałam dobry dzień. A te zdarzały się rzadko.

Nasz konflikt uświadomiłam sobie już w szkole katolickiej, którą ochrzciłam mianem obozu dla rekrutów. Pierwszy rok z mojej ośmioletniej służby w Szkole Niepokalanego Poczęcia w Ravennie w stanie Ohio wzbudził we mnie takie przerażenie, że pewnego dnia przyszłam do domu na lunch i błagałam mamę, żeby nie kazała mi tam więcej wracać. Pierwszą klasę uczyła dziewczyna, która miała pewnie niewiele ponad dwadzieścia lat i nigdy nie chciała zajmować się grupą czterdzieściora sześciorga dzieci, które nie potrafiły zawiązać sznurówek, wytrzeć nosa ani policzyć do dwudziestu. Siostra P. była okrutna. Zamiast świętych obrazków powinniśmy byli dostawać ordery za rany odniesione na polu bitwy. Kiedy jakaś uczennica niechcący podarła okładkę swojej książki do fonetyki, Siostra P. wrzasnęła na nią i uderzyła ją tak mocno, że dziewczynka wypadła z ławki na podłogę. Gdy któryś uczeń zmoczył się w spodnie, musiał siedzieć na korytarzu w bieliźnie. Kiedy mieliśmy problemy ze zrozumieniem, na czym polega dodawanie i odejmowanie, wydzieraa się na nas i wyzywała od diabłów. Pewnego razu wytarłam zakatarzony nos w rękaw białej bluzki. Za to wykroczenie przed całą klasą nazwała mnie świnią.

Miałam zaledwie sześć lat.

Tak wyglądały moje pierwsze kroki w szkole. Nie chodziłam wcześniej do przedszkola. Rodzice mnie nie zapisali.

W drugiej klasie uczyła nas miła zakonnica. Siostra Dismas była zawsze przyjazna i uśmiechnięta. Ale rok później, w trzeciej klasie, pojawiła się siejąca postrach siostra D. Pierwszego dnia szkoły mieliśmy obłożyć książki w papierowe torebki. Nie potrafiłam tego zrobić, więc dostałam od niej po głowie. Książką, nie torebką. Przez dwa kolejne lata Bóg się nade mną litował, zsyłając mi kilka świeckich nauczycielek: słodką panią Adkins w czwartej klasie, a w piątej sympatyczną panią Plumstead, która zawsze miała miętowy oddech. Za to w szóstej klasie znów się zaczęło. Siostra E. prawie udusiła jedną z uczennic podczas przerwy na lunch. Dziewczynka już nie wróciła do naszej szkoły. W siódmej klasie niegrzeczni chłopcy musieli za karę stać przed nami z rękami wyciągniętymi w bok, a pan S. kładł im na dłoniach kolejne tomy encyklopedii, dopóki ich śmiech nie zamienił się

we łzy. Pewnego dnia płakałam, a on kazał mi na siebie spojrzeć. Nie mogłam tego zrobić, bo z nosa ciekły mi smarki. Wrzasnął wtedy, żebym wyrosła.

Jeśli któraś z nas zapomniała zabrać do kościoła kapelusza albo chustki, zakonnice szpilkami upinały jej na głowie papier toaletowy, jakby ten widok obrażał Boga mniej niż nasze włosy. W kościele czekała już na nas klaszcząca Siostra B. Na pierwsze klaśnięcie musiałyśmy przyklęknąć na jedno kolano. Na drugie wstać i usiąść w ławkach. Za nieposłuszeństwo dostawałyśmy po głowie.

Gdzie w tym wszystkim było miejsce dla Jezusa? Jezus występował tylko jako bohater pewnej historii. I to przerażającej historii. Bóg kochał nas tak bardzo, że posłał Swojego Syna, by nas zbawił. Ale ten rzekomo kochający ojciec pozwolił, żeby Jego jedyny Syn wisiał na deszczu przybity gwoździami do krzyża, mając na sobie jedynie łachmany i koronę cierniową. Wiesz co, Boże, to ja dziękuję, postoję.

Jak sobie zjednać takiego Boga? I kto chciałby w Niego wierzyć? Jezus był tylko postacią, omawianą na lekcjach, a Jego Ojciec wydawał mi się tyranem, który nigdy nie będzie ze mnie zadowolony.

A potem poznałam Joe.

Początkowo wzięłam go za ogrodnika. Tego dnia nie włożył koloratki i nie wyglądał na księdza jezuity, ani żadnego innego księdza, skoro już o tym mowa. Stał w drzwiach domu rekolekcyjnego w czerwonej flanelowej koszuli i spodniach roboczych. Miał wielki haczykowaty nos, na którym można by zawiesić płaszcz, i wydatne kości policzkowe. Plecy miał tak krzywe, że nie mógł usiąść wygodnie na krześle ani spać na plecach. To był ojciec Joseph Zubricky, garbus z Jezuickiego Domu Rekolekcyjnego.

Stał się światłem mojego życia.

Joe opowiedział nam, czym jest dla niego Bóg, którego nazywał Jezusem. Tyle że ten Bóg w niczym nie przypominał tyrana, o którym dotąd słyszałam. Joe był zakochany w Bogu i wiedział, że Bóg jest zakochany w nim. Nie pozwolił, by religia mu w tym przeszkodziła. Joe, jedno z najdziwniejszych Bożych stworzeń, Joe, który miał wszelkie powody, by uskarżać się na swój los, na wszystkie dwieście sześć powykęcanych kości, czuł tylko miłość.

Po wykładzie dopadłam go na korytarzu. Pozwolił, bym wyrzuciła z siebie wszystkie żale, wszystkie zarzuty wobec Kościoła, wątpliwości, kim był lub nie był Jezus, całą wściekłość na zakonnice, Kościół i Boga. Czy istnieje takie miejsce jak otchłań? A czyściec? Jak mam uwierzyć, że papież, zwykły człowiek, jest nieomylny? Joe tylko się uśmiechał. Nie miał zamiaru się ze mną kłócić. Zaczekał cierpliwie, aż skończę swoją tyradę.

Powiedział, że zasady, dogmaty i hierarchia kościelna nie mają żadnego znaczenia. Widział moje rozdrażnienie, ale jego ciepłe brązowe oczy rozbłysły tym światłem, które płynie z wnętrza człowieka. Uśmiechnął się jak zakochany mężczyzna.

– Posłuchaj... W ostatecznym rozrachunku Bóg zada ci tylko jedno pytanie: Czy kochałaś? Rozumiesz? Tylko to się liczy. Czy kochałaś?

Koniec dyskusji.

Koniec walki.

Bóg 6. Regina 0.

Rozłożona na łopatki. Przez miłość.

Lekcja 44

Zazdrość to strata czasu. Masz już wszystko, czego naprawdę potrzebujesz

Wujek Al umierał.

Lekarze zdiagnozowali zapalenie płuc, ale moim zdaniem to jego serce ostatecznie się poddało.

Wujek Al tęsknił za światłem swojego życia. Miał osiemdziesiąt jeden lat, z których większość przeżył kochając moją ciocię Chris. Nigdy nie przestał jej kochać, nawet wtedy, kiedy go zapomniała, bo Alzheimer zatarł wszystkie wspomnienia pięćdziesięciu sześciu wspólnie spędzonych lat. Śmierć nie zdołała ich rozłączyć. Kiedy umarła, wujek chodził po domu z jej zdjęciem. Rozmawiał z nią. Modlił się do niej. Śpiewał dla niej. Dzięki piosenkom czuł jej obecność.

Kiedy wujek Al trafił do szpitala z zapaleniem płuc, wpadłam na chwilę go odwiedzić. Weszłam po cichu na oddział specjalistyczny, gdzie miał dla siebie małe pokoiki. Jego ciało zajmowało tak niewiele miejsca na łóżku, że wprost ginęło w gąszczu rurek, monitorów i innych przyrządów. Leżał płasko na plecach, a obok niego siedziała jego córka. Wyglądała jak Chris z czasów młodości.

Gdy tylko się przywitałam, poderwał się, jakbym użyła defibrylatora. Rzadkie siwe rozczochrane włosy sterczały mu na wszystkie strony. Był tak chudy, że kości rysowały się pod szpitalną koszulą niczym ostre bagnety. Widziałam jego cierpienie i ból. Wujek miał urywany oddech i z trudem przełykał ślinę.

Ale jego umysł był w świetnej formie. Rozmawiał ze mną przez dwie godziny. Kiedy zaczął mówić, nie mógł przestać. Wujek Al uwielbiał opowiadać historie. Najbardziej o tym, jak poznał moją ciocię. Oświadczył się siostrze mojego taty podczas pasterki. Opowiedział mi o swoich wyprawach do Kalifornii, Nowego Jorku i Chicago. Pomiedzy opowieściami o kolejnych miastach z trudem nabierał powietrza. Córka stale prosiła, żeby zrobił sobie przerwę na uspokojenie oddechu.

Siedziałam na łóżku, rozkoszując się każdym szczegółem jego opowieści o minionych latach. Później zaczął śpiewać, prosząc, żebyśmy do niego dołączyły: „Przyjdź do mnie, przyjdź do mnie, który jesteś utrudzony, przyjdź do mnie” – zaśpiewał i uśmiechnął się.

Kiedy doszliśmy do końca piosenki, błagał jak małe dziecko:

– Zaśpiewajmy jeszcze raz.

Od czasu do czasu do sali wchodził lekarz lub pielęgniarka, żeby mu przypomnieć o wdychaniu tlenu. Wyrzucał ich z pokoju. Nie martwiło go, że umiera, nie chciał przedłużać sobie życia. Mój wujek był gotów odejść i dołączyć do swojej żony. Jego przysięga małżeńska sięgała dalej niż „póki śmierć nas nie rozłączy”.

– Miałem wspaniałe życie – powtarzał stale przez maskę tlenową. – Nikt nie miał lepszego życia niż ja.

To wspaniałe móc wypowiedzieć to zdanie na łożu śmierci.

Potrafić spojrzeć wstecz na swoje życie i być za nie wdzięcznym. Niczego nie żałować. Niczego sobie nie wyrzucać. Nie zastanawiać się, co by było gdyby.

Wuj Al wiedział, że szczęście to kwestia wyboru. Jak możesz osiągnąć szczęście? Pokochaj to, co już masz. Szczęścia nie da ci podwyżka, której pragniesz. Ani fundusz emerytalny, na który odkładasz

pieniądze. Ani willa czy mercedes, kupione za wygraną na loterii.

Badania wykazują, że więcej pieniędzy nie przyniesie ci więcej szczęścia. Nikt nie chce być biedny, ale gdy podstawowe potrzeby w zakresie pożywienia, dachu nad głową i wykształcenia zostaną spełnione, nadwyżka pieniędzy, którą możesz na siebie wydać, nie zwiększy twojej satysfakcji z życia.

Tak twierdzą badacze szczęścia – owszem, taki zawód naprawdę istnieje. Ekonomiści i psychologowie, którym płaci się za badania nad szczęściem, przygotowali raport opublikowany w magazynie „Science” w 2006 roku. Wykazał on, że ludzie o wyższych zarobkach wcale nie czują się szczęśliwsi. Czują za to większy niepokój i strach.

Mniej więcej w tym samym czasie w gazetach ukazał się raport, z którego wynikało, że posiadanie dzieci, zwierząt domowych i przejście na emeryturę nie wpływają na poczucie szczęścia. To twoje nastawienie – które sam wybierasz – decyduje o tym, czy czujesz się szczęśliwy.

Jak być szczęśliwym?

Eksperti dają następujące wskazówki: Bardziej ceń czas niż pieniądze. Medytuj i módl się. Pogódź się ze swoją przeszłością. Poświęcaj więcej czasu na spotkania z przyjaciółmi. Rozkoszuj się każdym dniem, każdą chwilą, każdym ciasteczkiem Oreo. (No dobrze, przyznaję – ostatnia wskazówka pochodzi ode mnie).

Dawniej ludzie szukali odpowiedzi na to pytanie u przewodników duchowych. Dziś idą do trenerów osobistych. Ja stawiam na mnichów. Wiele lat temu pojechałam na rekolekcje do opactwa Gethsemani. Pewien mnich wywiesił tablicę przed salą, w której miał wygłosić krótki wykład. Wypisał na niej trzy pytania i udzielił na nie odpowiedzi:

Kim jestem?

Dzieckiem Bożym.

Czego mi potrzeba?

Niczego.

Co mam?

Wszystko.

To wyczerpuje temat.

Kto żyje według tych zasad? Zbyt niewielu z nas. Wspaniały przykład takiego życia dawał Mychal Judge, popularny ksiądz rzymskokatolicki, który zginął w atakach z 11 września. Jego przyjaciel, ojciec Michael Duffy, zakonnik z Filadelfii, wspominał w mowie pogrzebowej:

Nieraz mówił do mnie:

– Michaelu Duffy – bo zawsze zwracał się do mnie imieniem i nazwiskiem. – Michaelu Duffy, czy wiesz, czego mi potrzeba?

Czułem wtedy przypływ adrenaliny, bo tak trudno było znaleźć dla niego prezent czy cokolwiek innego. Odpowiadałem:

– Nie wiem. Czego?

– Wiesz, czego mi naprawdę potrzeba?

– Nie. Czego, Mike?

– Absolutnie niczego. Nie potrzebuję niczego na tym świecie. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Tak jak mój wujek. Czy ci mężczyźni byli szczęśliwi dlatego, że mieli wszystko? Czy dlatego, że niczego nie potrzebowali? Obie odpowiedzi są prawdziwe.

Szczęście nie polega na tym, żeby zdobyć to, czego pragniesz. Polega na tym, żeby pragnąć tego, co już masz.

Mój wujek Al miał wszystko, bo pragnął tylko tego, co już miał. Na pogrzebie zaśpiewaliśmy mu jego ulubioną piosenkę: „Wszyscy utrudzeni przyjdźcie do mnie”. Wszyscy się uśmiechaliśmy. Nie potrafiliśmy go opłakiwać. Wiedzieliśmy, że jest szczęśliwy – bo on zawsze był szczęśliwy.

Lekcja 45

Najlepsze jeszcze przed nami

Słyszałam kiedyś o matce, która miała w zwyczaju przyrządzać wspaniały posiłek, patrzeć jak domownicy rozkoszują się każdym kęsem, a potem, zanim zdążyli sprzątnąć ze stołu, oznajmiać:

– Nie tak szybko. Najlepsze jeszcze przed nami.

Miała na myśli deser. Tak samo można podchodzić do życia.

Przez większość życia rzadko spodziewałam się deseru. Kiedy dorastałam, deser pojawiał się w święta albo na urodziny, rzadziej po obiedzie w zwykły dzień tygodnia. Podstawą naszych posiłków były mięso i ziemniaki. Zawsze ziemniaki.

Tata kupował je w ponad czterdziestokilogramowych workach, a mama robiła, co w jej mocy, żeby wyczarować z nich ciekawe dania dla jedenaściorga dzieci. Tata zapewniał nam dach nad głową, mama – czystą pościel i trzy pełne posiłki. Nie otulała nas do snu, nie śpiewała nam kołysanek, nie rozpieszczała nas. Niewiele było czasu, żeby ją poznać.

Kiedy masz dużo rodzeństwa, jesteś kochany jako część grupy. Gdy musisz dzielić się mamą z pięcioma siostrami i pięcioma braćmi, związek z nią jest inny. Nie miałyśmy na tyle bliskiej relacji, żeby urządzać wspólne wypadki na zakupy. Nie kumplowałyśmy się ze sobą jak wiele matek i córek. Nasz związek był na tyle pogmatwany, że po niemal pięćdziesięciu latach bycia jej córką wciąż usiłowałam go zrozumieć. Nie byliśmy sobie wrogie. Byliśmy sobie obojętni.

Nigdy nie połączyła nas taka więź, za jaką inne kobiety tęsknią po śmierci swoich matek. Przez wiele lat kochałam ją dość nieporadnie. Byłam już wówczas dorosła, więc winę ponosiłam ja, a nie ona.

Z jednej strony, chciałam to naprawić. Z drugiej, przestało mi na tym tak bardzo zależeć. Kilkadziesiąt lat czekałam, aż mama zrobi pierwszy krok. Na tym czekaniu upłynęła mi większość życia. Czy to ja miałam poprawić nasze relacje? A może ona? Tak naprawdę nic się między nami nie zepsuło. Po prostu nasza więź nigdy się w pełni nie rozwinęła.

Przez te wszystkie lata pytałam o to innych ludzi: terapeutów, przewodników duchowych i mnichów na rekolekcjach. Opowiadałam, że nic nas nie łączy. Wszyscy dawali mi tę samą radę: zaakceptuj to. Nie musisz mieć bliskiej relacji ze swoją mamą.

Ale wszyscy inni mają. Czy i my mogłybyśmy się jeszcze do siebie zbliżyć?

Moja przyjaciółka Suellen zaproponowała, żebym spisała listę rzeczy, za które jestem wdzięczna mamie. Rada w stylu Oprah Winfrey, pomyślałam. Suellen powiedziała, że efekty będą imponujące.

– Skup się wyłącznie na tym, co zawdzięczasz mamie, i wypisz wszystko, nawet najdrobniejsze sprawy – poradziła.

Zacęłam od wdzięczności za to, że dała mi życie, wikt i opierunek. Na tym skończyły mi się pomysły. Urodziła po mnie jeszcze tyle dzieci – sześcioro – że w tym całym zamieszaniu straciła mnie z oczu.

Od czasu do czasu dopisywałam kilka punktów, ale lista wywoływała we mnie przede wszystkim frustrację, bo uświadamiała mi boleśnie, czym nie jest dla mnie moja mama. W końcu przestałam nad

nią pracować.

Zbliżały się urodziny mojej mamy. Okrągła, siedemdziesiąta piąta rocznica. Moja siostra urządzała wielkie przyjęcie w Columbus. Ja miałam za zadanie przywieźć mamę, czyli jechać z nią samochodem przez dwie i pół godziny. Na samą myśl cierpła mi skóra. O czym miałybyśmy rozmawiać przez tyle czasu? W pewnym sensie byliśmy sobie obce. Nie wiedziałam nawet, co jej kupić. Nie miałam pojęcia, jaką lubi biżuterię, ubrania czy muzykę. Dzień przed przyjęciem wciąż jeszcze nie wybrałam żadnego prezentu.

Więc podarowałam jej typowy prezent pisarza. Napisałam coś dla niej.

W noc przed przyjęciem wyciągnęłam zapomnianą listę i usiadłam do komputera. Nie położyłam się spać, dopóki nie wymyśliłam siedemdziesięciu pięciu rzeczy, za które kocham moją mamę. Wymieniłam całe rodzeństwo, więc na początek miałam już dziesięć punktów. Im dłużej pisałam, tym bardziej pustka w moim sercu wypełniała się najróżniejszymi wspomnieniami. Niektóre mnie rozśmieszyły, inne doprowadziły do łez. Kiedy skończyłam, była trzecia nad ranem. Wydrukowałam listę, zwinęłam ją i przewiązałam wstążką. Znalazłam jeszcze w internecie listę ważnych wydarzeń, które miały miejsce w 1930 roku, kiedy mama przyszła na świat, i ją też wydrukowałam. Potem zaprojektowałam bon na całodzienne zakupy i zapakowałam wszystko razem.

Następnego dnia kupiłam w sklepie z zabawkami małą plastikową koronę, po to by jubilatka mogła na jeden dzień zamienić się w Królową Matkę. Chciałam, żeby poczuła się wyjątkowo, ale nie wiedziałam, czy to się uda. Mama zawsze ciężko przechodziła swoje urodziny. Kiedy dorastaliśmy, tata dawał nam pieniądze, żebyśmy coś dla niej kupili, ale żaden prezent nie spełniał jej oczekiwań. Było tak, jakby urodziny budziły w niej jakiś tajemniczy żal, przez który nie potrafiła być szczęśliwa. Tliła się we mnie nadzieja, że przyjęcie okaże się udane, ale spodziewałam się raczej klapy. Martwiłam się, że niezależnie od naszych starań, nie będzie zadowolona ze swoich urodzin.

Bruce pojechał ze mną po moją mamę. Wciąż mieszkała w tym samym domu, w którym wszyscy się wychowaliśmy. Podczas długiej drogi do Columbus mój mąż podtrzymywał rozmowę. Pytał mamę o jej życie i sprawił, że się przed nim otworzyła.

Zacząła opowiadać historie, których nigdy wcześniej nie słyszałam. Mówiła, jak ciężko jej było dorastać na farmie z rodzicami imigrantami, którzy nie potrafili czytać ani pisać po angielsku. Jak ciężko jej było, gdy trzech bracia poszli na wojnę, zniknęli na wiele lat i nikt nie wiedział, co się z nimi dzieje. Jak ciężko jej było, gdy wyprowadziła się jej jedyna siostra. Tyle że ona nie używała słowa „ciężko”. Po prostu tak wyglądało jej życie.

Zanim dojechaliśmy do domu mojej siostry, zorientowałam się, jak niewiele wiem o kobiecie, która mnie urodziła.

Na przyjęciu włożyłam mamie na głowę zabawkową koronę i wszyscy mianowaliśmy ją naszą Królową Matką. Nosiła ją przez cały czas z takim uśmiechem, jakby naprawdę na ten dzień została władczynią. Porozmawialiśmy, zjedliśmy tort, a potem otworzyła prezenty. Moje rodzeństwo wiedziało, co jej się spodoba, jaka sukienka, bluzka czy książka.

Ja wręczyłam mamie zwój o życiu w 1930 roku. Zacząła wspominać. Urodziła się w roku, gdy Nancy Drew zaczęła rozwiązywać zagadki, Babe Ruth zarabiała osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, a Clarence Birdseye wynalazł mrożonki. W tym samym roku odkryto Plutona, a naukowcy

przewidywali, że do 2050 roku człowiek stanie na Księżycu.

Wszyscy się uśmialiśmy. Nagle coś we mnie wstąpiło. Zamiast wręczyć mamie listę z moimi podziękowaniami, rozwinęłam ją i odczytałam na głos:

„Siedemdziesiąt pięć lat!!! Wypełniłaś je wieloma darami. Dziękuję za nie Tobie, a Bogu za to, że dał mi Ciebie”.

Podziękowałam jej za to, że była gospodynią domową i poświęciła dla nas karierę, o której być może marzyła. Za to, że została z Tatą przez te wszystkie lata, kiedy kobiety w całym kraju rozwodziły się z mężami z błahych powodów.

Za to, że napełniała nasze koszyczki wielkanocne i udawała Wróżkę Zębuszkę. Za to, że w każde Święta Bożego Narodzenia tworzyła tak magiczny nastrój, że słyszeliśmy kopyta reniferów na dachu. Za to, że dostawaliśmy od niej pieniądze na prezenty pod choinkę dla siebie nawzajem, żebyśmy zrozumieli, że w tych świętach chodzi przede wszystkim o to, żeby dawać.

Za to, że nauczyła nas zmieniać pieluchy tak, żeby nie ukłuć dziecka, ani siebie. Za to, że znenacka zaczynała tańczyć polkę w salonie. Za to, że pokazała nam Perry’ego Como, The Mills Brothers i Mitcha Millera. I za najlepszą muzykę na świecie, gdy z zadowoleniem nuciła w kuchni.

Za domową zupę pomidorową, makowiec i kielbaski w cieście. Za wyszywane na szydełku ozdoby bożonarodzeniowe na nasze choinki i koce na nasze tapczany. Za to, że pozwalała nam oglądać *The Three Stooges* („Głupi, głupszy, najgłupszy”) każdego dnia.

Za to, że codziennie budziła nas do szkoły, czasem po pięć razy. Za jej piękny, a przez to niepodrabialny charakter pisma na każdym usprawiedliwieniu. Za to, jak się przejmowała, gdy któreś z nas zapomniało o szkolnym zadaniu, zerwało z chłopakiem, albo umawiało się z niewłaściwą osobą.

Za to, że pozwalała nam używać pustych butelek po płynie do zmywania naczyń jako broni w wodnych wojnach. Za to, że nie mieliśmy szlabanu nawet wtedy, kiedy odpaliliśmy sztuczne ognie w ogródku. Za to, że nie zawsze skarżyła na nas tacie.

Za to, że nauczyła nas nie stać przed otwartą lodówką, bo to nie klimatyzacja. Za to, że zносиła nasze ćwiczenia na pianinie. Za to, że myła nam głowę nad kuchennym zlewem, zanim zamontowaliśmy prysznic w łazience. Za to, że dzięki niej poznałam twórczość jej ulubionej felietonistki, Ermy Bombeck.

Za to, że leczyła nasze skaleczenia płynem Bactine i buziakiem. Za to, że otwierała nam drzwi o drugiej nad ranem i nie zadawała żadnych pytań do następnego ranka. Za to, jak się martwiła, kiedy któreś z nas zgubiło pracę domową albo zapomniało zabrać do szkoły drugiego śniadania.

Za to, że nie pozwalała nam biegać z nożyczkami, mieć wiatróвки ani przyklepać języka do zimnego metalu zimą. Za to, że dopilnowała, żeby żadne z jej dzieci nie trafił piorun i żeby nikt z nas nie oślepl od włosów wpadających w oczy ani nie wylądował na ostrym dyżurze w brudnej bieliźnie.

Za to, że nie wyrzuciła mnie z domu, kiedy dowiedziała się, że jestem w ciąży. Za to, że była przy mnie w szpitalu, kiedy zaczęłam rodzić. Za jej opiekę nad moją córką, kiedy ja przez wiele lat usiłowałam ułożyć sobie życie.

Za to, że każdemu z nas pomogła stać się najlepszą wersją siebie. Za to, że przebaczała nam nasze najgorsze zachowania. Za to, że modliła się za nas, kiedy nie wiedzieliśmy nawet, że potrzebujemy modlitwy. Za to, że wszystkich nas kochała jednakowo i nigdy nie dała po sobie poznać, że to mnie

kocha najbardziej.

Mama promieniała radością, a moi bracia i siostry dodawali kolejne punkty do listy. Te urodziny zamieniły się w festiwal miłości. Każdy z rodzeństwa dzielił się swoimi najpiękniejszymi historiami i wspomnieniami.

W drodze do domu mama mówiła niewiele.

Mój mąż puszczał z płyt kompaktowych ścieżkę dźwiękową jej życia: Franka Sinatrę, Nat King Cole'a, Ellę Fitzgerald.

Ja też głównie milczałam. Myślałam o tej kobiecie na tylnym siedzeniu. Nigdy nie widziałam w niej dziewczynki, która musiała tłumaczyć telegramy przysłane rodzicom, imigrantom z Czechosłowacji, zawiadamiające, że jej brat Chuck trafił do niemieckiego obozu jenieckiego, a jej brat Mike zachorował na malarię podczas misji zamorskiej. Kiedy skończyła dziesięć lat, została sama na wielkiej farmie z rodzicami, którzy nie znali Ameryki. Musiała się czuć bardzo samotna.

Tej niedzieli, kiedy odwieźliśmy ją do domu, mama wydała mi się nową osobą. Wyglądała jak ktoś inny, ktoś, kogo mogłabym poznać. Powiedziałam jej, że zobaczymy się jutro. *De facto* urodziny mojej mamy przypadały właśnie w poniedziałek, dzień po przyjęciu. Obiecałam zabrać ją wtedy na zakupy.

Ale w niedzielę późną nocą mój mąż trafił do szpitala po ataku kamicy nerkowej. Spędziłam z nim wiele godzin na ostrym dyżurze, dopóki nie przyjęto go na oddział. Miałam pretekst, żeby odwołać naszą wyprawę na zakupy. Mama by to zrozumiała. Może nawet by się tym nie przejęła. Ale wiedząc, ile razy przeżyła w życiu zawód, nie mogłam jej tego zrobić. Chociaż mnie kusiło. Po części dlatego, że mój mąż był w szpitalu, ale głównie ze strachu. Chciałam zachować nadzieję na nowy początek z tą kobietą, którą odwieźliśmy do domu. A co, jeśli zabiorę ją na zakupy i znów będziemy sobie boleśnie obojętne, jak dawniej?

Ale musiałam przyjść. Dałam słowo. Jechałam po mamę godzinę, zastanawiając się przez całą drogę, jak ja wytrzymam na tych zakupach. Nie znoszę centrów handlowych.

Kiedy po nią przyjechałam o dziesiątej, przywitała mnie przy drzwiach elegancko ubrana, z torebką dobraną do bluzki i sznurem pereł na szyi. Stolik kawowy w salonie zamieniła w mały ołtarzyk. Rozłożyła na nim ozdobną serwetkę i ustawiła kwiaty obok swojej urodzinowej korony i zwoju kartek z podziękowaniami. Na biurku leżał otwarty kalendarz.

Pod datą 15 sierpnia, w dniu swoich urodzin, wpisała na całej stronie tylko jedną rzecz: „Zakupy z Reginą”. Przełknęłam łzy wzruszenia i wstydu, że prawie odwołałam nasz wypad.

Poszłyśmy więc na zakupy. Poruszała się powoli, krążąc między wieszakami i oglądając każdą bluzkę od kołnierzyka aż po rąbek. Na początku się niecierpliwiłam. Czemu znalezienie ubrania zabiera jej tyle czasu? Aż wreszcie zrozumiałam: mamie było wszystko jedno, co kupi. Chciała po prostu spędzić ze mną trochę czasu. Więc zwolniłam. Zabrałam ją na lunch, a potem zawiozłam do dwóch kolejnych centrów handlowych. W ostatnim sklepie znalazła cały wieszak ubrań, które jej się spodobały. Kupiłam wszystkie, które na nią pasowały.

Zanim odwiozłam mamę do domu, namówiłam ją na deser. W końcu miała urodziny.

Usiadłyśmy w słońcu z lodami włoskimi, śmiejąc się i gawędząc. Dla przechodniów wyglądałyśmy jak matka i córka, które świetnie się ze sobą dogadują. Była piąta po południu. Spędziłyśmy razem cały dzień, tylko we dwie, pierwszy raz w moim życiu.

W drodze powrotnej wyznała mi, że rodzice nigdy nie obchodzili jej urodzin. W dzieciństwie jedyne przyjęcie urządzili jej przyjaciele, gdy kończyła szesnaście lat, bo dowiedzieli się, że ma urodziny.

Mama podziękowała mi za zakupy, lunch i deser. Brzmiała bardziej jak dziewczynka niż siedemdziesięciopięcioletnia kobieta, kiedy powiedziała:

– To najlepsze urodziny w moim życiu.

Lekcja 46

Nieważne, jak się czujesz: wstań, ubierz się i przyjdź, gdzie trzeba

Prawie w każdym miesiącu zdarza mi się taki dzień, kiedy nie mogę dojść ze sobą do ładu.

Dawniej winiłam za to hormony i zespół napięcia przedmiesiączkowego. Po pięćdziesiątce zaczęłam zrzucać winę na brak hormonów. Ale mężczyźni też miewają takie nastroje, więc to musi być po prostu ludzka przypadłość.

James Taylor, jeden z moich ulubionych piosenkarzy, śpiewa piosenkę pod tytułem *Something in the Way She Moves*. Jej tekst bardzo do mnie przemawia – opowiada o tym, że od czasu do czasu tracimy grunt pod nogami, a wtedy ogarniają nas myśli, w które lepiej się nie zagłębiać.

Miewamy je wszyscy. Każdy skrywa w głębi duszy swoje prywatne ruchome piaski, w których czasem tonie. W takich chwilach przyjaciele i rodzina muszą nas odnaleźć i przypomnieć nam o wszystkich dobrych rzeczach, jakie już nas spotkały i jakie nas jeszcze czekają.

Mnie najczęściej potrafi z nich wyciągnąć mój mąż, moja córka i kilkoro przyjaciół – ale nie zawsze. Kiedy mam naprawdę ciężki dzień, trudno mi nawet dać im znać, że tonę.

W tych najgorszych momentach zwracam się ku modlitwie. Muszę powtarzać najprostszą modlitwę, żeby chociaż wstać z łóżka. Czasami wystarczy jedno *Zdrowaś Mario*. Kiedy indziej muszę odmówić cały różaniec. Przeglądam swój duchowy arsenał i wybieram *Ojcze nasz* albo *Modlitwę o cierpliwość*. Biorę z szafki nocnej Biblię, która sama otwiera się na Ewangelii według św. Jana, a mój wzrok pada na wers „Niech się nie trwoży serce wasze”. Często pomaga mi modlitwa autorstwa Thomasa Mertona. Na początku przyznaje on Bogu, że jest zagubiony, nie widzi przed sobą drogi i nie ma pojęcia, dokąd zmierza. Znam to uczucie.

Kiedy i to nie pomaga, kartkuję Psalterz, książki do medytacji i czytam sentencje. Przeglądam całą biblioteczkę, dopóki nie poczuję ulgi. Jeśli sama nie mam dość siły, energii lub woli, by szukać oparcia w Bogu, proszę Go prosto z mostu, żeby mnie wspierał. A właściwie nie proszę, tylko mówię Mu:

– To jeden z tych dni, Boże. Jest mi ciężko, bądź przy mnie.

Ktoś kiedyś powiedział, że modlitwa to więcej niż słowa. To twoje nastawienie, podejście do życia. Kiedy się modlisz, blokujesz całym ciężarem drzwi swej duszy, żeby powstrzymać nacierające demony, i trwasz na posterunku, dopóki nie odejdą.

Przez te wszystkie lata opracowałam prosty plan ratunkowy, przydatny w razie nadciągającej chandry:

Przygotuj listę alarmową osób, które rozumieją, jak się czujesz. Nie wpisuj na nią nikogo, kto powie ci, żebyś wziął się w garść albo poda ci dwadzieścia sposobów na to, jak uciec z chandry w pracoholizm. Niech znajdą się na niej ci, którzy wiedzą, jakie lody, batoniki, muzyka albo film poprawi ci humor.

Unikaj ludzi złośliwych, zwłaszcza w pracy. I nie drażnij szefa. Trzymaj się od niego z daleka.

Tego dnia nie rób nic, co nie jest absolutnie niezbędne. Odwołaj wszystko, co się da.

Nie podejmuj żadnych kluczowych decyzji w kwestii swojego małżeństwa, kariery, diety

i samooceny. Ten dzień źle na ciebie wpływa. Niczego nie analizuj. Trzymaj myśli na wodzy. Nie wiadomo, gdzie mogłyby cię zaprowadzić.

Nie przesadzaj. Świat się nie kończy. To tylko turbulencje. Samolot jest bezpieczny. Ma dobrego pilota. Siedzisz na właściwym miejscu. Trafiłeś po prostu na powietrzny wir. Poczekaj. To minie.

Przyznaję, kiedy mam ciężki dzień, korci mnie, żeby wziąć wolne z powodu złego samopoczucia psychicznego. Zamiast tego obniżam wymagania wobec siebie na następne dwadzieścia cztery godziny. Stosuję radę mojego przyjaciela Dona: wstań, ubierz się i przyjdź, gdzie trzeba. Ogranicz życie do podstaw.

Wstań: staw życiu czoła w pozycji pionowej, zamiast poddawać mu się na leżąco. Ubierz się: wyszukuj się od stóp do głów. To daje nadzieję. Myślę, że właśnie dlatego nawet w najbiedniejszych krajach trzeciego świata kobiety stroją się w jaskrawe chusty, kolorowe paciorki i lśniące muszle.

Przyjdź, gdzie trzeba: życie polega głównie na tym, żeby znaleźć się na czas tam, gdzie cię oczekują. „Przyjdźcie do Mnie wszyscy” – mówi Biblia. Żeby odnieść sukces, robisz wszystko, na co cię stać, a to każdego dnia oznacza co innego. Dziś stać mnie na niewiele, ale jeśli przynajmniej przyjdę tam, gdzie na mnie czekają, to dam z siebie wszystko, na co mnie dziś stać.

To wystarczy, żeby odnieść sukces na olimpiadzie życia. Za samo wstanie z łóżka dostaniesz brązowy medal. Kiedy się ubierzesz, masz już srebro. Przychodząc tam, gdzie powinieneś być, zdobywasz złoto.

Jeśli zrobisz te trzy rzeczy, wszystko będzie możliwe. Zdarza się, że właśnie w te najgorsze dni świetnie mi idzie pisanie, wychowywanie, kochanie.

Don, który nauczył mnie tego motta, należy do najszczęśliwszych, a zarazem najciężej doświadczonych przez los osób, jakie znam. Każdego wita gromkim: „Yo!”, a żegna uściskiem i słowami: „Dzięki tobie uśmiechnęło się do mnie niebo”. Don ma za sobą więcej złych dni niż większość ludzi. Kiedy miał jedenaście lat, jego mama trafiła do szpitala psychiatrycznego. Tata alkoholik nie był w stanie wychowywać sześciorga dzieci. W pewien piątek Don dowiedział się, że w poniedziałek jedzie do sierocińca na trzy miesiące. Nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie jeszcze mieszkał z rodziną. Gdy ksiądz z domu dla chłopców przekazał mu, że jego matka zmarła na tętniaka mózgu, miał szesnaście lat.

Wiele lat później alkoholizm zabrał mu brata, który wdał się w bójkę, a jego przeciwnik rozstrzygnął walkę, potracając go samochodem. Brat Dona przez miesiąc leżał w śpiączce. Don zawsze podkreśla dobrą stronę tej historii: Bóg dał mu trzydzieści dni na pożegnanie z bratem.

Don został terapeutą alkoholików. Ożenił się z pielęgniarką i urodziło im się dwoje dzieci. Potem jego żona miała romans i małżeństwo nie przetrwało. Gdy jego rodzina się rozpadła, coś w nim pękło. Ale przez cały ten czas, we wszystkie dni, kiedy nie miał ochoty iść do pracy, oddzwaniać ani słuchać o problemach innych ludzi, Don trzymał się tych zasad: wstań, ubierz się i przyjdź, gdzie trzeba.

Jego słowa inspirują mnie w gorsze dni, które teraz zdarzają się rzadko. Nieważne jak się czuję, wstaję, ubieram się i stawiam życiu czoła. Zawsze kiedy to robię, dzień okazuje się lepszy, niż się spodziewałam. Niebo codziennie się do nas uśmiecha. Tylko czasami jest to uśmiech przez łzy.

Lekcja 47

Oddychaj. To koi umysł

Jeśli chcesz zająć w ciążę, zacznij medytować.

Tę radę wyczytałam w artykule pewnego profesora Harvard Medical School, który zaobserwował, że w jego grupie badawczej niemal 40 procent par uważających się za bezpłodne poczęło dziecko w ciągu sześciu miesięcy od rozpoczęcia medytacji.

Myślę, że profesor pominął inny kluczowy czynnik.

Zdaniem doktora Herberta Bensona kilka medytacji dziennie sprawia, że lekarz staje się zbędny (co innego położna). Intonowanie mantry przynosi również ulgę chorym na AIDS, obniża ciśnienie i pozwala pacjentom uniknąć niektórych operacji i zabiegów medycznych. Ubezpieczyciele powinni finansować sesje medytacyjne, żeby zmniejszyć zapotrzebowanie na bardziej kosztowne formy terapii. Czy nie byłoby wspaniale, gdyby na oficjalnych listach świadczeniodawców usług zdrowotnych znaleźli się również mnisi buddyjscy?

Istotą medytacji jest świadoma obecność w każdym oddechu. Przeprowadziłam kiedyś wywiad z profesorem, który swoje najważniejsze zajęcia poświęcił właśnie oddychaniu. W 1969 roku, kiedy Christopher Faiver studiował w Hiram College, uniwersytet zorganizował serię odczytów zatytułowaną „Ostatnie wykłady”. Gdybyś miał wygłosić swój ostatni wykład, to o czym byś mówił? Pomysł kiełkował w nim kilkadziesiąt lat. Kiedy został profesorem na John Carroll University, w swoim ostatnim wykładzie zachęcał uczniów do oddychania.

Oddychania?

Profesor opowiadał, że wedle niektórych religii Wschodu, każdemu człowiekowi przysługuje określona liczba oddechów, dlatego musimy je mądrze wykorzystać. Sam doświadczył potęgi oddechu, kiedy był świadkiem pierwszego oddechu swojego wnuka i ostatniego tchnienia swojej matki.

– Poczułem z nimi jedność – powiedział mi.

Podczas wykładu opowiadał o wszystkich ludziach, od których uczył się swobodnie oddychać. Wymienił mistrzów i mentorów, takich jak Jezus, Budda czy Gandhi, oraz wielu nauczycieli, współpracowników, szefów i studentów.

Pod jego wpływem zaczęłam myśleć o ludziach, którzy nauczyli mnie kontrolować oddech. Przypomniałam sobie mężczyznę, który dwadzieścia lat temu pokazał mi, na czym polega świadome oddychanie. Około 50 kobiet i mężczyzn przyjechało wówczas na rekolekcje medytacyjne, trwające od piątku wieczorem do niedzieli po południu. Pojechałam tam w nadziei, że kogoś poznam, jakby ten weekend był wypadem dla uduchowionych singli.

Prowadzącym okazał się buddyjski mnich, który pobierał nauki w Tajlandii. Należał do tego typu ludzi, których już na pierwszy rzut oka można podsumować: wegetarianin. Wysoki i wychudzony, miał na sobie workowate sztruksy i sandały firmy Birkenstock.

Kazał nam usiąść wygodnie i w ciszy wsłuchać się we własny oddech. Medytacja miała się skończyć, kiedy usłyszymy dzwon. Wsłuchać się w swój oddech. Co w tym trudnego?

Byłam podekscytowana: miałam szansę odnaleźć drogę do krainy równowagi wewnętrznej. Sądziłam, że oczyma wyobraźni zobaczę senną plażę skąpaną w promieniach wschodzącego słońca, wierzchołek wzgórza, wnoszącego się ponad spokojną doliną, albo ciche jezioro z kwiatami lotosu. Nie spodziewałam się, że mój szalony umysł przywoła obrazy wszystkich ludzi, których kiedykolwiek nienawidziłam albo kochałam.

Miałam totalny mętlik w głowie. Nie mogłam się odprężyć. Śniłam na jawie o swoim dzieciństwie. Układałam listę spraw do załatwienia. Przypomniłam mi się widok mordowanych ludzi. Rozmyślałam o pisaniu książki i o kupnie butów. W końcu łapałam się na tym i znów usiłowałam wsłuchać się we własny oddech. Ale słyszałam tylko westchnienia frustracji ludzi wokół mnie.

Wreszcie zabrzmiał dzwon. Przebrnęliśmy przez pierwszą sesję. Następnego dnia medytowaliśmy przez czterdzieści minut co dwie lub trzy godziny. Co za gehenna. Wypuszczając wszystkich z sali na spacer, mnich polecił nam dalej medytować, skupiając się na tym, jak nasze stopy naciskają ziemię przy każdym kroku. Mieliśmy zachować ciszę, nawet w łazience i przy posiłkach. I oddychać, oddychać, oddychać. Nic poza tym.

Na zewnątrz wśród uczestników zapanowały buntownicze nastroje. Pięć osób urządziło spotkanie pod dębem i planowało rebelię. Cztery inne spakowały manatki i pojechały do domu.

Wykańczały mnie te sesje. Czułam się, jakbym wracała do dentysty na kolejną rundę leczenia kanałowego. Od natłoku myśli huczało mi w głowie. To była mordęga, siedzieć nieruchomo i koncentrować się na oddychaniu. Po dwudziestu minutach zaklinałam mnicha w myślach: „Uderz w dzwon. Uderz w ten p*****y dzwon”.

Po całym dniu ćwiczeń udawało mi się doliczyć tylko do piętnastu, zanim moje myśli zaczynały błądzić gdzie indziej. Analizowałam wzór na zasłonach, przyglądałam się siedzącemu obok przystojniakowi, wspominałam urlop i martwiłam się niedokończoną pracą. Byłam obolała od siedzenia w jednym miejscu. Na koniec ledwo żyłam ze zmęczenia, chociaż nie robiłam absolutnie nic.

W niedzielę okazało się, że już połowa ludzi wstała z podłogi, spakowała się i ruszyła do domu. Na zakończenie rekolekcji mnich oznajmił nam, że wszystko, co powinniśmy wiedzieć, nosimy w sobie.

– To po co tu przyjechaliśmy? – mruknął ktoś pod nosem.

Mnich czytał nam w myślach (w końcu przez cały weekend wysłuchiwał naszych bezgłośnych krzyków).

– Pewnie się zastanawiacie, co wyniesiecie z tego wyjazdu – powiedział. – Wielką mądrość? Przejmujące doznanie Boga? Idealną harmonię ze wszechświatem? Wolność od strachu? Serce przepełnione miłością?

Opowiedział nam historię o uczniu, który zapytał mistrza Zen:

– Po co medytujesz? Czy dzięki temu jesteś bardziej święty?

– Nie – odrzekł mistrz.

– Czy dzięki temu jesteś bliżej Boga?

– Nie – pokręcił głową.

– Więc co ci daje medytacja?

– Przytomność – odpowiedział mistrz.

A w jaki sposób zachować przytomność? Oddychając.

Lekcja 48

Kto o nic nie prosi, niczego nie dostaje

Wciąż czuję się bardzo niepewnie, kiedy mam się do kogoś zwrócić z jakąś prośbą.

Zdaję sobie sprawę, że brzmi to dość zabawnie, skoro utrzymuję się z pisania felietonów i przemawiam przed czterystoma tysiącami ludzi. Najwyraźniej wszechświat wiedział, czego mi potrzeba.

Zesłał mi również mężczyznę, który nauczył mnie, jak znaleźć w sobie odwagę, żeby powiedzieć to, co mam do powiedzenia. Zanim poznałam mojego męża, bałam się oddać sweter w sklepie, nawet jeśli miałam paragon. Wolałam przekazać ten sweter organizacji dobroczynnej niż zawracać sprzedawcy głowę pytaniami o zasady zwrotu towaru w jego sklepie.

Pod tym względem Bruce jest moim przeciwieństwem. Pewność siebie to jego cecha wrodzona. Kiedy czegoś chce, prosi o to. Nie boi się, że usłyszy: nie. A kiedy ktoś odmawia, nie bierze tego do siebie. Nie potrafi zrozumieć takich tchórzy jak ja. Dlaczego boimy się o coś zapytać albo poprosić?

Ze wstydu. Wstydzimy się pokazać innym, że czegoś nie wiemy albo czegoś potrzebujemy. Wychowano mnie w przekonaniu, że nie mam żadnych potrzeb. Kiedy ja lub któreś z mojego rodzeństwa o coś prosiliśmy, mój tata odpowiadał niezmiennie:

– Nie potrzebujesz tego.

Z dumy. Nie chcemy, żeby ktoś mógł nam powiedzieć: nie. Odmowa świadczyłaby o naszej słabości. Boimy się, jak wypadniemy w oczach pewnych siebie ludzi, którzy w rzeczywistości są równie niepewni jak my.

Ze strachu. Boimy się upominać o swoje, bo w ten sposób rozdrapujemy dawne rany i znów czujemy się tak jak wtedy, gdy jako dzieci słyszeliśmy „nie”, kiedy najbardziej na świecie chcieliśmy usłyszeć „tak”.

Z poczucia winy. Nie chcemy sprawiać komuś kłopotu. Nie zasługujemy na jego czas, energię ani uwagę – nawet jeśli płacą mu za to, żeby nam pomógł. Paraliżuje nas własna uprzejmość.

Mój mąż uważa, że strach jest uzasadniony, kiedy człowiek ma wyskoczyć z samolotu albo nurkować w pobliżu rekinów. „To potrafię zrozumieć” – mówi. Nie rozumie natomiast, że ktoś może się bać poprosić stewardessę o zmianę klasy podróży. On potrafi prosić o wszystko i korzysta z tej umiejętności. Prosi w samolocie o przeniesienie do wyższej klasy. O lepszy pokój w hotelu. O zniżkę, bo uważa, że zawsze należy się targować. O darmową dolewkę. Pyta nawet o drogie!

A ja? Opowiem wam, jaka jestem żalosna. Kiedy sąsiad z tyłu kopie mój fotel w samolocie, nie jestem w stanie go poprosić, żeby przestał. Kiedy siedzący za mną w kinie ludzie gadają, nie potrafię kazać im się zamknąć. Zamiast tego wstaję i zmieniam miejsce. Wolę być głodna, niż poprosić stewardessę o wegetariański posiłek.

Kiedy poczułam się z tym najgorzej? Wtedy, gdy moja sześciolatka wówczas córka zabrała do sklepu garść monet na cukierki. Stałam w kolejce do kasy, a Gabrielle ułożyła swój stosik drobnych na taśmie. Kiedy przesunęłyśmy się bliżej, zobaczyłam, jak jakaś dziewczynka wyciąga rękę i zgarnia monety mojej córki. Mogła mieć około dwunastu lat. Patrzyłam jej prosto w oczy. Nie miałam

w sobie dość siły, żeby ją powstrzymać. Właśnie ukradła pieniądze mojej córki, a ja nie umiałam nawet zapytać, co wyprawia, ani zażądać ich zwrotu.

Wiele lat później zabrałam siostrzeńca do McDonald'sa. Kupił sobie piwo korzenne, wypił całe i poprosił o więcej.

– Czy dają tu darmową dolewkę? – zapytał.

– Pójdę się dowiedzieć – odpowiedziałam.

Wzięłam jego kubek i stanęłam przy kasie, ale nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Bałam się, że odpowiedzą: nie. Stchórzyłam. Zamiast tego podeszłam do stoiska z napojami i napełniłam jego kubek. Czy to była kradzież? Być może. Nie wiem.

Od niedawna zaczęłam zwracać uwagę na ludzi, którzy potrafią walczyć o swoje. Notuję w pamięci, jakim sposobem osiągają cel. Moja przyjaciółka Sharon zabrała kiedyś pięcioletniego syna na mecz koszykówki. Dostali miejsca w najwyższej części hali. Kiedy wspinali się coraz wyżej i wyżej, mały Finnegan się przestraszył. To było dla niego za wysoko. Zaczął płakać. Sharon wypatrzyła kilka wolnych miejsc na dole. Miała trzy możliwości: zmusić swojego przerażonego synka, żeby usiadł tuż pod sufitem, wrócić do domu albo poprosić o takie miejsca, żeby się nie bał. Zapytała biletera, czy może się zamienić. Nie wiedział. Wskazał jej kogoś innego. Ta osoba skierowała ją do kolejnej. Sharon nie poddawała się. W końcu ktoś się zgodził. Finnegan obejrzał Cleveland Cavaliers i popisy LeBrona Jamesa siedząc tuż przy parkiecie.

Kiedyś skończył mi się ulubiony szampon Aveda. Pojechalismy z mężem do salonu fryzjerskiego, ale był jeszcze zamknięty. Salon otwierali dopiero za pół godziny. Zaproponowałam, żebyśmy przyszli później. Mój mąż się uśmiechnął. Traktował całą sytuację jako wyzwanie.

– Po prostu zapukaj do nich i poproś o ten szampon – zaproponował.

Nie. Nie mogłam tego zrobić.

– Wisi tablica, że jeszcze zamknięte – powtórzyłam.

Wolałam się obejść bez szamponu niż ryzykować odmowę. Na twarzy Bruce'a pojawił się zawadiacki uśmieszek. Wysiadł z samochodu i podszedł do drzwi salonu. Zapukał i krzyknął, że chce tylko kupić szampon. Dziewczyna pokręciła przecząco głową. Bruce otworzył portfel i machnął nim do niej. Podeszła do drzwi.

– Jeszcze zamknięte, więc nie mogę przyjąć karty kredytowej – wyjaśniła.

– Zapłacę gotówką – zawołał do niej przez szybę.

Po chwili wyszedł z czterema butelkami szamponu.

Po wielu latach przyglądania się, jak Bruce walczy o swoje i odnosi sukcesy, w końcu sama upomniałam się o to, co mi się należało. Chciałam dostać podwyżkę. Któregoś dnia pomodliłam się o to, ułożyłam sobie w głowie wszystkie argumenty i poszłam na lunch z szefem. Poprosiłam o podwyżkę, a on się nie zgodził. Ale wcześniej mnie upokorzył. Przeprosiłam go na chwilę, poszłam do toalety, wypłakałam się, umyłam twarz, wróciłam do stolika i zmieniałam temat. Kilka godzin później w pracy powiedział, że zobaczy, co da się zrobić. Dostałam małą podwyżkę.

Minęło wiele lat. Chciałam dostać podwyżkę z prawdziwego zdarzenia. Napisałam najlepsze teksty w karierze. Ale nie wychodziłam z założenia, że mój szef to zauważył. Na dziennikarstwie uczono mnie nie opierać się na założeniach.

– Kiedy wychodzisz z jakiegoś założenia – powiedział jeden z wykładowców – możesz nigdzie nie

dojść.

Zastanowiłam się spokojnie, dlaczego zasługuję na podwyżkę. Przygotowałam rozsądną ofertę i wypisałam w punktach, w jaki sposób wzbogacam gazetę, newsroom i całą firmę. Swojego maila do szefa zaczęłam od tego, że uwielbiam tę pracę, gazetę i miasto. Podziękowałam mu za to, że mnie zatrudnił. Opisałam, jak ważne zajmuję stanowisko i że moje wynagrodzenie mieści się w dolnych widełkach stawek. Potem podałam długą, szczegółową listę korzyści, jakie przynoszę gazecie. Na koniec poprosiłam o „znaczącą podwyżkę”.

Dostałam ją. Ale to nie wszystko. Dostałam dokładnie tę sumę, o której myślałam, choć nigdzie jej nie podałam. Czy stchórzyłam, prosząc o podwyżkę w mailu zamiast zrobić to osobiście? Być może. Ale upomniałam się o swoje – i dostałam to.

Jeśli o nic nie prosisz, niczego nie dostaniesz. Więc proś. Czasem usłyszysz „tak”, czasem „nie”. Ale jeśli nawet nie zapytasz, odpowiedź zawsze brzmi „nie”. Sam jej sobie udzieliłeś.

Lekcja 49

Ustępuj

Traciliśmy Beth. Dzień po dniu, minuta po minucie gasła na naszych oczach niczym delikatny płomień, który staje się coraz mniejszy i mniejszy, dopóki całkiem nie zniknie.

Cukrzyca zniszczyła obie nerki, z którymi przyszła na świat, a potem i tę, którą jej przeszczepiono czternaście lat temu. Jediną nadzieją Beth była dializa przez cztery godziny dziennie, trzy dni w tygodniu, dopóki nie umrze albo nie dostanie nowej nerki. Lista oczekujących była tak długa, że mogła czekać na przeszczep od czterech do sześciu lat. Ale moja przyjaciółka nie miała tyle czasu.

Nikt nie powiedział tego głośno, ale każdy o tym myślał, każdy to wiedział. Modliliśmy się za nią, ale modlitwa przychodzi trudno, gdy wiesz, że dar życia, którego tak bardzo potrzebuje twój przyjaciel, będzie pochodził od obcej osoby, która niechętnie się z nim rozstanie.

Nikt tego nie powiedział, ale wszyscy martwiliśmy się, że to może być jej ostatnie Boże Narodzenie. Przez ostatnich dziewięć lat spędzaliśmy święta razem z Beth i jej mężem Michaeliem. Ale najlepsza okazała się ta Wigilia, kiedy Beth nie było z nami przy stole.

Telefon zadzwonił po jedenastej w noc przed Wigilią. Tak późno, że obawialiśmy się usłyszeć złą wiadomość.

Tymczasem to była najlepsza wiadomość z możliwych. Być może znalazł się dawca dla Beth.

Być może.

Dawca nie tylko nerki, ale również trzustki. Nowa trzustka oznaczałaby, że Beth nie będzie już miała cukrzycy. Nowa trzustka produkowałaby insulinę, czego jej pięćdziesięcioletnie ciało nie potrafiło od czterdziestu lat. Z nową trzustką Beth nie musiałyby się martwić, że przez chorobę straci wzrok, ręce albo nogi. Nie musiałyby się martwić, że umrze na cukrzycę, tak jak jej matka. Nie musiałyby się martwić, że nie zobaczy, jak jej pięcioletnia córka dorasta.

Mąż Beth nie mógł w to uwierzyć, dopóki nie zaczęła się pakować do szpitala. Musiała go uszczypnąć – i to mocno – żeby udowodnić mu, że to nie sen. Wtedy Michael zadzwonił do jednego z przyjaciół, dobra wieść się rozniosła i wszyscy zaczęliśmy się modlić. „To zbyt piękne, by było prawdziwe, ale proszę, Boże, ześlij mi ten dar” – prosiła Boga moja przyjaciółka.

Modliliśmy się za Beth, która pracuje jako specjalista do spraw dzieci w Rainbow Babies & Children's Hospital w Cleveland, gdzie od osiemnastu lat dba o to, żeby mali pacjenci mniej bali się igieł, lekarzy i badań lekarskich. Modliliśmy się za rodzinę dwudziestojednolatka z Columbus, który zginął w wypadku samochodowym – rodzinę, która, dzięki Bogu, potrafiła wzniesić się ponad swą rozpacz i pozwolić na pobranie organów z ciała zmarłego po to, żeby ktoś inny mógł żyć.

O wpół do siódmej w wigilijny poranek Beth i Michael przywieźli do nas swoją córkę, Michaelę. Beth ucałowała ją w ciemności, uścisnęliśmy się wszyscy i życzyliśmy sobie na święta najlepszego prezentu: życia.

Przez wiele godzin nie mieliśmy od nich żadnej wiadomości. O czternastej wciąż jeszcze nie było pewności, czy między Beth a dawcą jest wystarczająca zgodność. O piętnastej zadzwonił telefon. Beth powiedziała, że przygotowują ją do operacji. Była już spokojna, choć na chwilę ogarnął ją

strach, że może tego nie przeżyć. Teraz skupiała się na tym, jak cudownie będzie obudzić się bez cukrzycy.

Martwiliśmy się przez cały dzień. Czy jej ciało wytrzyma czterogodzinną operację? Czy nowe organy się przyjmą? Czy w Wigilię pewna mała dziewczynka usłyszy, że jej mama jest zdrowsza niż kiedykolwiek wcześniej, czy...? Nie mieliśmy odwagi dokończyć tej myśli.

Mała Michaela mówiła o Świętym Mikołaju i o nowej lalce Barbie, którą miała nadzieję znaleźć pod choinką. Zastanawiała się, czy Mikołaj przyjdzie, skoro nie ma jej w domu, i jak to jest, że renifery potrafią latać. Z całego serca wierzyła w cud Bożego Narodzenia. Czy i my potrafiliśmy w niego uwierzyć?

Nagle zadzwonił telefon. Trzustka była na miejscu. I działała. Godzinę później dowiedzieliśmy się, że nerka też funkcjonuje. Beth nasiusiała na stół operacyjny. Koniec z dializą. Koniec z insuliną. To był idealny dawca dla Beth. Moja przyjaciółka wskoczyła na pierwsze miejsce na liście oczekujących, bo ze wszystkich ludzi w kraju miała najwyższą zgodność z dawcą. Wyższą miałyby tylko jego brat bliźniak.

Michael przyjechał do nas do domu i przytulił córeczkę, która na święta najbardziej chciała dostać lalkę. Powiedział jej, że nie trzeba już będzie kłuć mamusi, żeby sprawdzać jej poziom cukru we krwi. Kiedy Michaela zasypiała przed telewizorem, oglądając *Cud na 34. ulicy*, jej tata wciąż opowiadał o cudzie przy Cornell Road, na sali operacyjnej University Hospitals – cudzie, o którym Michaela będzie słyszeć w każde Święta Bożego Narodzenia.

O tym, że istnieje również druga strona tej historii, dowiedziałam się dopiero, gdy napisałam felieton o prezencie Beth, po którym dostałam e-mail od jednej z czytelniczek:

Poruszyła mnie historia opublikowana dziś na pierwszej stronie. Widzi pani, moja rodzina także odebrała w Wigilię telefon z University Hospitals. Moja trzydziestojednoletnia córka również znajduje się tam na liście oczekujących na przeszczep trzustki i nerki. Cierpi na cukrzycę od ósmego roku życia. Miała wówczas usuwaną zaćmę z obu oczu. Trzeba było również amputować jej palec u nogi, a cztery lata temu zaczęły się problemy z nerkami.

Na liście jest od około dwóch i pół roku. Natychmiast obdzwoniliśmy wszystkich znajomych, żeby zorganizować łańcuch modlitewny w jej intencji. Nami również targały emocje i nadzieje, tak jak Beth.

Wiedzieliśmy, że Dawn, moja córka, jest druga na liście. Wiedzieliśmy, że ta pierwsza osoba musiałaby okazać się nieodpowiednia, żeby to Dawn otrzymała dar życia. Muszę przyznać, że modliliśmy się, żeby tak się stało, ale o piętnastej wiedzieliśmy już, że nic z tego. Dawn musiała dalej czekać.

Chciałabym pani powiedzieć, że po piętnastej nasze modlitwy się zmieniły. Zaczęliśmy się wtedy modlić w intencji osoby, którą operowano. Byłam szczęśliwa, że operacja się udała. Nadal będę się modlić za Beth. Proszę jej przekazać, że bardzo cieszymy się jej szczęściem. Dziękuję, Sandra Whalen.

Ten e-mail zrobił na mnie ogromne wrażenie. Wyobraziłam sobie tę rodzinę, zgromadzoną na wspólnej modlitwie o cud dla ich córki. Musiało im być ciężko, kiedy dowiedzieli się, że operacji nie będzie. Ale zamiast godzinami rozpamiętywać straconą szansę, zrobili zwrot o 180 stopni

i zaczęli się modlić za Beth.

Jakie to wielkoduszne, ustąpić, kiedy stawka jest tak wysoka. Modlić się za osobę, która dostanie organy potrzebne, żeby uratować życie twojej córki. Ja rzadko zdobywam się na to, żeby ustąpić kierowcy, który chce wjechać na mój pas na autostradzie, albo przepuścić osobę, która stoi za mną w samolocie, a musi wysiąść pierwsza, żeby zdążyć na przesiadkę. Tak często widzę tylko czubek własnego nosa, nie dostrzegając małych potrzeb ludzi wokół mnie, nie mówiąc już o wielkich potrzebach.

Do tego stopnia zatraciłam się w modlitwie za Beth, że nawet nie przeszło mi przez myśl pomodlić się za drugą z osób czekających na te organy. Po tym e-mailu często zastanawiałam się, jak potoczyły się losy Dawn. Dwa lata później trafiłam na wystawę pacjentów z Centers for Dialysis Care. Jedna z kobiet zbudowała ścianę z plastikowych rurek medycznych i czerwonych papierowych cegieł, żeby pokazać, jak się czuła, czekając na przeszczep. Artystka nazywała się Dawn Whalen.

Tak, to była ta Dawn.

Arteterapeuta dał wszystkim pacjentom aparaty, żeby każdy uwiecznił jeden dzień życia z dializą. Dawn przedstawiła swój dzień w postaci ściany i napisała piosenkę o przechodzeniu przez dializy przez trzy i pół godziny dziennie, trzy dni w tygodniu przez trzy lata. Na ścianie przykleiła zdjęcia swojego zestawu do analizy krwi, igieł, mężczyzny, który woził ją na dializę, buteleczek z zażywanych przez siebie lekami.

Dawn miała trzydzieści dwa lata, ale wyglądała dziesięć lat młodziej ze swoimi krótkimi, jasnobrązowymi włosami i długimi rzęsami. Kiedy rozmawialiśmy, z jej twarzy nie schodził uśmiech. Przeszła przeszczep nerki i trzustki dwa lata po Beth. Telefon zadzwonił w pewien niedzielny poranek. Kiedy powiedziano jej, żeby się przygotowała, bo ma szansę na przeszczep, poszła do kościoła i modliła się za tego, kto dostanie te organy, i za osobę, która odeszła. Gdy była w kościele, telefon zadzwonił ponownie. Miała przyjechać do szpitala na siedmiogodzinną operację.

Ta wspaniała dziewczyna wraca dziś do stacji dializ jako wolontariuszka. A setki ludzi wciąż czekają. Czekają na idealnego dawcę – czekają, aż ktoś im ustąpi.

Lekcja 50

Życie nie jest przewiązane kokardą, ale i tak jest wspaniałym prezentem

Najpierw napisał mi o tym w e-mailu mój szwagier, Randy. Potem przyjaciółka. A potem kolejna. Wszyscy chcieli wiedzieć, czy odkryłam już sekret życia.

Najpierw ignorowałam te e-maile i linki, ale później przyszło mi do głowy, że być może wszechświat stara się mi coś powiedzieć. Postanowiłam sprawdzić, w jaki sposób mogę zdobyć pieniądze, przyjaciół i szczęście.

Tak naprawdę to żaden sekret. Mówili o tym już Platon, Beethoven i Einstein. Tę samą mądrość odnajdę na swoich półkach, w książkach Emmeta Foxa, Waynea Dyer i Jamesa Allena. W pismach Mateusza, Marka, Łukasza i Jana.

Istnieje tylko jedna siła. Tylko jedno prawo. Nie, nie chodzi o: „Oko za oko, ząb za ząb”, ani: „Zawsze zostawiaj napiwki kelnerom”. To prawo przyciągania. Na tym polega sekret. W życiu przydarza ci się to, co przyciągasz do siebie myślami. Tym, o czym myślisz, kształtujesz swoje życie.

Słyszałeś, że „jesteś tym, co jesz”? Nic podobnego. Jesteś tym, o czym myślisz przez cały dzień. Przerażające, prawda? Spróbuj mieć same pozytywne myśli przez cały dzień. Ja potrafię wytrzymać najwyżej godzinę bez wizji potwornych nieszczęść, chorób i epidemii. Mój mózg to fabryka strachu. Produkuje bzdury na skalę masową. Oczyma chorej wyobraźni widzę mordercę z siekierą pod łóżkiem. Odciętą głowę w suszarce do ubrań. Szczura w muszli klozetowej.

Ponoć zdaniem Alberta Einsteina najważniejsze pytanie, jakie może sobie zadać istota ludzka, brzmi: „Czy wszechświat jest nam przyjazny?”. Oczywiście, że nie – pomyślałam. Czy on oszalał? Ale Einstein nie był szalony, tylko genialny. A jego pytanie nie dawało mi spokoju.

A gdyby tak uznać wszechświat za przyjazny? Zaczęłam ćwiczyć. Miałam wrażenie, że oglądam świat przez nowe okulary. Myśląc o strachu, przyciągasz niepokój. Myśląc o dostatku, przyciągasz dobrobyt. Myśląc o miłości, przyciągasz miłość.

Sekret nie polega na tym, żeby zapanować nad swoim szefem, rachunkiem bankowym albo dziećmi. Chodzi o to, żeby zapanować nad własnym umysłem. Teraz zawsze, gdy ogarnia mnie rozpacz, przystaję na moment i zadaję sobie pytanie: o czym myślisz? Jeśli źle się czujesz, zmień swoje myśli, zamiast zmieniać pracę, ubrania czy męża.

Einstein powiedział: „Życie można przeżyć tylko na dwa sposoby: albo tak, jakby nic nie było cudem, albo tak, jakby cudem było wszystko”.

Ja wybieram tę drugą drogę.

Problem z cudami polega na tym, że nie zawsze umiemy je dostrzec. Czasem w pierwszym momencie wyglądają na potworny, nienaprawialny błąd. Sekret polega na tym, żeby odnaleźć w tym bałaganie cud. To trudne zadanie, zwłaszcza kiedy starasz się stworzyć idealną wersję siebie.

Ja próbowałam. Spisywałam swoje postanowienia. Rozbijałam je na dążenia i cele. Przyklejałam je w widocznych miejscach i czytałam na głos. Oddychałam nimi. Wyobrażałam sobie, jak je osiągam.

Obiecywałam sobie jeść więcej produktów pełnoziarnistych, a mniej tłuszczu. Płacić gotówką,

zamiast używać kart kredytowych. Być lepszą żoną. Ćwiczyć każdego dnia. A potem regularnie łamałam wszystkie postanowienia po kolei.

Większość ludzi postanawia popracować nad formą, schudnąć i zacząć właściwie się odżywiać. Obiecują sobie, że rzucą palenie i picie i przestaną się stresować. Usiłują wyjść z długów, więcej oszczędzać i mniej wydawać. Osoby bardziej zaawansowane duchowo dodają jeszcze jedno postanowienie: pomagać innym jako wolontariusz.

Słyszałam kiedyś, jak pewien mężczyzna przyznaje, że dawniej całe jego życie kręciło się wokół słowa: „ja”. Teraz postanowił spróbować czegoś nowego i skoncentrować swoje życie na: „my”. Jezuici mówią o takich osobach: „człowiek dla innych”.

Co mogę zrobić dla bliźnich? Nie potrzeba żadnych rewolucyjnych planów, które oszałamiają rozmachem, lecz są głównie na pokaz. Wystarczą proste rzeczy, dzień po dniu, chwila za chwilą. Kiedyś napisałam artykuł o Donie Szczepanskim, który kierował się w życiu tą zasadą. Nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Wybrał całkiem zwyczajne życie. Przez osiemnaście lat od siódmej rano do 15.30 jeździł swoją stałą trasą, wskazując i wyskakując z białej furgonetki pocztowej.

W Avon, małym miasteczku w stanie Ohio, wszyscy nazywali go Don Listonosz. Miał zwyczaj machać do ludzi na chodniku i trąbić klaksonem, kiedy ich mijał. Radził, jak naprawić szwankujący komputer, pokazywał najnowsze zdjęcia swojej wnuczki, a od czasu do czasu częstował suszoną wołowiną domowej roboty.

Zawsze miał przy sobie znaczki i zawsze się uśmiechał. Dostarczał pocztę przez 25 lat, każdego dnia odwiedzając około 500 domów lub firm.

Pewnego dnia jeden z jego sąsiadów, David, zauważył, że Don nie wyjechał na swój objazd. Kiedy Don pojawił się ponownie, wspomniał o niepokojących wynikach badań. Wtedy ostatni raz prowadził swoją furgonetkę.

Don miał raka nerki, który dał już przerzuty do płuc. Lekarze powiedzieli, że prawdopodobnie nie wyjdzie ze szpitala. Ludzie zaczęli dzwonić do Davida z pytaniami o Dona. Kiedy wieść o jego chorobie się rozniosła, okazało się, że każdy zna jakąś historię o listonoszu. Pewien rodzic opowiedział Davidowi, że kiedyś Don zauważył w poczcie kilka kartek urodzinowych dla jego dziecka, więc dorzucił do listów banknot pięciodolarowy.

Inna matka wspominała, że jej syn chory na mózgowie porażenie dziecięce uwielbiał witać listonosza. Pewnego dnia Don wyłączył silnik i pozwolił chłopcu wsiąść do samochodu i zobaczyć, jak wszystko działa. Tego roku Don podarował mu małą furgonetkę pocztową na Boże Narodzenie.

Syn innego z sąsiadów opowiedział, że Don pokazał mu, jak rzucać piłkę baseballową, i nauczył go nosić czapeczkę z daszkiem skierowanym „w stronę, w którą idziesz, a nie na bok, jak u tych cwaniaków z telewizji”.

Poruszony tymi historiami, David napisał do sąsiadów:

Nasz przyjaciel (i najlepszy listonosz w historii) walczy z rakiem nerki. Don rozjaśnił nam wiele dni swoim dobrym humorem i zaraźliwym śmiechem. Przyszedł czas, żebyśmy mu się odwdzięczyli. Proszę, przywiążcie tę niebieską wstążkę do skrzynki pocztowej, tak żeby wszyscy (zwłaszcza Don!) mogli ją zobaczyć, i pomyślcie o nim przez chwilę w środku pracowitego dnia. Jeśli chcielibyście wysłać Donowi krótki list lub kartkę, byłby wzruszony waszą pamięcią. Kartki

(zaadresowane do Dona Listonosza) zostawcie po prostu w swojej skrzynce albo przynieście je do urzędu pocztowego w Avon.

Nie minęło kilka dni, a miasto ozdobiło pięćset niebieskich wstążek i kokard. Don otrzymał całe stosy kartek.

Dzień przed Świętem Dziękczynienia, Don znalazł w sobie dość sił, żeby wejść do samochodu syna i przejechać trasą, którą jeździł osiemnaście lat. Zdążył zobaczyć te wszystkie wstążki. Zmarł tydzień później. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Przyjaciele uczcili jego życie w kręgielni, przy margaritach i suszonej wołowinie.

Niektórzy wierzą, że anioły to istoty nadprzyrodzone obdarzone skrzydłami. Ale może w rzeczywistości to zwykli ludzie, tacy jak Don Szczepanski, którzy oprócz rachunków i pocztówek przynoszą innym radość. Don nie musiał machać skrzydłami. Wystarczyło, że machał do nas ze swojej furgonetki.

Życie Dona to dowód na to, że nie jest ważne, co w życiu robimy, tylko ile wkładamy w to siebie. Moja fryzjerka Heidi to dla mnie niewyczerpane źródło inspiracji. Pewnego dnia, gdy skończyła mnie czesać, spojrzała mi w oczy i rozkazała niczym kaznodzieja: „A teraz idź i spraw, by coś stało się możliwe”.

Spraw, by coś stało się możliwe.

Jedna z moich przyjaciółek podpisuje e-maile refrenem piosenki Leonarda Cohena, który deprecjonuje doskonałość. Ona akceptuje niedoskonałość swojej sztuki i muzyki, bo wierzy, że dzięki niej stają się prawdziwsze.

Tak wiele można zdziałać każdego dnia. Możesz kogoś rozbawić, wywołać na jego twarzy uśmiech, dać mu nadzieję albo skłonić go do zastanowienia. Najważniejszym dniem w roku nie jest Boże Narodzenie ani Wielkanoc, twoja rocznica ani urodziny, tylko ten dzień, który właśnie trwa, więc wykorzystaj każdą minutę.

Żeby to zrobić, będziesz się musiał ubrudzić, bo tak działa świat. Owszem, życie to prezent, ale nie licz na pudełko z kokardą. Wiele lat temu pewien ksiądz jezuita zarzucił mi, że staram się żyć zbyt ostrożnie. Powiedział, że zachowuję się tak, jakbym dostała piękną sukienkę, włożyła ją na przyjęcie, a potem siedziała cały czas pod ścianą, żeby jej nie zniszczyć. Jakbym zrezygnowała z ciasta, ponczu i zabaw, żeby się nie ubrudzić.

Miał rację. Tak bardzo bałam się cierpienia, porażki – tak bardzo bałam się życia – że obserwowałam je tylko, stojąc z boku. Ale to już przeszłość. Rak mnie z tego wyleczył.

Już się nie martwię, czy się ubrudzę, tylko bawię się na całego... i bardzo możliwe, że wyjdę z tego przyjęcia jako ostatnia.

Od autorki

Drogi Czytelniku,

dziękuję, że kupiłeś i przeczytałeś mój debiut książkowy. Mam nadzieję, że to pierwsze z naszych wielu czytelniczych spotkań.

Jeśli jesteś jedną z tysięcy osób, które rozesłały moich 50 lekcji pocztą elektroniczną do swoich przyjaciół na całym świecie, dziękuję Ci za to, że zainspirowałeś mnie do kolejnego kroku, czyli do napisania tej książki.

Mam też nadzieję, że zawarte tu rady pozostaną z Tobą jeszcze długo po tym, jak je przeczytasz. Bardzo chciałabym się dowiedzieć, czy moje refleksje pomogły Ci się odnaleźć. Z chęcią przeczytam, jak zmieniły Twoje życie. Możesz też przysłać mi własne lekcje. Na mojej stronie internetowej: www.reginabrett.com znajdziesz formularz kontaktowy, skąd można wysłać do mnie e-maila.

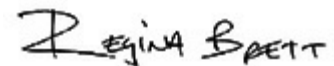
Znajdziesz tam również mojego bloga, felietony, podcast mojej audycji radiowej, najczęściej zadawane pytania, porady dla pisarzy, moje ulubione linki i zdjęcia oraz przeczytasz o mojej następnej książce.

Część tantiem ze sprzedaży tej książki zostanie przekazana na rzecz organizacji The Gathering Place, która oferuje darmową pomoc każdemu, kto boryka się z rakiem. Więcej o tym wspaniałym miejscu można się dowiedzieć na stronie www.touchedbycancer.org.

Mam również nadzieję, że odwiedzicie Jezuicki Dom Rekolekcyjny, www.jrhcleland.org, miejsce, które nazywam swoim duchowym domem.

Jeszcze raz dziękuję, że poświęciłeś czas na to, żeby przeczytać moją książkę. Mam nadzieję, że te refleksje wpłyną na Twoje życie równie mocno, jak na moje, i przyniosą Ci radość.

Pozdrawiam serdecznie,



Podziękowania

Jestem dozgonnie wdzięczna...

...moim rodzicom, Tomowi i Mary, którzy poświęcili więcej, niż jestem sobie w stanie wyobrazić, żeby kochać i wychować swoich jedenaścioro dzieci. Przekazali nam swoją wiarę, nadzieję i odwagę.

Moim siostrzom: Theresie, Joan, Mary, Maureen i Patricii – za ich miłość i hałaśliwą siłę. Moim braciom: Michaelowi, Tomowi, Markowi, Jimowi i Matthew – za ich miłość i cichą mądrość. Moim siostrzenicom, bratanicom, siostrzeńcom i bratankom: Rachel, Michaelowi, Leah, Luke’owi, Jaclyn, Laurze, Emily, Hudsonowi, Josiah, Anyi, Erin, Harry’emu, Jacobowi, Billowi i Brendzie, którzy kochają mnie po prostu za to, że jestem ciocią Reginą.

Moim bratowym i szwagrom: Tomowi, Chrisowi, Tish, Andrew, Tomowi, Anicie, Michelle, Randy’emu, Gary’emu i Carol, którzy wspierają mnie bardziej, niż na to zasługuję.

Panu Ricco, mojemu nauczycielowi angielskiego w dziewiątej klasie w Brown Junior High. Sam Ricco nauczył mnie kochać pisanie, akapit po akapicie.

Moim przyjaciółom, którzy tchnęli we mnie Nową Nadzieję, zwłaszcza Kathy i Billowi Perfectom, Melanie i Edowi Raffertym, Judy i Michaelowi Conwayom, Veronice Harris oraz Donowi Daviesowi. Ich bezwarunkowa miłość postawiła mnie na nogi.

Moim pierwszym mentorom, Eileen Lynch, Barb Blackwell, Zoe Walsh i Maurze McEnaney, za to, że zawlekły mnie ze sobą Drogą do Prawdziwego Szczęścia.

Licznym przyjaciółom, którzy stale dopingują mnie do działania: Thrity Umrigar, Bobowi Paynterowi, Terry’emu Pluto, Debbi Snook, Connie Schultz, Sue Klein, Karen Long, Tinie Simmons, Jennifer Buck, Suellen Saunders, Marcie Goodman, Beth Segal, Michaelowi Barronowi, Brendanowi Ringowi i całemu personelowi Nighttown. Szczególne podziękowania należą się Sheryl Harris, przyjaciółce, która najpierw wysłuchiwała moich narzekań, a potem zlikwidowała ich przyczynę, poznając mnie z mężczyzną moich marzeń.

Całej grupie z Campbellville za ich niezmiennie wsparcie: Marty’emu Friedmanowi, Sandy Livingston, Michaelowi Millerowi, Beth Ray, Peterowi Collinsowi, Kris Anne Langille, Arlene i Buddyemu Krausom, Julie Steiner i Danowi Freidusowi.

Profesorom z Kent State University – Bruce’owi Larrickowi i Fredowi Endresowi za to, że namówili mnie na dziennikarstwo. Billowi O’Connorowi i Susan Ager za to, że mogłam uczyć się od nich pisania. Daleowi Allenowi, który dał mi posadę felietonistki w „Beacon Journal”. Dougowi Cliftonowi, który zlecił mi pisanie felietonów dla „Plain Dealer”. Stuartowi Warnerowi, najlepszemu nauczycielowi pisania na świecie. Zawsze zachęcał mnie do mówienia własnym głosem, nawet gdy dostawałam chryпки. Wydawcy „Plain Dealer” Terry’emu Eggerowi, redaktor Susan Goldberg, redaktor wykonawczej Debrze Adam Simmons oraz Barb Galbincei za to, że mogłam napisać najlepsze teksty w swojej karierze i podzielić się nimi w tej książce. Dave’owi Davisowi i Tedowi Diadiunowi za to, że zajmują się niekończącymi się prośbami o przedruki tych tekstów. Jean Dubail, Johnowi Krollowi i Denise Polverine za opiekę nad moimi felietonami i wpisami na

blogu na stronie www.cleveland.com. Moim kolegom z „Plain Dealer”, którzy codziennie starają się okiełznać potęgę słów, żeby zmieniać świat.

Kit Jensen, Jerry’emu Warehamowi, Davidowi Molpusowi, Davidowi Kanzegowi, Bridget DeChagas, Paulowi Coxowi, Jeffowi Carltonowi oraz pozostałym członkom zespołu Ideastream.

Niezliczonym czytelnikom gazet z Cleveland, których e-maile, telefony i listy trzymają mnie przy życiu – tak mocno wierzycie w cuda, że każda drużyna sportowa chciałaby mieć takich fanów. Naprawdę dajecie czadu.

Siostrze Mary Ann Flannery, dzięki której Jezuicki Dom Rekolekcyjny tętni życiem, i wszystkim szalonym kobietom, które zawsze palą przed Rekolekcjami Siostry Ignacji.

Wspaniałym księżom, którzy poświęcili swoje życie ratowaniu dusz: Ojcu Joemu Zubricky’emu, Benno Kornely’emu, Denisowi Brunelle, Jimowi Lewisowi, Joemu Fortuno, Clemowi Metzgerowi i Kevinowi Conroyowi.

Aniołom z mojej Grupy Wsparcia: Ami Peacock, Gabrielle Brett, Sharon Sullivan, Beth Robenalt i Vicki Prussak.

Tedowi Gupowi, który podzielił się ze mną największym skarbem pisarza: podał mi nazwisko i adres e-mailowy swojego agenta. Dzięki jego szczodrości, trafiłam do David Black Literary Agency, gdzie znalazłam agentkę moich marzeń, Lindę Loewenthal. David zobaczył w mojej książce potencjał; Linda zamieniła go w rzeczywistość. Jej wiara we mnie wciąż dodaje mi sił. Ulepszyła każdą stronę tej książki, a potem znalazła dla niej idealny dom.

Osobom z Grand Central Publishing, które mocno wierzyły w tę książkę. Wydawcy Jamiemu Raabowi: jego pasja pisania odmieniła ten tekst. Mojej redaktor, Karen Murgolo, która podsuwała mi fantastyczne sugestie i wykazała się niespotykaną cierpliwością. Harvey-Jane Kowal i Christine Valentine za skrupulatną korektę. Diane Luger, która zaprojektowała najwspanialszą okładkę. Nancy Wiese, Nicole Bond, Peggy Boelke i Matthew Ballastowi, bo dzięki nim reszta świata także może przeczytać tę książkę. Philippie „Pippie” White za jej dbałość o najmniejszy szczegół.

Chirurgowi Leonardowi Brzozowskiemu, onkologowi Jimowi Sabiersowi i pielęgniarce Pam Boone za uratowanie mi życia.

Mojej babci Julii, której miłość towarzyszy mi od początku i zostanie ze mną na zawsze.

Mojemu wnukowi, Asherowi, któremu zawsze będzie towarzyszyć moja miłość.

Synom, których zyskałam dzięki małżeństwu z moim mężem – Benowi i Joemu, za ich cierpliwość i miłość w czasie, gdy tworzyliśmy nową rodzinę. Synowi, którego zyskałam dzięki małżeństwu mojej córki, Jamesowi, za to, że uzupełnił naszą rodzinę i zrobił mi zdjęcie, które znalazło się na okładce.

Mojemu życiowemu kompasowi, Bruce’owi, który naprawdę jest mi północą, południem, zachodem i wschodem. Ilekroć czuję się zagubiona, on mnie znajduje. Jego miłość nigdy nie zawodzi, nigdy nie słabnie.

Mojej córce Gabrielle, która codziennie przypomina mi, jak bardzo jestem kochana. Pojawiała się jak tajemnica i nadała sens całemu mojemu życiu. Jest dowodem na to, że nie ma nic ważniejszego od miłości.

Oraz Przyczynie tego wszystkiego, Bogu mojej radości.

O Autorce

Regina Brett publikuje felietony w dzienniku „Plain Dealer” w Cleveland (Ohio). Urodziła się w 1956 roku i dorastała w dwunastotysięcznym miasteczku Ravenna w stanie Ohio. Uzyskała dyplom licencjata w zakresie dziennikarstwa oraz tytuł magistra religioznawstwa. W 1986 roku zaczęła pracować jako reporter. Felietony pisze od 1994 roku.

Jej artykuły zostały wyróżnione wieloma krajowymi, stanowymi i lokalnymi nagrodami. W latach 2008 i 2009 była finalistką Nagrody Pulitzera w dziedzinie reportażu. Zdobyła również National Headliner Award za felietony o raku piersi w 1999 i 2009 roku.

To jej pierwsza książka.

Regina Brett mieszka w Cleveland w stanie Ohio ze swoim mężem, Bruce’em.

Jej strona internetowa to: www.reginabrett.com.